Piotr Lisiewicz
UKRAIŃSKI PATRIOTA, OBROŃCA POLAKÓW I ŻYDÓW. PATRON NASZEJ WSPÓLNEJ PRZYSZŁOŚCI

Olga Doleśniak-Harczuk
TAM, GDZIE KRYJÓWKA ŚWIĘTYCH ZWIERZĄT I STRASZYDEŁ

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

POLSKA–UKRAINA
wspólna droga

cena 12 PLN (w tym 6% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #192 06/2022
ISSN 1895-4960
9 771895 496209 06

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, FOT. WIKIPEDIA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d46fba629

TEMAT NUMERU ▼ 6–18

Zamknąć temat historii i skupić się na przyszłości / 6

IDEE ▼ 20–31

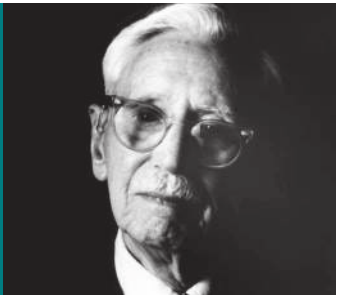

Will Durant, ciągłość dziejów i dziedzictwo ludzkości / 20

HISTORIA ▼ 32–62

Ukraiński patriota, obrońca Polaków i Żydów... / 32

KULTURA ▼ 68-81

Zamrozić, co minione / 68

ŚWIAT ▼ 82–97

Wielka Serbia jak ruski mir. Rosja podpala zachodnie Bałkany / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z Robertem Czyżewskim rozmawia Grzegorz Wszołek
Zamknąć temat historii i skupić się na przyszłości 6

Ałła Malienko
Przyszłość Ukrainy, przyszłość Polski 12

Igor Megger
Kult Bandery – problem i wyzwanie dla współczesnej Ukrainy 16

Ryszard Czarnecki
Polska–Ukraina: interesy, nie sentymenty 18

IDEE

Jakub A. Maciejewski
Will Durant, ciągłość dziejów i dziedzictwo ludzkości 20

Leszek Galarowicz
Staram się ratować Kościół 26

Małgorzata Matuszak
O godności człowieka 29

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Ukraiński patriota, obrońca Polaków i Żydów. Patron naszej wspólnej przyszłości 32

Ewa Polak-Pałkiewicz
Sprawa honoru. Polska misja Arthura Bliss Lane'a 38

Dariusz Jarosiński
Pamiętajmy o Orwellu 44

Agnieszka Kowalczyk
Przepowiednie Wernyhory o Polsce, Ukrainie i Rosji 50

Tomasz Łysiak
Krew na białym płaszczu 56

Włodzimierz Bączkowski
Sprawa ukraińska 60

KULTURA

Stefan Czerniecki
Zamrozić, co minione 68

Olga Doleśniak-Harczuk
Gdzie kryjówka świętych zwierząt i straszydeł 74

Krzysztof Karnkowski
„Gomorra" po raz ostatni 78

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Wielka Serbia jak ruski mir. Rosja podpala zachodnie Bałkany 82

Hanna Shen
Jak chińscy komuniści walczą z wrogami 87

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Jak wygląda rosyjska partia wojny? 94

eprasa.pl 9d46fba629

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Przyszłość nie może być zakładnikiem przeszłości
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... wdzięczność
KATECHIZM INTELIGENTA 19

Ryszard Czarnecki
Pocztówka z Bejrutu
CZARNECKO TO WIDZĘ 63

Krzysztof Wołodźko
Rosja i religia. Nowy koszmar „złego dobra"
DZIENNIK LEKTUR 64

Marek Kalinowski
W króliczej norze z Arcade Fire
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 81

Olga Doleśniak-Harczuk
Ksiądz Rothe to zaledwie zwiastun
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Orły i lwy
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Kryzys Europy
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Przyszłość nie może być zakładnikiem przeszłości

Czy napaść Rosji na Ukrainę zmieniła relacje na linii Warszawa–Kijów? Powierzchownie tak, lecz proces głębszego ich przedefiniowania jest na starcie, a nie na finiszu. Wojna – jakkolwiek bezdusznie by to zabrzmiało, choć z bezdusznością nie ma nic wspólnego, bo jest wyrazem nadziei – otworzyła okno pogłębienia i realnego wzmocnienia współpracy. Jednak zarówno my, jak i Ukraińcy musimy w pełni dostrzec jego możliwości i je wykorzystać.

Ponad wiek temu wybitny analityk relacji na Wschodzie, szczególnie uwzględniający i rozumiejący element narodowościowy, Leon Wasilewski pisał, iż polityka polsko-ukraińska nie może być zakładnikiem wrogości obecnej w kilku powiatach. Rzecz jasna ten bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego odnosił się do sytuacji konfliktów narodowościowych na części Kresów Rzeczypospolitej. A opinię swą formułował przed dramatycznymi wydarzeniami ludobójczego mordowania Polaków przez Ukraińców w czasie II wojny światowej. Można jednak powiedzieć – idąc za myślą Wasilewskiego – że dzisiejsza sytuacja związana z agresją na Ukrainę i zagrożeniem bezpieczeństwa dla Polski wymaga uznania, że zarówno emocje części środowisk kresowych, jak i emocje części środowisk za naszą wschodnią granicą (choć ich absolutnie nie zrównuję, bo uczynić tego nie można) nie mogą brać na zakładnika przyszłości i niepodległego bytu naszych ojczyzn. Wszyscy muszą zrobić kilka kroków do tyłu.

Czego należy wymagać od Ukraińców

Zarówno środowiska kresowe, jak i całe polskie społeczeństwo mają prawo do upamiętnienia i godnego pochówku ofiar nie tylko rzezi wołyńskiej, lecz także innych obrońców naszej niepodległości. To nie może podlegać dyskusji ani wydzielaniu. Koniec, kropka. W sytuacji zagrożenia ukraińskiego bytu państwowego Polacy – instytucje państwa i obywatele – wyciągnęli do swych sąsiadów w pełni otwartą dłoń. To winno uświadomić Ukraińcom, że RP nie dybie na ich kraj. A polski sentyment do dawnych Kresów ma głębokie podstawy historyczne, ale to uczucie nie ma zamysłu rewizji granic. Zagrożenie dla Ukrainy czai się na wschodzie, a nie na zachodzie. Na zachodzie jest oczekiwanie na umożliwienie celebrowania swojej przeszłości i swoich przodków. Walka z tą polską tęsknotą jest bezsensowna i w gruncie rzeczy śmiertelnie niebezpieczna – bowiem kieruje uwagę i aktywność przeciwko sojusznikowi, a nie wrogowi. Gdy Ukraińcy walczyli z Polakami na najcięższe argumenty choćby w sprawie Cmentarza Orląt, a w tym jakże symbolicznych lwów, ich prawdziwy i realny wróg zacierał ręce i tylko dolewał oliwy do ognia. Ukraina skłócona z Polską będzie zawsze wystawiona na żer Moskwy, bo droga do utrwalenia niepodległego bytu Kijowa wiodła i wiedzie przez Warszawę.

Czego należy wymagać od siebie

Przede wszystkim tego, że ludobójstwo Polaków na terenach dzisiejszej Ukrainy nie jest sprawą być czy nie być naszego państwa. Tak, upamiętnienie tego straszliwego dramatu naszych przodków jest arcyważne. Tak, mamy do tego święte prawo, a wręcz

eprasa.pl 9d46fba629

święty obowiązek, ale polityka państwa nie może być zakładnikiem tej sprawy. Niestety przez całe lata część środowisk kresowych uznawała zasadę, iż lepsza Moskwa niż Kijów, i dawała się wpuścić w rosyjską manipulację choćby uczestnicząc w obchodach mających rzekomo czcić pamięć polskich ofiar Wołynia, organizowanych przez polityków rosyjskich czy prorosyjskich. Związek Sowiecki, Federacja Rosyjska, nigdy nie był strażnikiem żadnej prawdy historycznej, żadnej sprawiedliwości. Rosjanie są współwinni śmierci Polaków na Wołyniu, bo wraz z Niemcami zniszczyli II Rzeczpospolitą, siali na jej terytorium zbrodnie i barbarzyństwo, dając tym samym możliwości do zaistnienia i tej tragedii. Upamiętniajmy naszych przodków, czcijmy ich cierpienie i bohaterstwo, ale z szacunku dla nich, a nie przeciw współczesnym Ukraińcom. Ale uznajmy również, że w tym odległym wojennym strasznym czasie zginęli z rąk Polaków niewinni ukraińscy cywile. W Sahryniu i w Piskorowicach Polacy dopuścili się zbrodni – w tym na dzieciach. Nie mniej strasznych od tych, których dokonywali Ukraińcy na naszych przodkach. Nie stawiam znaku równości między rzezią wołyńską a nimi – inne były motywy i kompletnie różna skala, ale fakty są faktami. Czas uznać, że nasi wschodni sąsiedzi czy obywatele RP narodowości ukraińskiej mają prawo otoczyć ich los pamięcią. To nie umniejszy cierpienia naszych przodków, nie sprawi, że ich tragedia stanie się mniej ważna.

Przyszłość

Wspomniany już Leon Wasilewski twierdził, iż w interesie niepodległej Polski jest jak najgłębsze wejście wolnego państwa ukraińskiego w tereny wschodnie. Bo antagonizm pomiędzy Ukraińcami a Rosjanami będzie w sposób naturalny wzmacniał sojusz Warszawy oraz Kijowa i tym samym cementował bezpieczeństwo całego regionu. Prezydent Andrzej Duda przemawiając w parlamencie w Kijowie, mówił o potrzebie nowego traktatu pomiędzy naszymi krajami. To ważne. Ale trzeba czegoś znacznie ważniejszego – wprowadzenia relacji polsko-ukraińskich na zupełnie nowy tor łączący potencjały naszych państw. Stawianie na Berlin zaprowadziło naszych wschodnich sąsiadów na skraj przepaści. Perspektywa rozszerzenia Unii na Wschód jest bardziej niż mglista. Polska będzie o to zabiegać, ale gołym okiem widać, iż na razie znaczna część UE ciągle utrzymuje gotowość kursu na Rosję i nie podejmie działań, które mogą go utrudnić. Szansą dla Ukrainy, ale też wielką sprawą dla nas, jest ścisły sojusz gospodarczy i dyplomatyczny naszych państw. Ale do niego nie dojdzie, jeśli przeszłość znowu stanie się zarzewiem sporu. Dlatego najwyższy czas zdjąć ciężar przeszłości z przyszłości. Nie czekajmy na zakończenie wojny, nie formułujmy listy warunków roztrząsanych publicznie i przez to wykorzystywanych przez kremlowską propagandę. Idźmy drogą faktów dokonanych. Lwy zawsze wierne przetarły ten szlak. Nie możemy redukować naszych wspólnych dziejów do cierpienia i śmierci. Nie raz Polacy i Ukraińcy stawali razem do walki o wolność. Nie raz Ukraińcy bronili Polaków przed wspólnym wrogiem. Czas wydobyć piękne karty historii z cienia sporu o tę tragiczną przeszłość. W zwycięstwie nad bolszewikami nasi wschodni sąsiedzi mieli swój udział, ale ich rola jest współczesnym nieznana. Polacy znają Banderę, a nie wiedzą, kim był Bezruczko. Dlaczego ten wielki ukraiński dowódca, który tak bohatersko zapisał się na kartach naszej wspólnej walki o wolność, jest postacią anonimową? Zastanówmy się przez chwilę, komu służy taka sytuacja? Kto zaciera ręce z zadowolenia? Czas czci Bandery na Ukrainie dobiega końca. Bohaterska walka z rosyjskim zdziczeniem daje temu narodowi nowych wielkich i nową tożsamość. Ogromna część z tych heroicznych obrońców odpiera wroga bronią z Polski. ■

NIE MOŻEMY REDUKOWAĆ NASZYCH WSPÓLNYCH DZIEJÓW DO CIERPIENIA I ŚMIERCI. NIE RAZ POLACY I UKRAIŃCY STAWALI RAZEM DO WALKI O WOLNOŚĆ. NIE RAZ UKRAIŃCY BRONILI POLAKÓW PRZED WSPÓLNYM WROGIEM. CZAS WYDOBYĆ PIĘKNE KARTY HISTORII Z CIENIA SPORU O TĘ TRAGICZNĄ PRZESZŁOŚĆ.

eprasa.pl 9d46fba629

Gazeta Polska
codziennie

CYKL ARTYKUŁÓW

WYBITNI POLSCY EKONOMIŚCI

NARODOWY BANK POLSKI

Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl 9d46fba629

Zamknąć temat historii i skupić się na przyszłości

Zapewniam, że po stronie ukraińskiej temat współpracy z Polską jest niezwykle popularny. Na tamtejszych portalach nie brakuje komentarzy, że po wojnie świat nie będzie taki sam i – czemu nie – można związać się z naszym państwem. Prezydenci Andrzej Duda i Wołodymir Zełenski próbują odpowiedzieć na to wyzwanie i nazwać to, co klaruje się w świadomości obu społeczeństw – mówi „Nowemu Państwu" ROBERT CZYŻEWSKI, dyrektor Instytutu Polskiego w Kijowie. Rozmawia GRZEGORZ WSZOŁEK.

eprasa.pl 9d46fba629

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

▶ Do Polski w wyniku rosyjskiej inwazji trafiło blisko 3,5 mln uchodźców z Ukrainy, część wyjechała dalej na Zachód, ale jednak to największy exodus od czasów II wojny światowej. Czy w społeczeństwie ukraińskim jest swego rodzaju ulga, że ludzie znaleźli dach nad głową? Jakie uczucia miotają tymi, którzy uciekli przed kulami i bombami Rosjan?

Należy pamiętać, że imigracja zarobkowa już na długo przed wojną była spora, i to nie tylko do Polski, lecz także do innych krajów Europy Zachodniej oraz do Rosji. Opuszczanie kraju stanowiło normalne zjawisko. Czymś innym jednak stała się decyzja o wyjeździe Ukraińców po 24 lutego 2022 roku – to już nie są emigranci, lecz uchodźcy. W obecnej sytuacji utrzymuje się stały kontakt między Ukraińcami, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia kraju, a pozostającymi na miejscu na Ukrainie. Skala polskiego zaangażowania, otwartości i przyjaźni wywarła na Ukrainie ogromne wrażenie. Najlepszym przykładem jest oburzenie ukraińskiego społeczeństwa w sprawie nieprzyznania głosów Krystianowi Ochmanowi na Eurowizji. Cała ukraińska przestrzeń medialna aż huczała, że eksperci nie docenili polskiego wykonawcy, gdy nasz naród dzieli się taką dobrocią z potrzebującymi. Może wydaje się to śmieszne, wszak Ukraińcy nie mają wpływu na jury konkursowe, ale było to niecodzienne i ciekawe zjawisko.

▶ Jaki jest obecnie stosunek Ukraińców do Polaków? Czy różni się on od postrzegania nas z czasów sprzed inwazji?

Przede wszystkim wbrew temu, co utarło się w debacie publicznej w Polsce, stosunek Ukraińców do Polaków jeszcze przed wojną był bardzo dobry. Na kilka tygodni przed rosyjskim uderzeniem na pełną skalę awansowaliśmy na pierwsze miejsce w badaniach sondażowych w kategorii najbardziej lubianych narodów. Co symptomatyczne, wyprzedziliśmy nawet Kanadyjczyków, tradycyjnie niezwykle lubianych przez Ukraińców. Na skutek wojny wywołanej przez Rosję nastąpiło jednak przekroczenie o kilka rzędów wielkości deklarowanej wcześniej sympatii; ma to moim zdaniem charakter reaktywny – czyli powodem owego ocieplenia jest to, co zrobili dla dotkniętego inwazją narodu Polacy. Z jednej więc strony zmiana w świadomości ukraińskiej jest skutkiem tego, co robimy my, lecz z drugiej – sympatia Ukraińców wobec Polaków była już wcześniej naprawdę duża.

▶ Jak określiłby Pan zatem stosunki między narodami polskim i ukraińskim przed inwazją rosyjską? Serdeczność, ale z niezrozumieniem na skutek zaszłości historycznych – na tle zbrodni wołyńskiej? Czy one nie odgrywają roli na poziomie społecznym?

Odpowiedź będzie tu bardzo złożona. Zacznijmy od wagi pamięci historycznej. Nie wszystkie narody są identyczne, jeśli chodzi o kulturowo-narodową tkankę. Możemy mówić o narodach historycznych, państwowych – a więc takich, które były budowane siłą państwa. Jako przykłady wymienimy w tym gronie na przykład Niemców, Francuzów czy Szwedów. Z drugiej strony wyodrębnimy te wspólnoty, które w XIX wieku nie posiadały własnego państwa, jak Czesi, Słowacy, Łotysze, Słoweńcy, Finowie... One tworzyły się niejako wbrew istniejącym już państwom. Silnym elementem spajającym takie narody jest czynnik ludowy. Otóż Ukraińcy odpowiadają temu drugiemu opisowi; ich kultura ludowa jest oryginalna i silnie rozbudowana. Tymczasem my, Polacy, nie mieliśmy państwa w XIX-wieku, ale też z racji silnych, odziedziczonych po I Rzeczypospolitej elit nie byliśmy tak silnie oparci na ludowości. Z okresu przedrozbiorowego nasze elity wyniosły historyczną tożsamość. U nas w poważnym stopniu decydująca o opisie narodowej tożsamości okazuje się historia, na Ukrainie wielką rolę odgrywa etnografia – to podstawowa różnica, bowiem dla naszych sąsiadów istotniejsze są ludowe hafty, stroje, tańce. Kiedy dochodzi do zderzenia historycznego z Ukrainą, to dla Polaków ma to o wiele większe znaczenie niż dla Ukraińców. Rozmawiamy akurat w Dzień Wyszywanki – w trzeci czwartek maja – celebrowany w tamtym kraju. Nie można tego łączyć z deprecjacją kultury ludowej, „cepeliadą", jaka miała miejsce u nas w okresie PRL. Znaczenie historii w tożsamości ukraińskiej istnieje, ale ma mniejsze znaczenie niż u nas.

Jest też druga sprawa. Wołyń – do czego pan zapewne nawiązuje – to ważna część przestrzeni nazywanej przez nas Kresami. Pamiętajmy też, że dla nas Wołyń jest symbolem nie tylko zbrodni, lecz także polskiej obecności na Kresach. Jako wspólnota polityczna dzisiejsi Polacy utożsamiają się z tradycją I Rzeczypospolitej, niezależnie od różnic terytorialnych między stanem ówczesnym a teraźniejszością. Uważamy się za spadkobierców kraju, który był pięciokrotnie większy od współczesnej Polski, ale na wschodnich ziemiach przeważał przecież (również wtedy) żywioł niepolski. Wykuł się w nas mit Kresów, polskiego wkładu w kulturę i gospodarkę tam-

eprasa.pl 9d46fba629

tych ziem, co oczywiście miało miejsce. Gdy mówimy o „naszym wkładzie" czy „naszych ziemiach", to też dokonujemy pewnego uproszczenia w istocie tego, czym było i jest nasze zbiorowe „my". Zatem polska pamięć o Wołyniu dotyka Kresów, które odeszły – i ten temat (choćby podświadomie) tkwi w „wołyńskiej" kwestii. Tymczasem pamięć ukraińska jest inna: w jej postrzeganiu były to obszary etnicznie ukraińskie – dominacja ta nie podlegała dyskusji. Lokalnie Ukraińcy byli większością także na wschodniej Chełmszczyźnie i w niektórych rejonach Podkarpacia. Na Kresach Polacy stanowili ważną część, lecz mniejszość.

Kolejną sprawą jest to, że Kresy południowo-wschodnie nie zostały „zdepolonizowane" przez UPA – aczkolwiek mordy dokonane na kilkudziesięciu tysiącach Polaków są faktem. Tak naprawdę to sowieckie, powojenne wywózki doprowadziły do depolonizacji tych obszarów. Ukraińcy pamiętają komunistycznej Polsce akcję „Wisła" (deportacje Ukraińców z terenów obecnej Polski na „Ziemie Odzyskane"). Jednak deportacje transgraniczne były dziesięciokrotnie większe. Decyzją władz komunistycznych, większość Ukraińców wywieziono z PRL do Związku Sowieckiego, a dużą grupę Polaków przywieziono z radzieckiej Ukrainy do Polski. Te deportacje to mniej więcej 1,5 mln osób – po połowie Polaków i Ukraińców – tyle osób musiało stracić swoje domy, aby na odcinku południowo-wschodnim granica stała się „czysta etnicznie". Przebieg współczesnej granicy bolesny jest nie tylko dla nas, lecz także dla Ukraińców. Paradoksalnie, jest chyba jednak swoiście sprawiedliwy – deportacje były podobnie liczne. My pamiętamy nie tylko o ludzkim nieszczęściu, lecz także o utraconych Kresach, co jest nadal bolesne. Na obszarze Ukrainy urodzili się Jan III Sobieski, Juliusz Słowacki czy Zbigniew Herbert – przeżywamy stratę symboliczną. To w dużej mierze zależy od kształtu naszego historycznego mitu, który może jednak stać się wspólnym dziedzictwem obu krajów, i to może być lekarstwem na ów ból. Problem chyba polega na tym, że my, Polacy, uznawaliśmy się dość długo za jedynych dziedziców spuścizny Rzeczypospolitej.

▶ Czas na historyczne pojednanie? Żeby do tego doszło, musi nastąpić jednak przełom. Mam wrażenie, że przed rosyjską agresją problem leżał po stronie kolejnych rządów Ukrainy. Czy po wojnie będzie czas, by w zamian za okazaną pomoc zamknąć temat ekshumacji Polaków na Kresach?

Wołyń nie tylko przestał być „naszą ziemią", lecz także stał się miejscem „niepogrzebanych ofiar" – a w polskiej kulturze istnieje silna potrzeba nazwania i pogrzebania zmarłych. Uważam, że to odpowiedni moment, i to ostatnie musi się dokonać. Po obu stronach powinna dojrzeć idea, że tam, gdzie doszło do cierpienia, staną krzyże i odbędą się modlitwy. Później należy rozstrzygnąć poważniejszy problem: kto ma się na co dzień opiekować cmentarzami. To jednak jest kwestia do rozwiązania i zamknięcia.

▶ Ultraprawica w Polsce nawiązuje cały czas do kultu banderyzmu na Ukrainie, sugerując, że trzeba się zastanowić, czy należy pomagać w związku z tym uchodźcom. To, że szacunek, a nawet hołd oddawano Stepanowi Banderze, nie ulega wątpliwości. Z czego to wynika? Też z ludowego charakteru narodu ukraińskiego i potrzeby mitu z okresu II wojny światowej?

Istnieje takie przekonanie, że Ukraińcy z morderców czynią bohaterów. To wielowątkowy temat – przede wszystkim Ukraina potrzebuje heroicznego mitu. I mogłaby znaleźć inny, ale konieczne stało się nawiązanie do II wojny światowej. Wokół niej ogniskuje się ten mit. Dlaczego? Związek Radziecki wskazał na II wojnę światową („wielką wojnę ojczyźnianą") jako na najważniejszy okres w historii. Walcząca z postsowietyzmem w sferze kultur i historycznego mitu Ukraina musiała znaleźć „swoją" historię tego okresu. Prezydent Wiktor Juszczenko próbował położyć nacisk na pamięć o Wielkim Głodzie (lata 1932–1933), co z polskiego punktu widzenia było pożądane. To nie jest tak, że mu się nie udało, bowiem upamiętnienie wydarzeń jest dziś na Ukrainie silnie obecne, ale umierające z głodu niewinne ofiary nie mogą zaspokoić potrzeby mitu heroicznego. Z naszego punktu widzenia szkoda, że taka pamięć nie wygrała, lecz wojna wymaga heroicznego opisu dziejów. Pamiętajmy też o dodatkowym elemencie: ZSRS był znacznie silniejszy niż środowiska ukraińskie – narzucał pojęcia. W sowieckiej propagandzie „banderowcami" nazywano antysowieckich Ukraińców, wcześniej mówiono o takich ludziach „petlurowcy", jeszcze wcześniej „mazepińcy" – to stara rosyjska praktyka. Dodatkowo Bandera był wygodnym przeciwnikiem do propagandowej krytyki, więc wszystkich ukraińskich przeciwników sowieckiej władzy określano tym mianem, i tak to się przyjęło. Pamiętam zresztą w czasach PRL, gdy polska młodzież nosiła znaczki z napisem „EA" – element antysocjalistyczny. Przecież nie mieliśmy pojęcia, czym jest de facto socjalizm. Niech więc nas nie dzi-

eprasa.pl 9d46fba629

wi sytuacja, w której ktoś deklarujący się jako „banderowiec", wręcz lubi i ceni Polaków. Pod tym pojęciem kryje się bowiem antysowiecki patriotyzm, niezrozumiały dla nas.

▶ I powinniśmy nad tym przechodzić do porządku dziennego?

Z polskiego punktu widzenia Bandera nie jest pożądany w roli ukraińskiego patrona. Ale to nie nasz bohater, to po pierwsze. Po drugie, za takim poglądem stoją polskie wyobrażenia. Bandery jednak nie było fizycznie na obszarach, gdzie odbywały się rzezie. Więziono go w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, skąd nie miał kontaktu z ukraińskimi partyzantami. Możemy mu zarzucić przedwojenne przywództwo grupy OUN, wytworzenie ideologii i uczestnictwo w atakach terrorystycznych na tereny II RP. Pamiętajmy też, że Ukraińska Powstańcza Armia wiele lat po zakończeniu wojny heroicznie walczyła z Sowietami. Czy w poglądzie na UPA – zachowując proporcje – Ukraińcy nie są bliscy ideowo tym Polakom, którzy czczą Żołnierzy Wyklętych? Nie porównuję broń Boże tych dwóch grup, lecz pamięć ludzką. Na Ukrainie UPA występuje jako formacja antysowiecka, a nie jako formacja walcząca z Polakami. Paradoks polega na tym, że historyczni twórcy banderowskiej UPA traktowali Polskę jako swojego głównego wroga. Zamykając ten temat, warto poruszyć też czarno-czerwony kolor i okrzyk „Sława Ukrainie" – one wiążą się silnie z pojęciem UPA. Tu jednak wskazałbym na pewną okoliczność – państwo ukraińskie było głębiej postkomunistyczne niż Polska. Patrioci chcący odcinać się od takiej rzeczywistości, wybierali swój symbol – flagę we wspomnianych barwach. Czarno-czerwone barwy są po prostu oznaką ukraińskiego patriotyzmu, mimo że u swej genezy miały antypolski charakter. Okrzyk „Sława Ukrainie" rzeczywiście rozpropagowała UPA, ale dziś to powszechne zawołanie w całym kraju. Sądzę, że powinniśmy skupić uwagę na własnej winie (nawet jeśli jest relatywnie mniejsza), bowiem akcjom UPA towarzyszyły polskie odwety. Nie warto licytować się na zbrodnie. Nasi przodkowie z XIX wieku wybrali budowę czegoś wspólnego, co skutkowało podejmowaniem prób współpracy w czasie powstań, a przecież wtedy też istniała pamięć o wyjątkowo krwawych i zbrodniczych zmaganiach w czasie ukraińskich buntów kozacko-chłopskich, w wiekach XVII i XVIII. Dla porównania spójrzmy na wielką naszą przyjaźń z Węgrami. Bierze się stąd, że nam zapomniano krwawy najazd „lisowczyków" na Siedmiogród, a my im Rakoczego o pokolenie później. W dialogu polsko-ukraińskim należy zmienić pytania, a nie odpowiedzi. Bo czasem tych drugich, właściwych, zabraknie.

▶ Na poziomie polityki historycznej relacje polsko-ukraińskie były poddawane próbie m.in. przez pryzmat upamiętnienia rzezi wołyńskiej. Czy Pana zdaniem już po wojnie jest szansa na normalizację stosunków w tej kwestii i przeprowadzenie ekshumacji ofiar mordów z lat 1943–1944?

Samo pana pytanie sugeruje, że powinniśmy pozostać przy „wołyńskim" pytaniu. A więc dobrze: tak, Ukraińcy wiedzą, że Polacy mają o to pretensje i chcą upamiętnić ofiary Wołynia. Jestem niemalże pewien, że sprawa pochówków zostanie załatwiona, i to również po naszej stronie. Uważam jednak, że kluczem jest coś innego – powinniśmy budować o wiele potężniejszą wspólną narrację. Jak każdy nie jesteśmy bez win, a zawłaszczenie tylko dla siebie dziedzictwa I Rzeczypospolitej do takowych bym zaliczył. Po naszej stronie jednak jest już przerobione rozdzielenie między tym, co polskie, a czymś szerszym, co wynika z tradycji jagiellońskiej. Jestem też pełen uznania dla prezydenta Andrzeja Dudy i jego urzędników. Gdy słucham wystąpień z Pałacu Prezydenckiego, nabieram pewności, że to mąż stanu, który w naszej historii robi miejsce dla innych narodów jagiellońskiej ojczyzny.

▶ W jednej z krakowskich dzielnic, w której mieszkam, Ukraińców pełno w sklepach, siłowniach, na placach zabaw. Nasze dzieci bawią się wspólnie, nie ma między nami żadnego problemu – zresztą to głównie kobiety z małymi dziećmi, które wręcz szukają znajomości, punktów zaczepienia, akceptacji i zrozumienia. Słyszałem jednak opinie starszych osób – zdecydowanej mniejszości – przyglądających się z boku, że to wszystko jest „przesadą", „zapominamy o tym, co nam zrobili", a „Ukraińcy mają czarne podniebienia". Można rzec – dyskryminacja, choć odgrywa tu rolę strach ze względu na przeszłość na Kresach. Rzeczywiście grozi nam niekontrolowany zalew Ukraińców, którzy będą nagle dominować nad Polakami?

Takie stwierdzenia o „czarnych podniebieniach" są oczywiście bezpodstawne. Poważniej mówiąc, w sensie genetycznym Ukraińcy są jednymi z nam najbliższych. Wszyscy mamy takie same podniebienia (śmiech).

eprasa.pl 9d46fba629

Odchodząc od tematu koloru podniebień, prawda statystyczna wygląda odwrotnie – głosy przytoczone przez pana są w wyraźnej mniejszości. W szybkim tempie przybyły do nas rzesze Ukraińców i nie ma tu wątpliwości: stosunek Polaków do nich jest fenomenalny, wspaniały. Nie popsują tego wizerunku jednorazowe incydenty, bo dotyczą nikłej mniejszości. Wbrew tym nielicznym głosom, dla Polski ta migracja to szansa – teraz już nie mówi się o problemach z wypłatami emerytur dla przyszłych pokoleń – wypełnia się nasz rynek pracy. Mam odwrotne obawy: że to strona ukraińska zacznie wyrażać pretensje, że nasz kraj odcina obywateli ukraińskich od swojej ojczyzny, która zniszczona po wojnie, będzie potrzebowała kapitału ludzkiego. I na to należy się zawczasu przygotować, to będzie realny dylemat. Nie znam natomiast innej wspólnoty kulturowej, która jest gotowa zaakceptować i przyjąć naszą kulturę szybciej niż Ukraińcy. Jesteśmy po prostu do siebie podobni.

▶ Pytanie, czy zdecydowana większość Ukraińców zostanie w Polsce, czy jednak wróci do swojego kraju, gdy ustanie wojna?

Wydaje się, że na stałe może zamieszkać u nas 200–300 tys. obywateli Ukrainy. A to już potężna liczba. Najistotniejsza z punktu widzenia kulturowego będzie bliskość obu narodów po tym, jak Ukraińcy wyjadą z Polski do domów ze swoimi odczuciami. A wśród tych. którzy zostaną? Odsetek ludzi, który chce trwać jako mniejszość w społeczeństwie otwartym na daną kulturę, waha się na poziomie kilku procent. Mamy teraz najtańszą z możliwych opcji na wypełnienie luki demograficznej. Lepiej zastanowić się, żeby nie stanowiło to zarzutu pod adresem strony polskiej, że odbieramy przyszłość sąsiadowi. Wtedy musimy przygotować odpowiedź: każdy wybiera swój los, a my gwarantujemy tym ludziom, że będą pamiętać o swoim pochodzeniu i kulturze.

▶ Skąd tak wielka przyjaźń i hojność udzielana przez Polaków ukraińskim uchodźcom?

Polacy zdają sobie sprawę, że mogą paść ofiarą kolejnej zbrodniczej inwazji ze strony Władimira Putina, to po pierwsze. Po drugie, przyzwyczailiśmy się do migracji sprzed wojny, ale te dwa elementy fenomenu naszej otwartości nie wyjaśniają. Mam pewną roboczą hipotezę: udało nam się uzyskać coś, o czym marzyliśmy od dawna.

Ukraińskość od zawsze stanowiła część naszej narodowej tożsamości. Przez dwa wieki Polacy widzieli w nich wolnych Kozaków na stepie, broniących swojej wolności. Pamiętaliśmy ich jako romantycznie szalonego sienkiewiczowskiego Bohuna czy wolnego Kozaka z pieśni „Hej, sokoły". Jednak Ukraińcy okazywali się inni. Uznaliśmy, że zapomnieli o swojej wolności, o stepowym romantyzmie. Pogrzebaliśmy naszego krewnego w głębokiej jamie, historycznej przeszłości. A tu nagle zobaczyliśmy, że on żyje! Odkryliśmy w Ukraińcach nie tylko niechęć do dyktatury, lecz także ludzi żywcem wyjętych z prozy Sienkiewicza, jakich lubiliśmy od zawsze. Otwarcie Polaków na uchodźców i wsparcie w walce spowodowały poczucie dumy połączonej z wdzięcznością po stronie ukraińskiej. Zadziałał mechanizm pozytywnego sprzężenia zwrotnego. I to wszystko to wspaniała podstawa do zacieśniania relacji na przyszłość.

▶ Na koniec chciałem zapytać o możliwość stworzenia unii – nieformalnej – z Ukrainą. Dla rosyjskiej propagandy słowa m.in. prezydenta Andrzeja Dudy, który mówił w Święto Konstytucji 3 maja o „bratnim narodzie" i „braku granic", stanowiły oręż do podsycania teorii o chęci oderwania zachodnich terytoriów okupowanego sąsiada. Jak Pan zapatruje się na wizję, którą podziela też Wołodymir Zełenski?

Wszelkie zbliżenia z Ukrainą na poziomie politycznym to ryzyko. Kraj w sposób niezwykle dzielny prowadzi wojnę – Wojnę przez wielkie „W". Polscy zwolennicy takiej polityki będą krytykowani, że wpychają nas w nie nasz konflikt. Przypomnę jednak, że 600 lat temu nie brakowało przeciwników unii polsko-litewskiej, a spory w tej materii toczą się w zasadzie do dziś w środowiskach historyków. W sensie sentymentalnym kochamy ziemie, które nie są już nasze: Lwów, Krzemieniec, Kamieniec Podolski, jak również Grodno, Wilno. Co z tym fantem zrobić? Słowa Andrzeja Dudy to nie tylko głos męża stanu, to niemal profetyczna wizja, pozwalająca swoją siłą rozwiązać szereg problemów. To próba znalezienia miejsca pomiędzy krajami starej Europy – na stałe nas marginalizującymi – a niepewnym i agresywnym wschodem, to wspólne zadanie dla Polski, Ukrainy i innych państw, broniących się przed rosyjskim zagrożeniem. Zapewniam, że po stronie ukraińskiej temat współpracy z Polską jest niezwykle popularny. Na tamtejszych portalach nie brakuje komentarzy, że po wojnie świat nie będzie taki sam i – czemu nie – można związać się z naszym państwem. Prezydenci Andrzej Duda i Wołodymir Zełenski próbują odpowiedzieć na to wyzwanie i nazwać to, co klaruje się w świadomości obu społeczeństw. ■

eprasa.pl 9d46fba629

PRZYSZŁOŚĆ UKRAINY, PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

Ałła Malienko

Najważniejszym dziś pytaniem jest: co po zwycięstwie? Już kilkakrotnie przegraliśmy – i Polska, i Ukraina – swoje wiktorie. Na stole leżą różne opcje. Wśród nich i ta, że właśnie dziś zbudzi się, wywołana agresją Rosji, nowa potęga Trójmorza, by stać się gwarantem bezpieczeństwa, rozwoju i bogactwa należących do niego narodów. Stwórzmy ją już dzisiaj, bo jutro wciąż rysuje się mgliście.

Zwycięstwo w rosyjsko-ukraińskiej wojnie nadejdzie tylko wtedy, gdy agresor zostanie ostatecznie pokonany. Okazuje się, że żadna „druga armia" świata nie istnieje i nigdy nie istniała. To był i jest zwyczajny gang (bratwa) pod wodzą moskiewskiego herszta (dzieda). Gang od wieków przeprowadzający swoje najazdy zawsze wyłącznie w jedynym celu – aby zrabować jak najwięcej dóbr i poszerzyć swe terytoria dla ściągania zwykłych haraczy! Nie dba i nigdy nie dbał o żaden rozwój czy bogactwo podbitych ziem i narodów, a pozyskanych tą drogą „obywateli" sprowadza do poziomu niewolników. Żyje z nieustannych podbojów i grabieży, bo nic sam nie jest w stanie wytworzyć, prócz „nagiej broni".

To, co Rosja robi dziś na Ukrainie, to faszyzm i nazizm w czystej postaci, a ten horror może rozprzestrzenić się w całej Europie. Kreml ogłasza konieczność denazyfikacji nie tylko Ukrainy, lecz także Polski, a zaraz najpewniej kolejnych krajów. A przeznaczone do „denazyfikacji" narody są oczywiście tymi niższej kategorii, tym razem nie w stosunku do rasy panów – Niemców, lecz rasy przedstawicieli ruskiego miru. Ukraińcy walczą dziś nie tylko o swoją państwowość i wolność, lecz także o wolność w całej Europie, a może i całym świecie.

Cel: „bezwarunkowa" kapitulacja Rosji

Obecnie znajdujemy się w sytuacji, która nigdy nie miała miejsca w historii. Współczesny agresor dysponuje bowiem wielkim arsenałem broni jądrowej, zaś jego „media" profesjonalnie i od dziesięcioleci robią wodę z mózgów nie tylko własnego narodu, lecz także wielu innych. Z jednej strony stoimy więc wobec opcji całkowitego zniszczenia ludzkości, z drugiej mamy do czynienia z rozdwojeniem jaźni jakże wielu narodów i ich elit. Wielka praca rosyjskich trolli sprawiła, iż czarne jawi się wielu białym, a białe czarnym. Jak na dłoni widzimy niezmienne, sowieckie know-how zamiany prawdy na kłamstwo, mające do dziś całe rzesze wyznawców.

Na szczęście w bazie NATO w Rammstein 30 ministrów obrony ogłosiło pomoc Ukrainie, czym skutecznie wypracowało alternatywę dla ONZ, która nie znalazła siły, by wskazać światu współczesnego Hitlera. Dziś Europa nie ma żadnej alternatywy dla pełnego wsparcia Ukrainy. Tu stawką jest samo istnienie Europy. Choć wciąż dość jest na Starym Kontynencie popleczników Putina, to instynkt samozachowawczy powinien ostatecznie zadziałać. Nasz wspólny cel jest jeden – nie tylko zabicie bestii w jej legowisku, lecz także zniszczenie jej wraz z legowiskiem. Dopiero teraz świat zaczął rozumieć, z kim naprawdę ma do czynienia. Z jakim Mordorem, gdzie nikt nie słyszał o honorze i sumieniu, gdzie wszystko opiera się na kłamstwach i zbrodni.

Ukraina zawsze kierowała się ku europejskiej cywilizacji, wciąż prowadząc zmagania ze swym dzikim, północnym sąsiadem. Dlatego właśnie dziś Ukraina nie ma wyboru, musi wreszcie powstrzymać i zadać śmiertelny cios tej bestii. Inaczej nigdy nie nastanie era pokoju. Wydaje się, że właśnie teraz Ukraińcy mają dość siły i gniewu, by odpłacić Rosji za całe zło i zniszczenie, które przez wieki sprowadzała na ukraińską ziemię. Za ukraiński Gołodomor z lat 1932–1933, który pochłonął nawet dwa razy więcej ofiar niż hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej". Za miliony ofiar represji i wywózek na „nieludzką ziemię".

A na pytanie, za ile lat będziemy mogli ponownie osiągnąć porozumienie z Rosją – odpowiadam: nie ma takiej daty. Niezmienna jest jej zbrodnicza natura, dlatego naszym celem musi być „bezwarunkowa" kapitulacja Rosji, która w innym wypadku za kilka lat z pewnością powróci na swe nieodmienne, „putinowsko-stalinowskie" koleiny. Po fotografiach i materiałach filmowych z wyzwolonych od orków Buczy, Irpenia i innych miast, wspominam czerwiec 1941 roku, kiedy wycofujący się na wschód enkawudyści zdążyli rozstrzelać w ciągu zaledwie kilku dni ponad 20 tys. ludzi! Zostawili po sobie góry trupów i ciał okaleczonych torturami. Jeszcze wtedy nikt nie znał zbrodni katyńskiej z 1940 roku. Wtedy też nie mogliśmy uwierzyć, że ludzie są do tego zdolni. Minęło 80 lat, a dzieci i wnuki tamtych oprawców idą w ślady swych ojców. Powstało nowe pokolenie tych samych, co przed wiekami, rosyjskich rzeźników. I nie miejmy złudzeń – ci, którzy odmawiają dziś ze strachu walki z ukraińską armią, z pewnością podjęliby się z lubością pacyfikacji ukraińskich cywili.

Nic dobrego do zaoferowania

Putin nieustannie testuje Zachód, pokazując mu swą pogardę, zmuszając zachodnich przywódców do pokornego czekania przed jego tronem, czym wskazuje na ich tchórzostwo przyjmujące kłamliwe imię tolerancji. A gdy brakuje wśród europejskich elit odwagi, by stanąć obok Ukrainy, to taka postawa tylko podsyca krwiożerczość Putina. Wiele krajów i ludzi żyło z jałmużny Kremla, równocześnie rozprawiając o wartościach. Teraz ujaw-

ILUSTRACJA/MARIUSZ TROLINSKI. FOT. ADOBE STOCK, WIKIPEDIA

eprasa.pl 9d46fba629

nili swe pełne oddanie interesom z Rosją, sztandary moralności stawiając do kąta.

Co Rosja może zaoferować światu? Prócz łapówek i ropy, właściwie nic. I stąd jej dzika agresja i szalone okrucieństwo, które przenika całą historię Moskwy o wiele wcześniej niż od dni wytopienia po lodem wszystkich mieszkańców Wielkiego Nowogrodu. Nie trzeba więc długo przekonywać naszych sąsiadów, że zaatakowali nie tylko nas, lecz także całą Europę. Churchill powiedział: „Jeśli nie wiesz, o co walczysz, odmów walki – a dowiesz się niezwłocznie". Wyobraźmy sobie więc przez chwilę obraz, na którym Ukraina zgadza się na zaproponowane przez niemieckich i hiszpańskich „intelektualistów" czy urzędującego prezydenta Francji Macrona i wielokrotnego premiera Włoch Berlusconiego, warunki Moskwy i pozwala Rosjanom wejść jako zwycięzcy do Kijowa, a zaraz potem do pozostałych stolic Europy. Za chwilę niemieckie kobiety znów wspomniałyby swe babki służące swymi ciałami kilkunastu naraz rosyjskim mołojcom. Myślę, że nie tylko Niemki, lecz także kobiety od 5 do 95 lat w całej Europie stałyby się „usługodawczyniami" dla niezwyciężonych „sił pokojowych" Putina. A może w planach Macrona, Berlusconiego i im podobnych jest znaczące zwiększenie wskaźnika rozrodczości starzejącej się Europy? Czyżby z własnych doświadczeń wiedzieli o niesprawności w „tych rzeczach" wychowanych pod tęczową flagą przedstawicieli populacji Piotrusiów Panów starej Unii?

Wielka historia

Książka Lancelota Lawtona „Kwestia ukraińska" celnie wskazuje, że dla wielu wykształconych Europejczyków leżąca za miedzą Ukraina jest nadal największym odkryciem geograficznym XX wieku. Warto przeanalizować, czego dzieci z Niemiec, Francji, Belgii i innych krajów europejskich uczą się o Ukrainie. Czy dowiadują się, że Daniel, król halickiej Rusi, otrzymał swą koronę od papieskiego legata? Czy wiedzą o soborze Sofii Kijowskiej, kopii najwspanialszej świątyni całego chrześcijaństwa, konstantynopolskiej Hagii Sophii, czy o mozaikach soboru sofijskiego konkurującymi z mozaikami soboru św. Marka w Wenecji? Czy poznają ścisłe powiązania dynastyczne kijowskiego dworu z królewskimi dworami całej Europy? Czy uczą się, że ze względu na mnogość nacji Ukraina może być uznawana za Wielką Brytanię świata słowiańskiego? A może mamy się pogodzić z faktem, że niewyuczone lekcje historii wrócą ku nam skąpane we krwi?

Ale musimy też na zawsze zapamiętać o wszechstronnej pomocy sąsiedniej Polski. Na szczęście Polska i kraje bałtyckie skierowały się ku historycznej bliskości Rusi-Ukrainy, z którą budowały niegdyś wielkie królestwo Jagiellonów. Królestwo, które ukorzyło największe potęgi swojej epoki, nie tylko Zakon Krzyżacki pod Grunwaldem, lecz także Dom Habsburgów, który od Starego Sącza ruszył na podbój Krakowa. A powstała niebawem na jagiellońskiej potędze Rzeczpospolita Obojga Narodów złamała pod Chocimiem i Wiedniem armie szykującego się na podbój całej Europy Imperium Osmańskiego. Historyczna pamięć sprawiła, iż Polska i kraje bałtyckie zawiązały prawdziwy sojusz na rzecz Ukrainy. Sojusz, który wraz z Wielką Brytanią i USA daje nadzieję zwycięstwa.

Co po wojnie?

Ale najważniejszym dziś pytaniem jest: co po zwycięstwie? Już kilkakrotnie przegraliśmy – i Polska, i Ukraina – swoje wiktorie. Bitwa Warszawska bez odbicia Kijowa z rąk Moskwy skończyła się po zaledwie dwudziestu latach polskim wrześniem. Dzisiaj wiemy, że Hitler jedynie dzięki sojuszowi ze Stalinem uderzył na Polskę, sam nie mógłby być pewien zwycięstwa. Przecież do uderzenia ZSRS 17 września 70 proc. polskiej armii, w tym główne siły pancerne, nie weszło jeszcze do boju, a czołgi Guderiana stawały bezbronne na polskich polach z pustymi bakami. Więc to nie w Berlinie, jak uczyły nas szkolne podręczniki, lecz na Kremlu zapadła ostateczna decyzja o wybuchu tej przedostatniej z wojen.

A co Ukraina zrobiła ze swą niepodległością? Następnego dnia sprzedała ją jakimś szemranym typom z półświatka, którzy zaraz nazwali się oligarchami i zawładnęli całym bogactwem kraju. A w chwili próby odlecieli w swych prywatnych odrzutowcach, niczym bociany do ciepłych krajów. A ofiary Majdanu, Niebiesna sotnia, o co nas zapytają – o oddanie Krymu bez jednego wystrzału, o obronę donieckiego lotniska przez garstkę wolontariuszy nazwanych potem ukraińskimi cyborgami. A gdzie było w 2014 roku ukraińskie wojsko, gdzie byli ukraińscy generałowie?

Tak więc dziś stajemy przed o wiele ważniejszym pytaniem, niż to o zwycięstwo. Już odbiliśmy Kijów i Charków, już nie oddaliśmy Odessy, już wiemy, jak i czym wojować. Ale jeszcze nie postawiliśmy najważniejszego pytania: co po wojnie? I po jakiej wojnie? – lokalnej, a może jednak III wojnie światowej? Putin i jego świta są nieprzewidywalni, mogą w obliczu ostatecznej klęski się-

eprasa.pl 9d46fba629

gnąć po broń czasów ostatecznych. Czy wypróbują ją na nas – Ukraińcach, czy poważą się na konflikt światowy? Bo tu nie chodzi tylko o Ukrainę, tu USA walczy o swą przyszłość, o równoczesne osłabienie, złamanie nie tylko Rosji, lecz także popierających ją Chin. Zbyt długa reakcja Ameryki wynikała najpewniej z oczywistej dysproporcji sił Ukrainy i Rosji i zakładanego pewnego zwycięstwa Kremla. Dziś amerykańscy „analitycy" biją się w piersi i przyznają do karygodnego błędu w swych obliczeniach.

Dziś zawarcie rozejmu, tym bardziej podpisanie pokoju, oznacza, że za rok, dwa lata ruszy na Ukrainę o wiele większa nawała unowocześnionych i lepiej zorganizowanych wojsk rosyjskich. Jedyne, co może je powstrzymać, to całkowite rozgromienie i rozpad Rosji w wyniku obecnego konfliktu, co nie wydaje się jeszcze możliwe. Drugą opcją jest pełne włączenie Ukrainy w struktury NATO i Unii Europejskiej. Ale widzimy, że włączenie do Sojuszu Finlandii i Szwecji napotyka sprzeciw... Turcji.

I tu jest miejsce na Polskę, kraje bałtyckie i inne rzeczywiście wspierające nas państwa. Na szczęście Polska ma pełną świadomość „sytuacji dziejowej" i raczej nie wybierze katastrofalnego modelu pokoju brzeskiego, który zwiastował polskiej elicie nieodległy Katyń. Oby i nas nie podkusiło coś podobnego, zwiastującego nowy Gołodomor. Tu jednak spieszą nam „z pomocą" sami Rosjanie, rozstrzeliwując i gwałcąc setkami, tysiącami ludność cywilną, czym nie dają możliwości jakiegokolwiek wyboru. Już wiemy – rozejmu i pokoju być nie może, aż do pełnego oswobodzenia całej Ukrainy wraz z Krymem. A na to Rosja nie przystanie.

Polska liderem, ale potrzeba więcej chętnych

Mamy więc wojnę permanentną, ale to rodzi szansę zwycięstwa. A do zwycięstwa konieczni są nam sojusznicy. I Polska wydaje się tu najpewniejszym z nich. Ale nawet obecny, fascynujący Ukraińców stan pełnej mobilizacji Polski i Polaków na rzecz pomocy Ukrainie nie wystarczy do ostatecznej wiktorii, szczególnie przy hamulcach włączanych przez UE, Niemcy, Francję, Austrię i inne państwa starej Europy. Przypomnijmy: do dziś Polska nie otrzymała od UE przysłowiowego centa dla ponad 2 mln uchodźców z Ukrainy. Głównie matek z dziećmi, które mogą tylko częściowo wejść na polski rynek usług, z wyłączeniem hutników, górników i podobnych profesji, tak cennych w pilnej dziś produkcji zbrojeniowej.

Śmiech na sali wywołuje ostatnia obietnica przyznania 247 9999 9999, 99 mln EUR pomocy przez Komisję Europejską dla pięciu krajów Europy przyjmujących najwięcej uchodźców. To jest ewidentna kremlowska zagrywka swoimi agentami wpływu umieszczonymi głęboko na salonach Brukseli. Czyli przy łącznie około 5 mln uchodźców po 50 EUR na osobę.

Co jest więc potrzebne – budowa nie idei, lecz rzeczywiste włączenie Ukrainy jeśli nie w struktury NATO i UE, to w jakiś nowy, sformalizowany układ z Polską i krajami bałtyckimi. Unię, która pozwoli na swobodny przepływ osób, kapitałów i towarów, w tym broni. Miliony Ukraińców przeszły przez polską, a przecież zarazem unijną granicę bez wymaganych dokumentów, by otrzymać po drugiej stronie natychmiastową pomoc. Dziś Polska oferuje eksport ukraińskiego zboża przez swoje porty. Te inicjatywy powinny przyjąć oficjalne ramy prawne, już teraz budujące nową rzeczywistość, na przykład Trójmorza. A z ukraińskiej strony niech popłynie zapewnienie o pierwszeństwie krajów owej nowej Unii w odbudowie naszych ziem. To otworzy niewyobrażalne inicjatywy, może wtedy i polski rząd uchyli pięcioletni proces starań o Kartę Pobytu dla Ukraińców pracujących nad Wisłą.

A sama wojna to jest już interes globalny, gdzie ścierają się siły tak potężne, że każde z naszych państw oddzielnie ma niewiele do powiedzenia. Czy USA nie powrócą do idei izolacjonizmu, oddając całe NATO na żer Moskwy, czy Niemcy nie odmrożą swoich planów powrotu na utracone po II wojnie ziemie, o czym wyraźnie mówi ujawniona właśnie notatka sporządzona w 1990 roku w Berlinie, głosząca, że nie wolno dopuścić do reprywatyzacji polskiego majątku, co też się „samo z siebie" i stało. Może dlatego wszystko co wartościowe wpadło w ręce Niemców i nosi dziś nazwy niemieckich marek. To jeszcze gorzej niż bandycka ukraińska prywatyzacja, gdzie nasi miliarderzy noszą chociaż ukraińskie paszporty i mogą stanąć przed ukraińskimi sądami.

Na stole leżą wszystkie opcje. Także ta, że właśnie dziś zbudzi się, wywołana agresją Rosji, nowa potęga Trójmorza, by stać się gwarantem bezpieczeństwa, rozwoju i bogactwa należących do niego narodów. Stwórzmy ją już dzisiaj, bo jutro wciąż rysuje się mgliście. ■

_____

Ałła Malienko – przewodnicząca Kijowskiego Oddziału Związku Dziennikarzy Ukrainy.

eprasa.pl 9d46fba629

KULT BANDERY – PROBLEM I WYZWANIE DLA WSPÓŁCZESNEJ UKRAINY

Dlaczego pomimo takiej niechęci wobec Bandery, OUN, UPA, ich kult istnieje? Po pierwsze, społeczeństwo ukraińskie szuka nowych bohaterów – choć niepotrzebnie, bo ma wielu lepszych kandydatów. Po drugie, pokutuje brak wiedzy dolnych warstw społeczeństwa na temat zbrodniczej działalności OUN. Po trzecie to element rozgrywek politycznych i chęć przyciągnięcia elektoratu.

Igor Megger

Dużym problemem współczesnej Ukrainy jest rozpropagowany, szczególnie na terenie zachodniej Ukrainy, jawny kult postaci Stepana Bandery oraz współtworzonej przez niego Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) oraz jej zbrojnego ramienia Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Wokół jego postaci oraz tychże organizacji, a także wobec stosunku obecnych władz Ukrainy do nich, narosło wiele mitów, opinii – od skrajnie pozytywnych do skrajnie negatywnych – nie tylko na terenie państwa ukraińskiego, lecz także w krajach ościennych. Do retoryki porównywania obecnej Ukrainy do siedliska banderyzmu i nazizmu chętnie sięgają Putin i jego zwolennicy, co jest oczywiście przesadnie rozdmuchane, choć nie można ukrywać, że są pewne elementy w tej retoryce, które są zgodne z prawdą.

Usuwanie „przeszkód"

Aby ocenić, czy „kult Bandery", jak potocznie zwany jest ruch upamiętniający działalność jego i jego współpracowników, jest problemem realnym czy „nadmuchanym", należy przedstawić pokrótce jego historyczne tło oraz stan obecny.

Stepan Bandera urodził się w 1909 roku w Uhrynowie Starym – wsi położonej około 100 km na południowy wschód od Lwowa, jako syn greckokatolickiego kapłana. W okresie międzywojennym, od 1927 roku już jako student, zaangażował się w działalność ruchu OUN, którego celem było wtedy wspieranie rozwijania świadomości Ukraińców jako narodu oraz działania na rzecz uzyskania jak największej autonomii ku niepodległości. Była to organizacja uznana przez rząd polski za nielegalną, a według badań historyków finansowana przez ZSRS czy Niemcy na szkodę Polski.

Od 1929/1930 roku OUN zaczęła poprzez terroryzm występować jawnie przeciw zbliżeniu polsko-ukraińskiemu, do którego dążyły polskie władze. Prócz podpaleń i napadów rabunkowych dokonywała ona także morderstw, czego najsłynniejszymi przykładami są zabójstwo posła Tadeusza Hołówki w 1931 roku oraz ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w 1934 roku. OUN działalność terrorystyczną prowadziła nieustannie do wybuchu wojny w 1939 roku, a także w czasie tzw. kampanii wrześniowej w ramach dywersji na Wojsku Polskim.

Bandera stał osobiście za zamachem na ministra Pierackiego jako przewodniczący egzekutywy OUN, choć sam w akcji nie brał udziału. Jako główny organizator został skazany przez sąd polski na śmierć, która zmieniona później została na dożywocie. To za jego sprawą OUN rozpowszechniła terror indywidualny jako sposób zastraszenia i wymuszenia swoich celów.

Po wybuchu wojny zwolniony z więzienia, ponownie nawiązał kontakt z działaczami OUN. W tym czasie doszło w organizacji do rozłamu na dwie frakcje, które miały odrębne wizje działalności – bardziej ugodową „Melnykowców" oraz rewolucyjny OUN-R, której przywódcą został Stepan Bandera. Głównym kierunkiem programu było dążenie do uzyskania przez Ukrainę niepodległości w sojuszu z Niemcami, ale im nie podlegając. W tym miejscu rysuje się największy zarzut wobec tej organizacji. Otóż jako jedną z głównych przeszkód do uzyskania niepodległości OUN uznało wielokulturowość Ukrainy zachodniej. Należało ją „oczyścić". Na III konferencji OUN w lutym 1943 roku, po burzliwych dyskusjach postanowiono o siłowym rozwiązaniu „problemu polskiego". Wśród tych, którzy uważali Polaków za największych wrogów, był Roman Szuchewycz – główny dowódca UPA. Następstwem tego są okrutne rzezie Polaków na Wołyniu i Podolu, gdzie zginęło według różnych szacunków od 100 tys. do 150 tys. ludzi. Mordowano także Żydów i inne narodowości.

W tym czasie Bandera przebywał (od drugiej połowy 1941 roku) w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie był internowany (nie więziony) przez władze niemieckie. Opinie historyków różnią się na temat, czy miał kontakt i wiedzę na temat działań OUN i UPA w tym czasie. Jednakże biorąc pod uwagę luksusowe warunki, w jakich przebywał, kontakt z żoną oraz użyteczność dla Niemców tych działań, z dużą dozą prawdopodobieństwa należy przyjąć, że wiedzę posiadał. W 1944 roku zwolniony z obozu, brał udział w tworzeniu ukraińskich oddziałów u boku Niemców do końca wojny.

Po wojnie zamieszkał w ukryciu w Zachodnich Niemczech, gdzie nadal działał w podziemnych strukturach, po raz kolejny podzielonego OUN. Struktury przez niego prowadzone dokonywały w Zachodnich Niemczech zamachów na swoich przeciwników politycznych (około 100 morderstw). W 1959 roku Stepan Bandera został zamordowany przez NKWD przed swym mieszkaniem w Monachium. W tym mieście znajduje się też jego grób.

OUN i UPA po 1944 zaczęły walczyć z Sowietami, których uważały za największe zagrożenie dla swojego narodu, nie ustając, niestety,

eprasa.pl 9d46fba629

w mordowaniu ludności cywilnej. Dopiero „Akcja Wisła" w Polsce (rok 1947) oraz działalność NKWD (aż do drugiej połowy lat 50.), doprowadziła do rozbicia ruchu, choć po 1950 roku był już szczątkowy. Wtedy to w starciu z NKWD zginął Roman Szuchewycz – główny dowódca UPA. Większość szeregowych członków i żołnierzy została złapana, a część kierownictwa zbiegła przez zieloną granicę głównie do Zachodnich Niemiec i do Kanady.

Ulice, pomniki, muzea...

W czasach, kiedy Ukraina należała do ZSRS, temat OUN-UPA i Bandery w zasadzie nie istniał. Po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości kwestia „bohaterstwa" OUN-UPA także nie była powszechnie poruszana, tym bardziej że wśród większości społeczeństwa organizacja odbierana była negatywnie. Przywracano pamięć ofiarom represji stalinowskich, ofiar wielkiego głodu i żołnierzom ukraińskim z lat 1918–1920.

„Odrodzenie" pamięci o tych organizacjach i ich ludziach nastąpiło po „pomarańczowej rewolucji" w 2004 roku. Naród ukraiński odszedł wtedy od posowieckich bohaterów, na przykład wojennych czy sowieckich działaczy partyjnych, i zaczął szukać na ich miejsce „nowych bohaterów". Na tej fali, szczególnie na zachodniej Ukrainie, odrodził się kult Bandery. Kult społecznie niepopierany – partie skrajnie nacjonalistyczne w zachodnich obwodach uzyskiwały około 10 proc. poparcia w wyborach do parlamentu, a na wschodzie wyniki były śladowe. Upamiętnienie OUN i UPA było niewspółmierne wobec społecznego poparcia, więcej, było i jest, niestety, do dziś szkodliwe w oficjalnych kontaktach z państwami ościennymi. Doszło nawet do skandalicznej decyzji nadania tytułów bohaterów Ukrainy Banderze i Szuchewyczowi.

Można powiedzieć, że za rządów Wiktora Janukowycza (2010 –2014) „kult Bandery" został zawieszony, a nawet cofnięty. W 2011 roku odebrano tytuł bohatera narodowego nadany zarówno Banderze, jak i Szuchewyczowi. Po wydarzeniach z 2014 roku, zwanych potocznie Euromajdanem, kult Bandery odrodził się na nowo, mając przyzwolenie władz centralnych mimo wielkich kontrowersji i niechęci większości społeczeństwa. Sytuacja ta trwała aż do wybuchu obecnej wojny. Przykłady:

– wiele pomników Bandery, m.in. we Lwowie nieopodal dawnego katolickiego kościoła św. Elżbiety, muzeum w jego rodzinnej wsi, ulica w prawie każdym mieście zachodniej Ukrainy oraz w Kijowie (łącznie około 70 ulic);

– uznanie roku 2019 rokiem Stepana Bandery oraz 2022 rokiem UPA przez obwód lwowski;

– trzy pomniki Szuchewycza, trzy muzea upamiętniające jego osobę, co najmniej sześć miejscowości z ulicą jego imienia, w tym Lwów i Kijów, kilka honorowych obywatelstw ukraińskich miast;

– tablica upamiętniającą Szuchewycza zamieszczona na jednej z dwóch polskich szkół we Lwowie;

– nazwanie imieniem Romana Szuchewycza stadionu miejskiego w Tarnopolu w 2021 roku (po tym fakcie kilka polskich miast, m.in. Nysa, zerwało umowy partnerskie z Tarnopolem);

– publiczne upamiętnianie innych działaczy OUN-UPA, którzy winni są ludobójstwa na ludności polskiej, m.in.: Dymitra Kłaczkiwskiego;

– brak zgody władz obwodowych zachodniej Ukrainy na ekshumacje i godne upamiętnienie ofiar OUN-UPA;

– masowe publiczne używanie symboli powszechnie uważanych za symbole OUN-UPA, w tym czerwono-czarnej flagi oraz kontrowersyjnej pieśni o czerwonej kalinie;

– tablice i pomniki upamiętniające jawnie kolaborujące z Niemcami jednostki ukraińskie, w tym ukraińską dywizję SS „Galizien";

– do tego dodać należy rewizjonistyczne postawy (także dotyczące ziem polskich) niektórych skrajnych polityków, m.in. przywódcy partii Swoboda Ołecha Tiahnyboka (są to przypadki pojedyncze, ale niepotępione przez władze centralne).

W skali kraju powyższe działania nie są głównym nurtem państwowej polityki historycznej, lecz jednym z jej odłamów, i choć w ogólnym wymiarze liczba m.in. ulic nie jest duża, to jednak ich popularność w zachodnich obwodach może budzić niepokój.

Szansa na „oczyszczenie"

Biorąc pod uwagę powyższe, nasuwa się pytanie: dlaczego pomimo takiej niechęci wobec Bandery, OUN, UPA, nawet wśród własnego społeczeństwa, ich kult istnieje? Po pierwsze, społeczeństwo szuka nowych bohaterów – choć niepotrzebnie, bo moim zdaniem ma ich dość sporo i nie są oni kontrowersyjni. Po drugie, pokutuje brak wiedzy dolnych warstw społeczeństwa na temat zbrodniczej działalności OUN. Po trzecie, co dotyczy władz, to element rozgrywek politycznych i chęć przyciągnięcia elektoratu.

Czy Bandera jest godny kultu? Moim zdaniem nie, gdyż ideologia, którą propagował, i organizacja, którą stworzył, dopuściła się jednej z największych zbrodni ludobójstwa w trakcie II wojny światowej. To samo dotyczy innych przywódców, którzy ludobójstwu się nie sprzeciwiali, czy wręcz je popierali, jak Szuchewycz i Kłaczkiwski, a także organizacji OUN i jej zbrojnego ramienia UPA, które tego dokonało.

Obecna agresja Rosji w Ukrainie odsunęła dyskusję na temat „kultu Bandery" na drugi plan. Miejmy nadzieję, że po zakończeniu konfliktu władze Ukrainy oficjalnie go potępią oraz odrzucą jego symbolikę. I choć w całości działań OUN widać także patriotyzm i kierowanie są dobrem własnego narodu, to metody, które ta organizacja stosowała, były nie do przyjęcia. Mam nadzieję, że wobec bezmiaru pomocy, którą Ukraina obecnie otrzymuje, zmieni ona swoją politykę historyczną, która szkodzi prawdzie oraz kontaktom międzypaństwowym. Daje także argument Putinowi, który użył go jako pretekst do agresji.

Po zakończeniu konfliktu prezydent Wołodymyr Zełenski powinien głośno potępić banderyzm, który przyniósł tak wiele krzywd wielu narodom. Okazja jest idealna, gdyż wobec obecnej sytuacji jest wielu nowych bohaterów, którzy mogliby stać się niekontrowersyjnymi patronami ulic i szkół. I na takim fundamencie można ze spokojem budować przyjaźń i partnerstwo między naszymi narodami, nie zapominając przy tym o ich wspólnej, choć nie zawsze jasnej historii. ■

Igor Megger – historyk, wiceprezes Poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz redaktor naczelny kwartalnika kresowego „Głosy Podolan".

eprasa.pl 9d46fba629

Ryszard Czarnecki

Polska–Ukraina: interesy, nie sentymenty

Stosunki Warszawa–Kijów budujmy na opoce wzajemnych interesów, a tych jest wiele, zarówno w sferze geopolitycznej, międzynarodowej, jak i gospodarczej.

Mało już kto pamięta, pod jakim hasłem prezydent Zełenski wygrał wybory prezydenckie na Ukrainie. Otóż obiecał on rodakom... zakończenie wojny z Rosją. Serio! Oczywiście to, że słowa nie dotrzymał, w najmniejszym stopniu nie jest jego winą. Wówczas Zełenski i jego obóz sprytnie przedstawiali ówczesnego prezydenta Petro Poroszenkę jako lidera „stronnictwa wojny", a siebie jako tych, którzy potrafią załatwić, że będzie pokój. Być może późniejszy prezydent Zełenski rzeczywiście wierzył, że jak nie będzie stosował wojowniczej retoryki wobec Moskwy, to Kreml odstąpi od swoich imperialnych planów.

To już przeszłość. Ale ciekawa, nieprawdaż? Jednak skupmy się na tym, co będzie w przyszłości. Tej bliskiej i tej bardziej odległej. Zakładam, że wojna w Europie Wschodniej potrwa długo. Spodziewam się też – i na to konsekwentnie gra Rosja – że przedłużająca się wojna może spowodować zmęczenie opinii publicznej i klasy politycznej szeroko rozumianego Zachodu, a co za tym idzie – osłabienie wsparcia dla Kijowa. Sądzę zresztą, że strona ukraińska też z tym się liczy. Stąd dramatyczne apele o broń i instrumenty do jak najszybszego zwycięskiego zakończenia wojny. Jeżeli konflikt będzie się przedłużać – a będzie – okazać się może, że niektóre kraje Zachodu w sprawie Ukrainy wykazały „słomiany zapał", a inne taktycznie chciały przeczekać do czasu, gdy znów można będzie robić biznesy z Rosją. Wtedy okaże się, kto jest naprawdę sojusznikiem Ukrainy, a kto nie. Polska na pewno będzie należała – w dobrze pojętym własnym interesie – do tego właśnie grona sojuszników realnych i na „long term".

Jakie są warunki naszej strategicznej, długofalowej współpracy z Kijowem?

Po pierwsze, porzucić mrzonki. Eksponowanie w ostatnim czasie przez niektórych polityków, ale zwłaszcza publicystów, idei federacji polsko-ukraińskiej, a więc stworzenia 90-milionowego organizmu z bardzo silnymi „kartami" w międzynarodowej grze, ładnie wygląda na papierze, lecz powiedzmy sobie szczerze, że Kijów nie po to dziś krwawi, broniąc niepodległości, aby jutro tłumaczył swoim obywatelom, że celem tej wojny było stworzenie federacji polsko-ukraińskiej. Ukraińcy przez wiele lat będą cieszyć się własnym państwem i raczej alergicznie reagować na wszelkie koncepcje nie tyle sojuszu – bo o tym trzeba rozmawiać – co formalnej dwunarodowej struktury. Przestrzegam przed forsowaniem koncepcji federacji Warszawa–Kijów, bo może to wręcz popsuć obecnie bardzo dobre nasze relacje z obawy przed polską dominacją, jako kraju silnego gospodarczo, niewyniszczonego wojną, z 23-letnim stażem w NATO i 18-letnim stażem w UE.

Po drugie, wzajemne relacje należy oprzeć nie na sentymentach wynikających z rzeczywiście wielkiej polskiej pomocy podczas „pierwszego Majdanu" i Majdanu nr 2, czyli „Euromajdanu", a już zwłaszcza gigantycznej, nieporównywalnej z niczym pomocy w okresie napaści Rosji na naszego wschodniego sąsiada. Stosunki Warszawa–Kijów budujmy na opoce wzajemnych interesów, a tych jest wiele, zarówno w sferze geopolitycznej, międzynarodowej, jak i gospodarczej.

Ukraina jeszcze przez długie lata będzie potrzebowała polskiego wsparcia. Zwłaszcza że może spodziewać się – o czym powinna już wiedzieć – raczej instrumentalnego traktowania przez kluczowe kraje Zachodu. Pytanie: na ile będzie umiała wyciągnąć wnioski z niedawnej przeszłości, kiedy to zwłaszcza w drugiej części kadencji Poroszenki postawiła na Niemcy, które „brały, ale nie kwitowały", a w tym samym czasie inwestowały w relacje Berlin–Moskwa, oczywiście kosztem Kijowa.

Polacy są narodem emocjonalnym, uczuciowym, a to udziela się również naszej klasie politycznej. Radziłbym uważać, bo od miłości do Ukrainy do zawiedzionej miłości jest tylko jeden kroczek. Lepiej pragmatycznie, pozytywistycznie, bardzo konkretnie szukać wspólnego interesu, „wspólnego mianownika" w polityce europejskiej i transatlantyckiej oraz w obszarze gospodarki. Na tym trzeba budować – przy całym szacunku dla duchów Piłsudskiego i Petlury... ■

eprasa.pl 9d46fba629

Małgorzata Matuszak

Czym jest... wdzięczność

Sokrates zaliczył ją do kanonu praw, które obowiązują wszystkich ludzi wobec bogów. Hipokrates nazywał ją „eucharystią". Przez Cycerona nazywana została cnotą nie tylko największą, lecz wręcz matką wszystkich cnót. Mowa o wdzięczności, niesłusznie sprowadzanej dzisiaj do ekonomicznego rachunku zysków i strat, kalkulacji po stronie „winien" i „ma" albo też do techniki czy strategii, dzięki której możemy sobie poprawić nastrój. Niewystarczające jest również sprowadzanie wdzięczności do uczucia. Owszem, zawiera ona pragnienie i potrzebę wzajemności i jest stanem, który możemy rozwijać, wpływając tym samym na jakość naszego życia, bo jest czymś, co nas uszczęśliwia, nie można jednak ograniczać jej do jednego tylko z jej aspektów.

„Słownik języka polskiego" wyróżnia dwa różne rodzaje znaczenia wyrazu wdzięczność. Pierwszy definiuje ją jako uczucie będące reakcją na doznane od kogoś dobro oraz płynące stąd poczucie zobowiązania moralnego i pragnienie odwzajemnienia się; drugie – używane dzisiaj rzadziej – jako bycie wdzięcznym, miłym, uroczym. Pierwsze odnosi się do stanu ducha osoby, która doświadczyła dobra ze strony innego (Innego – jeśli odwołamy się do filozofii dialogu), i obejmuje radość z uczucia przyjaznej akceptacji tego, kto pomocy udzielił, i potrzebę podzielenia się swoją radością z jej sprawcą. Drugie znaczenie obejmuje raczej intelektualny i cielesny wysiłek prezentacji własnej osoby jako atrakcyjnej i wartej nawiązania z nią kontaktu.

Wdzięczność jest często łączona ze sprawiedliwością – wyświadczenie jakiegoś dobra postrzegane jest jako źródło powstania obowiązku spłaty. Dlatego przyjmowanie wdzięczności przychodzi nam z łatwością, okazywanie jej jest zaś trudem. Nie lubimy bowiem mieć długów, nawet jeśli miałby to być dług wdzięczności... Obowiązuje bowiem w tym przypadku zasada wzajemności, nakazująca odpłacenie za otrzymane dobro. „Żadna powinność nie jest tak nagląca jak powinność odwdzięczenia się" – pisał Cyceron. Jeśli zaś długu wdzięczności nie spłacimy, doprowadzimy do poważnego uchybienia moralnego. Trzeba jednak pamiętać o tym, że w tym wypadku sprawiedliwość, chociaż wymaga równości i proporcjonalności, zważać musi na to, że równość tutaj jest raczej zadaniem niż tym, co dane. Owa ekstatyczność, stanie na zewnątrz równości jako ogólnej zasady sprawiedliwości, domaga się nieustannego stawania wobec i ustępowania przed nią jako zasadą. Istnieją wszak ci, wobec których na zawsze już pozostaniemy dłużnikami. Często dotykamy bowiem niewyważalnego. Próbujemy wymieniać niewymienialne. A przecież to, co samo w sobie jest wartością, nie może i nie chce być odmierzane czymś innym. Wobec pewnych darów zawsze będziemy niespłacalnymi dłużnikami, bo otrzymaliśmy nieodpłacalne.

Wdzięczność to nasza reakcja na doświadczone dobro. Problem polega na tym, że nie zawsze jesteśmy w stanie owo dobro dostrzec. Nie widzimy, jak wiele dobra doświadczamy, nawet na co dzień. Wdzięczność jest przychylnością, pewnego rodzaju miłością wobec tych, którzy uczynili nam coś dobrego, choć wcale nie mieli takiego obowiązku. Bardzo radykalny w tym względzie był Immanuel Kant: „Nawet jeśli odpłacę memu darczyńcy po wielokroć, nie wyrównam z nim rachunku, ponieważ okazał mi życzliwość, mimo iż nie był do tego zobowiązany. Moje działanie będzie tylko odpłatą".

> WDZIĘCZNOŚĆ TO NASZA REAKCJA NA DOŚWIADCZONE DOBRO.

Spojrzeć trzeba też na wdzięczność z drugiej strony – od strony darczyńcy. Dar i wdzięczność za niego nie spotykają się ze sobą tak jak dług i jego spłata. Dobroczyńca, który liczy na odpłatę, przestaje być bezinteresowny. Pomaga się drugiej osobie nie dlatego przecież, by była ona wdzięczna. Jeśli pomagamy, oczekując wdzięczności, robimy to tak naprawdę nie dla drugiego, lecz dla siebie. Uprzedmiotawiamy wtedy osobę, której pomagamy, i dowartościowujemy samych siebie, pompujemy swoje „ego". Dar, za który oczekujemy „odpłaty", przestaje być darem. ■

eprasa.pl 9d46fba629

WILL DURANT, CIĄGŁOŚĆ DZIEJÓW I DZIEDZICTWO LUDZKOŚCI

Jakub Augustyn Maciejewski

Cywilizacje mniej dzieli, a więcej łączy – przekonywał swoim wielkim dorobkiem. Człowiek zmienił się na przestrzeni kilkudziesięciu tysięcy lat mniej niż przypuszczają współcześni myśliciele – twierdził. I podawał na to liczne dowody, ukazując, jak wiele jest ciągłości między człowiekiem z jaskini, średniowiecznym rycerzem a dzisiejszym bywalcem teatrów czy widzem seriali.

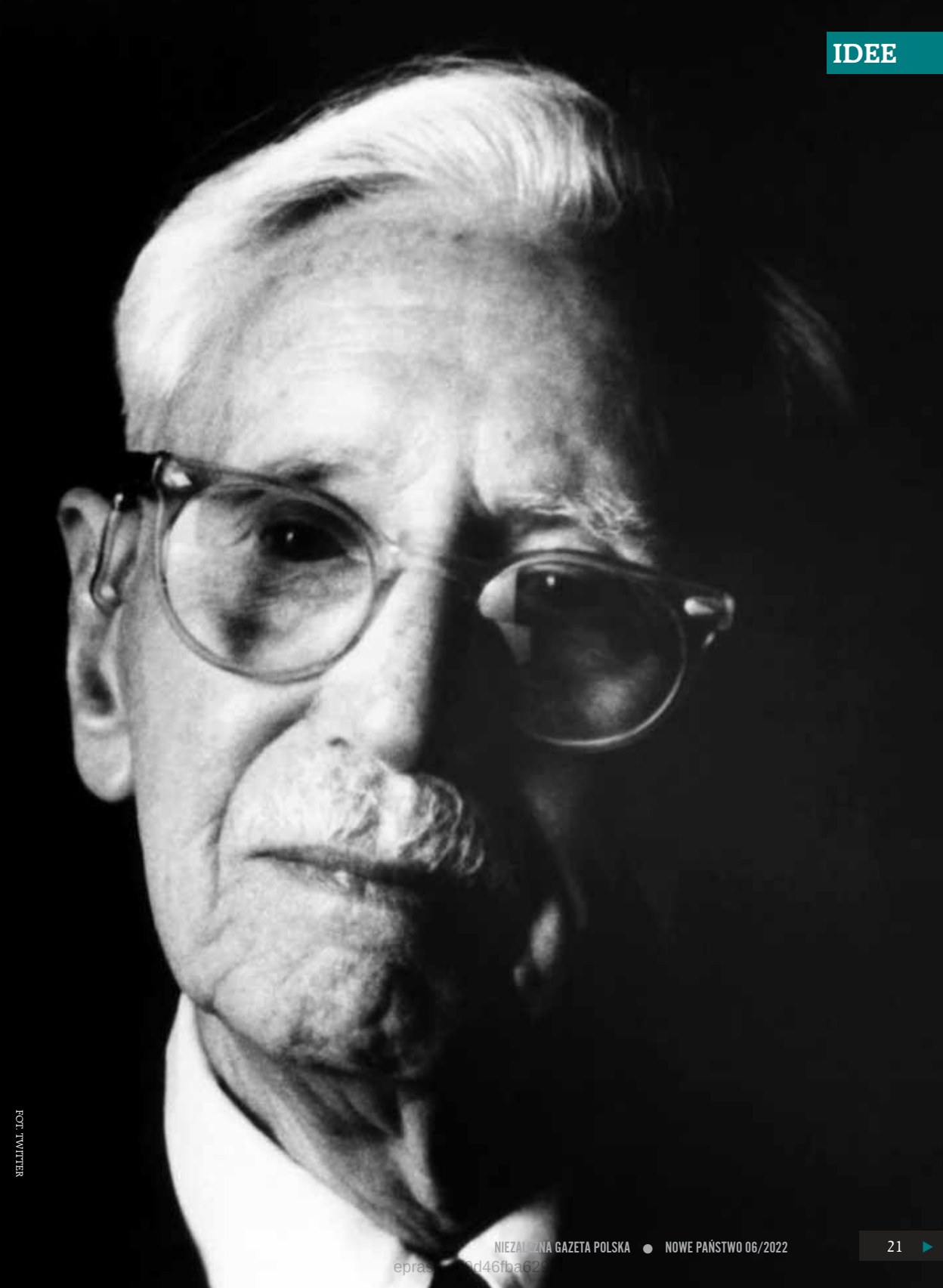

FOT. TWITTER

epras[illegible]d46fba62[illegible]

W ciągu swojego długiego życia (1885 –1981) napisał pięćdziesiąt książek, czterdzieści pięć rozdziałów do książek zbiorowego autorstwa, ponad 150 artykułów, a do tego listy i polemiki, udzielił setek wywiadów i swoją twórczością objął dzieje ludzkości i dzieje myśli od pierwszego dnia historii do jego współczesności. Will Durant pozostawił po sobie szereg uniwersalnych spostrzeżeń dotyczących historii idei. Nowatorstwo Duranta ma jednak kilka mocnych założeń, na które nikt wcześniej nie zwrócił uwagi. W jedenastotomowej pracy „Historia cywilizacji" opisał niewiele wielkich wspólnot, jak babilońska, egipska czy zachodnia, lecz dzieje ujął jako nawzajem przeplatające się korzenie jednego drzewa ludzkości. Zachód od Mekki po Rzym jako jedna cywilizacja? Nie jest to postmodernistyczne mieszanie wartości, lecz wykazanie, jak wiele ze współczesnych wyobrażeń powstało tysiące czy setki lat temu.

Amerykański filozof patrzył w przeszłość i widział nie Persów zwalczających Babilon czy barbarzyńców niszczących Rzym, lecz jedno, arcybogate i różnorodne dziedzictwo. „Możemy się zdziwić ucząc się, jak wiele niezbędnych nam wynalazków, naszych ekonomicznych i politycznych instytucji naszej nauki i literatury, naszej filozofii i naszej religii, wiąże się z Egiptem i Orientem" – pisał w pierwszym tomie swojego *opus vitae*. Durant widział między człowiekiem z maczugą a człowiekiem z rakietą atomową ścisłą ciągłość i przeglądając 6 tys. lat, tę ciągłość wykazał. Dostrzegał oczywiście, że Arabowie tworzą jedną wspólnotę, a ludzie z Bizancjum drugą, ale widział tam wiele podobieństw i wspólnych korzeni, a nie odrębności nie do przeskoczenia.

Dziki człowiek zakłada cywilizację

Dzisiaj psychologia ewolucyjna opowiada nam, jak to człowiek żyje dziś w świecie nowoczesnych technologii, ale jego mózg, który wykształcił się dziesiątki tysięcy lat temu, nie nadąża za zmianami. Kiedyś trzeba było jeść na zapas, bo zimą brakowało zaopatrzenia, dziś jemy na zapas i tyjemy oraz nabawiamy się różnych chorób. Durant jeszcze przed rozważaniami psychologii ewolucyjnej widział, jak w obecnych czasach uwidaczniają się zwyczaje prehistoryczne, choć Amerykanin bardziej się tym zachwycał niż – jak to dzisiaj ma miejsce – przed tym przestrzegał.

W takich łowczych, w mężczyznach z prymitywnymi dzidami, widział coś więcej niż szukanie pożywienia. Polowania – zdaniem autora „Historii cywilizacji" – wykształciły szereg cech u człowieka, który też uzależnił się od pewnych emocji związanych ze ściganiem i zabijaniem zwierząt. Nauczył się współpracy – do zabicia mamuta potrzebna była cała grupa współplemieńców – nauczył się specjalizacji – jeden rzucał dzidą, inny wbiją swoją w szyję stworzenia; przywykł do hierarchii – w oczekiwaniu na polecenie jednoczesnego ataku. Ale to nie wszystko – polowanie było nie tylko zdobyciem jedzenia, lecz także sztuką, dostarczało adrenaliny, bywało piękne, potem śpiewało się o nim pieśni, zostawiano w jaskiniach malowidła ścienne, powtarzano o tym legendy. Dziś polujemy poprzez zakupy w sklepie, „nie zabijając w terenie, ale nasze wspomnienia z pościgu trwają w tej radosnej pogoni za czymś słabszym, za zbiegiem, którego widzimy w grach, w zabawach naszych dzieci, a nawet w przekomarzaniach słownych" – przekonywał historyk, co niewiele później zaobserwował również Johan Huizinga w swojej pracy „Homo ludens". Durant zaglądał do pierwotnej jaskini i widział dzisiejsze placówki kultury i skomplikowane systemy edukacyjne: „katedra i ratusz, muzeum i sala koncertowa, biblioteka i uniwersytet to tylko fasada, za którą kryje się pradawne polowanie". Dostrzegać w dyrygencie czy wykładowcy dzikusa biegnącego za niedźwiedziem – oto ciągłość i przenikliwość amerykańskiego filozofa.

Narodziny rodziny, męskości i kobiecości

Tak wyglądają tysiące stron serii cywilizacyjnej Duranta – sięga do dalekiej przeszłości, a nagle zaskakuje nas współczesnym nawiązaniem. Opisuje na przykład, jak przed wynalezieniem pisma ścierały się dwa modele pokrewieństwa – klanowość i rodzinność. Dziś żyjemy w modelu rodziców opiekujących się dziećmi, ale na niektórych wyspach (Tahiti) czy w rozległej Afryce warunki życia wymagały zwartego klanu, by przetrwać. Kobieta mogła zajmować się także nie swoimi dziećmi i musiała traktować je tak samo, inaczej wioska nie przetrwałaby zawirowań, gdy dorośli musieli zmagać się z wyzwaniami przyrody. Gdzieś w opisach Duranta pobrzmiewa jednak pytanie – a co by było, gdyby to klanowość zdominowała nasze wyobrażenia o pokrewieństwie? Może nie żylibyśmy w mieszkaniach odgrodzonych od siebie ścianami, lecz w halach plemiennych podporządkowanych najstarszemu kapłanowi i najsprawniejszemu wodzowi?

Z takimi pytaniami historyk oprowadza nas po kolejnych etapach ludzkości – o tym, jak kształto-

eprasa.pl 9d46fba629

wała się rola mężczyzny i kobiety, ojca i matki, jak rosło znaczenie małżeństwa jako specjalnego, uświęconego obrzędu. To, co dziś jest oczywiste, tworzyło się przez tysiące lat prób i błędów, z których najwłaściwsza droga wyprostowała się dopiero setki lat temu.

Jak wynaleziono korupcję i prostytucję

Początki zjawiska korupcji filozof dopatrywał się w starożytnym Egipcie, ale było to coś znacznie głębszego niż zwykłe wręczanie urzędnikom korzyści majątkowych. Faraon Echnaton miał być wściekły na kult Amona m.in. dlatego, że składanie w świątyniach ofiary uczyło specyficznego handlu – podarek za nieoficjalną łaskę. Ciekawe, że władca przegrał z kultem Amona i ostatecznie pamięć po nim była wymazywana, a kapłani Amona nadal zbierali od Egipcjan żywność i kosztowności, obiecując rozmaite przysługi z niebios. Czyż dzisiaj mniejszą wszechmocą nie wykazuje się lekarz biorący łapówkę za ocalenie życia na stole operacyjnym albo urzędnik przyjmujący kopertę za spełnienie marzenia – przyznanie zgody na budowę domu? Błędy ludzkości ciągną się za nami od tysięcy lat!

Rzecz jasna już w szkołach uczymy się o tym, jak to po Egipcjanach odziedziczyliśmy rok słoneczny, po Babilończykach system liczbowy, po Rzymianach litery, a po Arabach cyfry. Jednak nauka zawsze wzrasta na swoich poprzednikach, zaś Durant twierdzi, że nasze obyczaje i wyobrażenia także wynikają z wcześniejszych zjawisk, a nie – jak twierdzi wiele nurtów liberalnych – w przeciwieństwie do nich. Bo oprócz miar, wag i kodeksu Hammurabiego Babilonia pozostawiła nam na przykład prostytucję. Może się więc okazać, że wcale nie jest to najstarszy zawód świata, skoro Durant odnalazł jej korzenie, choć chodzi tu o coś więcej niż tylko oddawanie się mężczyznom za pieniądze, lecz o całą funkcję społeczną. Babilończycy rozdzielali religię od moralności i uważali, że powinny istnieć miejsca takich fizycznych zbliżeń, w których seks będzie rozwijany i udoskonalany. Dziś nazywamy je domami publicznymi czy już agencjami towarzyskimi, a wówczas między Tygrysem a Eufratem były to domy zbliżone swoją rolą do... świątyń. Specyficzne to podejście do prostytucji przebija jednak w niektórych aspektach społecznych, skoro swoje kurtyzany mieli królowie, a erotyka i pornografia jest dziś wręcz gałęzią rozrywkowego przemysłu – i to wszystko przez poddanych Nabuchodonozora.

Wynalazcy aparatu represji

Twórców państwowego i rządowego aparatu represji Durant upatrywał w Asyryjczykach. Ich rozległe i agresywne podboje wymagały nie tylko przestrzegania prawa, lecz także posłuszeństwa i gorliwości żołnierzy – tu nie wystarczy kodeks Hammurabiego i kilku sędziów, tu potrzeba całego systemu egzekwowania rozkazów. Pojawiają się pierwsze więzienia i obozy pracy, a po ulicach czy gospodach chodzą królewscy szpiedzy, słuchając, czy aby nikt nie krytykuje władzy. Tutaj dochodzimy do systemu rozwijania się cywilizacji, skoro Babilończycy stworzyli skodyfikowane prawo, a Asyryjczycy opracowali, jak karać za jego łamanie i w ogóle jak wykrywać sprzeciw wobec ustalonego porządku. Upraszczając i pozwalając sobie na publicystyczną *licentia poetica*, można powiedzieć, że prawzorem Konstytucji był Kodeks Hammurabiego, prawzorem Trybunału – kapłani egipscy, ale więzienia i śledztwa prokuratury dodali dopiero Asyryjczycy.

Oczywiście ludzkość w późniejszym czasie brała z tych źródeł w różnych proporcjach. Szwajcarzy mniej przypominają Asyryjczyków niż nazistowskie Niemcy czy okrutna i represyjna Rosja. Na innym fundamencie stoi rodzina w świecie chrześcijańskim, bardziej na klanach oparli się muzułmanie, a całość klanowych zasad zachowały niektóre plemiona w Afryce. Dla Duranta jednak kolejne pokolenia i kolejne kultury dobudowywały nowe zjawiska, które ubogacały ludzką cywilizację.

Cywilizacja w miastach, a barbarzyńcy ze wsi

Dodatkowo historia przyśpiesza – zjawiska, które dawniej rodziły się przez tysiące lat – zaczęły powstawać w setki lat, a dziś niektóre pojęcia (na przykład płci) zmieniają się każdego roku. Grecy i Rzymianie zostawili nam ogrom wyobrażeń i myśli, filozofię i naukę, zwyczaj debatowania jako dochodzenia do prawdy, ale też prozaiczne rozwiązania, jak adopcja dzieci. W Starożytnym Rzymie zrodził się też podział na – nazwijmy to współcześnie – postępowe miasta i konserwatywną wieś. Chrześcijaństwo szybko przejmowało ludność metropolii, zaś z trudem przekonywało do siebie peryferie i prowincję. Słowo „poganin" pochodzi od łacińskiego „pagus", czyli wieś – bo właśnie na wsi bogowie niechrześcijańscy ostali się najdłużej.

W miastach Durant dostrzega też inne oznaki życia, z którymi borykamy się dzisiaj. Rzymianie

eprasa.pl 9d46fba629

byli towarzyscy, zabawowi, ale też nie tak twardzi, można by powiedzieć, że zniewieściali. To dlatego barbarzyńcy mieli ułatwione zadanie w zdobywaniu imperium, gdy bogactwo i konsumpcjonizm zapanowały w stolicach i metropoliach. O najeźdźcach, dziś będących synonimem gburów i dzikusów, Durant pisał: „Choć brakowało im uprzejmości i wdzięku kulturalnych ludzi, często nękali Rzymian swoją odwagą, gościnnością i uczciwością". Wynika z tego, że wielkomiejska codzienność uczy też gier i intryg, które demoralizują. Barbarzyńcy „byli indywidualistami aż do granic anarchii, gdy zaś Rzymianie miłowali towarzystwo i pokój".

Rywalizacje religii

Oczywiście największym dziedzictwem tamtych czasów było chrześcijaństwo wraz z całym repertuarem moralności i duchowości. Dla Duranta jest to czołowe osiągnięcie ludzkości, bo właśnie wiara w Boga Nowego Testamentu uczyniła nas najbardziej rozwiniętymi, najmniej zwierzęcymi. W jednym z wywiadów historyk mówił: „Wciąż sprzeciwiamy się przekonaniu, że człowiek wciąż jest zwierzęciem. Najgłębszą rzeczą w jego naturze jest instynkt przetrwania instynkt łowiecki". Potem zaś ludzkość zaczęła wytwarzać kulturalnę presję, społeczne zasady, które coraz bardziej wyróżniały nas od zwierząt. „Moralność toczy trudną walkę przeciwko tym dwóm dziedzictwom [przetrwanie i łowiectwo]. Musimy dostrzec ogromną trudność w przekształceniu zwierzęcia i myśliwego w obywatela, cywilizowanego człowieka" – przekonywał badacz pod koniec życia. To właśnie chrześcijaństwo tego przekształcenia dokonywało w największym stopniu, a Zachód zaczął ją w pewnym momencie odrzucać. „Dwudziesty wiek zbliża się do końca, nie znajdując jeszcze naturalnego substytutu religii w przekonywaniu ludzkiego zwierzęcia do moralności" – zauważał Durant, zaniepokojony, że bez tych zasad dojdzie do zła i upadku naszej części ludzkości. Między innymi z tego powodu historyk upatrywał w Dalekim Wschodzie dynamikę rozwoju, której zaczęło brakować Zachodowi.

A przecież 800 lat temu ta dynamika wynikała z rywalizacji między kręgami cywilizacyjnymi. Historyk szeroko opisuje, jak świat arabski i chrześcijański ścigały się w dziedzinie rozwoju naukowego w pierwszych wiekach II tysiąclecia. Ośrodki koraniczne od Hiszpanii po Damaszek rozwijały astronomię i medycynę, zaś w odpowiedzi papiestwo powoływało uniwersytety i zakony, przepisujące księgi. Była to więc inna rywalizacja niż Egiptu z Babilonią, które walczyły ze sobą na polu bitwy, lecz pojedynek na osiągnięcia intelektualne, duchowe i społeczne. Przy czym Durant rozpoczyna też snucie opowieści, którą wszyscy historiozofowie widzą jedynie w zachodniej wspólnocie – narodziny narodów. Inaczej myśl rozwija się na gruzach rzymskich miast w Italii, a inaczej na wyspiarskiej Anglii, która musiała koncentrować się na odpieraniu francuskich wpływów. Włochy zatem wykształcą osobną estetykę, a w Londynie rozrastać się będą koncepcje polityki i rozgrywek międzynarodowych. Zachód będzie więc budował w rozległym nurcie gotyckim, ale każdy krąg kulturowy będzie miał swój odrębny wariant. Wyspiarskie ciężkie i grube ściany będą różniły się od lekkich i wzniosłych konstrukcji Paryża. Ta różnorodność jest niejako prababką różnic narodowych, tylko że dziś oddziela nas nie tylko konstrukcja witraży, lecz narodowa literatura, postrzeganie przeszłości czy cechy poszczególnych nacji. Tak jak człowiek idzie do kina poczuć adrenalinę pradawnego łowcy, tak Brytyjczyk będzie patrzył na politykę chłodno jak średniowieczni Normanowie – ciągłość cywilizacyjna nadal trwa, nieważne czy ma 50 tys. lat czy zaledwie 800.

Krytyka i podziw dla chrześcijaństwa

Ciągłość między dorobkiem ludzkości trwa nie tylko w czasie, lecz także w przestrzeni. Durant opisuje, jak wiele kręgi arabskie, greckie i łacińskie zapożyczyły od siebie. Od wielkich intelektualnych wyzwań, jakimi były tłumaczenia klasyków greckiej filozofii, przez artystyczny kunszt mozaiki, która przywędrowała z Bizancjum do Francji, po politykę, gdzie władza świecka i duchowa walczyły ze sobą o miejsce na piramidzie władzy. Historyk z jednej strony ulega mitowi o „ciemnych wiekach" średniowiecza, w których miał nastąpić intelektualny regres, a z drugiej strony całe rozdziały poświęca rozwojowi ludzkiej myśli: uniwersytety, szkoły, biblioteki, przepisywanie ksiąg, spory i debaty, filozoficzne traktaty i wiele innych. Właściwie osiągnięciom średniowiecza autor poświęca więcej miejsca niż tym mitycznym wiekom postępu jak XVIII czy XIX stulecie. Można więc powiedzieć, że i Durant padł ofiarą ciągłości – zaczerpnął wnioski z oświeceniowych kpiarzy deprecjonujących średniowiecze, gdy sam wymieniał długą listę argumentów, które tym wnioskom przeczyły.

Przy czym trzeba wspomnieć, że trzeci tom „Historii cywilizacji" był wyrazem szczególnego uzna-

eprasa.pl 9d46fba629

nia dla chrześcijaństwa, opisując przełom er – przed Chrystusem i po Nim – jako wzajemne współtworzenie się Zachodu poprzez przenikanie cezarowego cesarstwa Rzymskiego z duchem chrześcijaństwa. Jeśli w obronie uciśnionych niewolników wystąpił Spartakus – przegrał, jeśli kilkadziesiąt lat później zrobił to Jezus – wygrał. Oba zjawiska były możliwe dzięki strukturze imperium, które stało się areną dziejów z wzajemnie wykluczającymi się wizjami ustroju i społeczeństwa. Można powiedzieć, że kultura Rzymu proponowała rozwiązania polityczne, które okazywały się przegrywać z analogicznymi propozycjami chrześcijaństwa. Nie tylko wizje Spartakusa uległa Chrystusowemu zbawieniu, nie tylko świątynie chrześcijan okazały się trwalsze i mądrzejsze niż pogański kult świętowania i obrzędów. Gdy cesarz Dioklecjan próbował naprawiać ekonomiczne nierówności i wyzysk, jego edykty i prawa upadły pod ciężarem ludzkiej natury – nie udało się narzucać cen, upaństwawiać ośrodków produkcji, podatkami wyrównać różnic majątkowych. Jezus, który te różnice nakazał znosić z pokorą i pracować sumiennie z oczekiwaniem na zapłatę po śmierci, okazał się pozostawić nam wielokrotnie trwalsze dziedzictwo. Można więc powiedzieć, że cesarstwo i jego elity proponowały i forsowały spektakularne rozwiązania, które stosunkowo szybko kończyły swój żywot, zaś ciche i nieoficjalne postulaty chrześcijan dojrzewały stopniowo i pozostawiały trwalsze i stabilniejsze dziedzictwo.

Wybitni ludzie i ich niewybitne plany

Dla Duranta cywilizacja dzieli się na obfite w kluczowe wydarzenia centrum i mniej aktywne peryferie. Polska wypadła tutaj drugorzędnie, choć i ona była sceną ważnych rozgrywek kulturowych i militarnych. Historyk jednak koncentrował się na przemianach we Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii i czasem Italii, których twórcze ruchy emanowały potem na pozostałe kraje. Stąd właśnie Durant tak wiele miejsca poświęcał garstce myślicieli, władców i polityków zachodniej Europy. Ludwik XIV, kardynał Mazarin, a potem Wolter czy Rousseau mieli według niego większy wpływ na ludzkość niż miliony chłopów uprawiających ziemię czy stopniowe procesy gospodarcze kilku stuleci. Z drugiej strony – to u historyka widać bardzo wyraźnie – te drogi, na które cywilizację pchnęły decyzje władcy Francji czy traktaty myślicieli oświecenia, może i były szybkie i spektakularne, ale za to niezwykle kruche. Mocarstwo króla słońce z wyżyn swojej potęgi szybko wpadło w długi i spirale degenerujących się elit, a Woltariańska wolnomyślność i tolerancja zaprowadziły ludzkość do totalitarnych rozwiązań rewolucji francuskiej. Człowiek jawi się tutaj jako pełen nieprzemyślanych kroków, intencji, które obracają się przeciwko niemu, ta niestabilność jego myśli i czynów nie pozwala nam trwale oprzeć się na jego propozycjach. Podobnież było z Napoleonem – ostatecznie zwyciężył nie on, a rozwiązania prawne i koncepcje narodowe, jakie zarysowały się podczas jego burzliwego panowania. Można powiedzieć, że między wierszami prac Duranta wyłania się człowiek z wolną wolą i wielkim wpływem na historię, ale ten wpływ jest inny niż jego twórcy by sobie wyobrażali. Czyż nie jest to podobne do zrywów Spartakusa, Cezara i Dioklecjana, których kampanie i wizje rozpadły się, czasem jeszcze za ich życia, a wytrwały mozolnie i cicho realizowane wizje, na przykład chrześcijaństwa?

Trudna współczesność

Właśnie o obumieranie tych długoterminowych procesów Durant oskarżał współczesność. Jeśli mamy w sobie okiełznać zwierzęcość, potrzeba czegoś więcej niż dyktatorów i prezydentów, choćby nie wiadomo jak mądrych i przenikliwych. To silna i rozległa kultura, a także religia, mogą dostarczyć społeczeństwu konstrukcji, na której się ono utrzyma. Bez tego czeka nas to, co Duranta najbardziej przerażało – chaos. Właśnie obumieranie trwałych idei martwiło historyka, który większy potencjał na stabilność i moc zaczął dostrzegać w Dalekim Wschodzie. Już w połowie XX wieku, gdy USA było wielką potęgą, Związek Sowiecki zdawał się dominować nad Azją, filozof widział rosnącą potęgę – cywilizacyjną właśnie – gdzie indziej. „W tym historycznym momencie gdy przewaga Europy tak nagle zbliżą się do końca, gdy Azja rośnie swoim zmartwychwstałym życiem a wątek XX wieku zmierza do pełnego konfliktu między Wschodem a Zachodem – prowincjalizm naszej tradycyjnej historii, [...] staje się nie tylko akademickim błędem, ale prawdopodobnie fatalnym fiaskiem perspektywy i inteligencji. Przyszłość zwraca się w stronę Pacyfiku i nasze zrozumienie musi tam podążać" – przekonywał.

W pismach Duranta mamy więc kolejną diagnozę i zapowiedź schyłku Zachodu i kolejne wezwanie do sformułowania wielkich, uniwersalnych idei, a nie rozrywania pomniejszych kwestii, na przykład zbrojeń czy produkcji stali, pomiędzy państwowymi graczami. Potrzeba tu jednak większych idei, porywającej myśli, ale kto teraz mógłby nam ją podsunąć? ■

eprasa.pl 9d46fba629

Staram się ratować Kościół

eprasa.pl 9d46fba629

Leszek Galarowicz

20 maja przed sądem rejonowym w Kolonii odbyła się rozprawa apelacyjna w sprawie z powództwa ks. Rothe, który zarzucał ks. prof. Dariuszowi Oko podżeganie do nienawiści. Drugi z duchownych pierwotnie został skazany wyrokiem nakazowym za sformułowania użyte w artykule o homomafii w Kościele. Apelacja okazała się połowicznym sukcesem, bowiem sąd zdecydował o zawieszeniu postępowania wobec ks. Oko, tym samym utracił ważność wyrok skazujący, ale ksiądz profesor musi wpłacić 3 tys. euro na fundusz ofiar przemocy domowej i molestowania seksualnego przestępstw „Weisser Ring". Podobnie ma uczynić wydawca czasopisma „Theologisches" Johannes Stoeher, który ma wpłacić 4 tys. euro.

FOT. FILIP BLAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

Ksiądz prof. Dariusz Oko po ogłoszeniu wyroku był raczej zadowolony. Miał świadomość, że o ile w Polsce było wiele osób przychylnych wobec niego, o tyle w Niemczech odczuwało się raczej presję na skazanie go. W dobrym nastroju, lecz z niedosytem opuszczał salę sądową też ks. Rothe, bowiem zabrakło mu „wyraźnego postawienia przez sąd granicy, od której zaczyna się podżeganie do nienawiści, ponieważ jest to coraz bardziej palący problem".

Bezpodstawne zarzuty

Podczas piątkowej rozprawy wykładowca bronił się, twierdząc, że zarzuty wobec niego są bezpodstawne. Katolicki duchowny tłumaczył, że nie miał na myśli wszystkich homoseksualistów ani wszystkich homoseksualnych księży, lecz tylko te homoseksualne osoby w Kościele katolickim, które dokonały ciężkich nadużyć. Ksiądz Oko argumentował, że „reprezentuje interesy osób, które stały się ofiarami takich przestępstw". Powołując się na wolność nauki, wskazał też, że w swoich artykułach prezentuje wyniki długoletniej pracy naukowej i cytuje międzynarodowe źródła.

Podstawą prawną skierowanego wobec obu duchownych oskarżenia był art. 130 niemieckiego Kodeksu karnego, który mówi o „podżeganiu do nienawiści". Za oskarżeniem wykładowcy UPJP II stoi ks. Wolfgang Rothe, zwolennik błogosławienia w Kościele par homoseksualnych i promotor zbliżenia postulatów aktywistów LGBT i stanowiska hierarchii niemieckiego Kościoła w ramach niemieckiej „drogi synodalnej". Ten sam kapłan przed kilkunastu laty, jako wicerektor seminarium w St. Pölten, był jednym z bohaterów skandalu obyczajowego z udziałem seminarzystów i kierownictwa placówki. Z uwagi na to, że przypisywane mu czyny dotyczyły dorosłych kleryków i nie wypełniały znamion czynu zabronionego, po rezygnacji z pełnionej funkcji przeniósł się do parafii w Monachium. Dwa akty oskarżenia w związku z artykułem pierwotnie przedstawiono również ks. prof. Manfred Hauke, wydawcy czasopisma „Theologisches", w którym pojawiły się teksty polskiego duchownego, jednak finalnie sąd odstąpił od postawienia mu zarzutów.

Troska o dobro Kościoła

Główny bohater sprawy uzasadnia swoją aktywność troską o dobro Kościoła. „Przecież ja staram się ratować Kościół. Dla mnie Kościół to jest największe, najświętsze, co mamy, a ta mafia zamienia Kościół w Sodomę i Gomorę, w miejsce piekielne. Staram się to ratować i Niemcy mi tego zabraniają. Staram się bronić kleryków, chłopców, młodych duchownych przed tymi – jak to się mówi – homoseksualnymi drapieżnikami, predatorami, którzy chcą ich zmusić do współżycia, i muszę powiedzieć coś złego o ho-

eprasa.pl 9246fba629

moseksualistach, ale tego nie wolno. Niemcy mi przeszkadzają w ratowaniu przed molestowaniem i gwałceniem młodych chłopaków i kleryków i widać stoją po stronie homoseksualnych predatorów" – wyjaśniał w jednym z wywiadów. Ksiądz Dariusz Oko wykazuje absurd podnoszonych wobec niego zarzutów. W myśl logiki niemieckiego sądu krytykę przestępczej działalności mafii sycylijskiej należałoby uznać za podżeganie do nienawiści wobec ogółu Sycylijczyków.

Wykładowca Uniwersytetu Papieskiego został skazany za artykuł opublikowany w niemieckim czasopiśmie „Theologisches". Jest on też jednym z rozdziałów w jego książce „Lawendowa mafia". Warto podkreślić nie tylko fakt, że jest to tekst naukowy opatrzony mnóstwem przypisów, lecz także że spotkał się on z bardzo wieloma pozytywnymi głosami biskupów, prowincjałów zakonów czy rektorów seminariów, sióstr zakonnych, uczelnianych profesorów różnych uczelni czy osób o wysokim autorytecie moralnym i duchowym w Kościele polskim, takich jak ks. prof. dr hab. Edward Staniek czy ks. dr Marek Dziewiecki. Pozytywny odzew tekst wywołał też za granicą. Znamienne, że jedyny głos krytyczny w naszym kraju – zresztą żenująco nieuczciwy i niekompetentny – wyszedł spod pióra dziennikarki „Gazety Wyborczej" Katarzyny Wiśniewskiej.

Zdemaskować medialne kłamstwo

Co w takim razie sprawiło, że tak doceniany w Polsce i poza jej granicami artykuł ks. Oko, który był podyktowany troską o losy Kościoła, stał się obiektem ataku organizacji Pink Cross i ks. Rothe? Już na początku tekstu wykładowca Uniwersytetu Papieskiego demaskuje kłamstwo, które zadomowiło się w przestrzeni publicznej. „Media mówią ciągle o pedofilii duchownych, tymczasem najczęściej chodzi o efebofilię, czyli o wynaturzenie polegające na pociągu dojrzałych, homoseksualnych mężczyzn nie do dzieci, ale do pokwitających i dorastających chłopców. Jest to typowe zboczenie łączące się z homoseksualizmem. Do podstawowej wiedzy na ten temat należy prawda, że aż ponad 80% przypadków przemocy seksualnej duchownych ujawnionych w USA była to efebofilia, a nie pedofilia [...] W innych krajach jest podobnie, trzeba zatem pamiętać, że skandale przemocy seksualnej, które wstrząsnęły Kościołem światowym, w zdecydowanej większości były dziełem duchownych homoseksualnych". Można się domyślać, że to właśnie ten fragment wywołał histerię w środowiskach LGBT, ale nie on stał się punktem zapalnym, wokół którego można było zbudować narrację o podżeganiu do mowy nienawiści. To fragmenty artykułu, w których przyrównano zorganizowaną grupę przestępczą krzywdzącą swe ofiary i szkodzącą całemu Kościołowi do pasożyta szkodzącego swemu nosicielowi, stały się pretekstem do oskarżenia i pierwotnego wyroku skazującego. „Taka homomafia, jak każda mafia, zachowuje się jak bezwzględny pasożyt, jak nowotwór, który jest gotów nawet uśmiercić swojego nosiciela, wyssać z niego ostatnie zasoby i rezerwy, byleby sobie zapewnić komfortowe bytowanie" – można było przeczytać w artykule ks. Oko.

Ingerencja w wolność akademicką

Sprawa księdza Dariusza Oko to wręcz podręcznikowy przykład, jakich prześladowań można doświadczyć za poglądy niepoprawne politycznie. Gdyby wyrok został utrzymany, ksiądz profesor musiałby spędzić 120 dni w areszcie lub wpłacić 4800 euro grzywny. Ta skandaliczna sprawa jest osobliwa i bulwersująca z kilku powodów. Pokazuje bardzo groźne zjawisko ingerencji w wolność akademicką na podstawie wątpliwych przepisów, które są na tyle nieprecyzyjne, że mogą stać się doskonałym orężem w walce z osobami, które wyrażają poglądy odmienne od powszechnie obowiązujących. Sam fakt skazania kogoś na wysoką grzywnę lub areszt za artykuł naukowy, który jest poparty bogatą literaturą, wydaje się niedorzeczny i sprzeczny z wolnością, o której tak chętnie mówi się na europejskich salonach. Owa wolność okazuje się warunkowa, bowiem wystarczy nadepnąć na odcisk wpływowemu środowisku, w tym wypadku LGBT, a na wolność znajdzie się odpowiedni paragraf. W istocie nie chodzi o żadne podżeganie do nienawiści, bo z artykułu polskiego księdza nigdzie nie wynika, jaką grupę do nienawiści miałby on podżegać, lecz sedno sprawy tkwi w tym, że ks. Dariusz Oko ośmielił się poruszyć temat konsekwentnie przemilczany w debacie na temat kryzysu Kościoła. O ile w mediach dość powszechnie istnieje przyzwolenie na krytykę Kościoła za nierozliczenie problemu nadużyć seksualnych, o tyle istnieje zmowa milczenia na temat jego powiązania ze zjawiskiem homoseksualizmu.

Sprawę oskarżenia ks. Dariusza Oko o podżeganie do nienawiści można uznać za zakończoną. Wykładowca Uniwersytetu Papieskiego nie zamierza odwoływać się do kolejnych instancji. Trudno uznać wyrok sądu w Kolonii za satysfakcjonujący z punktu widzenia wolności i uczciwości debaty publicznej. Wprawdzie ksiądz Oko nie został skazany, lecz do opinii publicznej został wyraźnie skierowany przekaz, żeby bardzo uważać na krytykę osób homoseksualnych, bo może się to skończyć sądowymi nieprzyjemnościami i dotkliwą karą pieniężną. Dla środowisk LGBT to kolejny sygnał, że mogą one liczyć na szczególną ochronę. Dziś bowiem w debacie publicznej jest przyzwolenie na używanie ostrego języka, ale kiedy zostanie on skierowany wobec mniejszości seksualnych, staje się zjawiskiem godnym napiętnowania – homofobią. Sam fakt, że sprawa naukowego artykułu ks. prof. Dariusza Oko trafiła na sądową wokandę w Niemczech, świadczy o tym, że w cywilizowanej Europie cenzura poprawności politycznej przesuwa granicę tego, co wolno, w coraz bardziej liberalnym kierunku. ■

eprasa.pl 9d46fba629

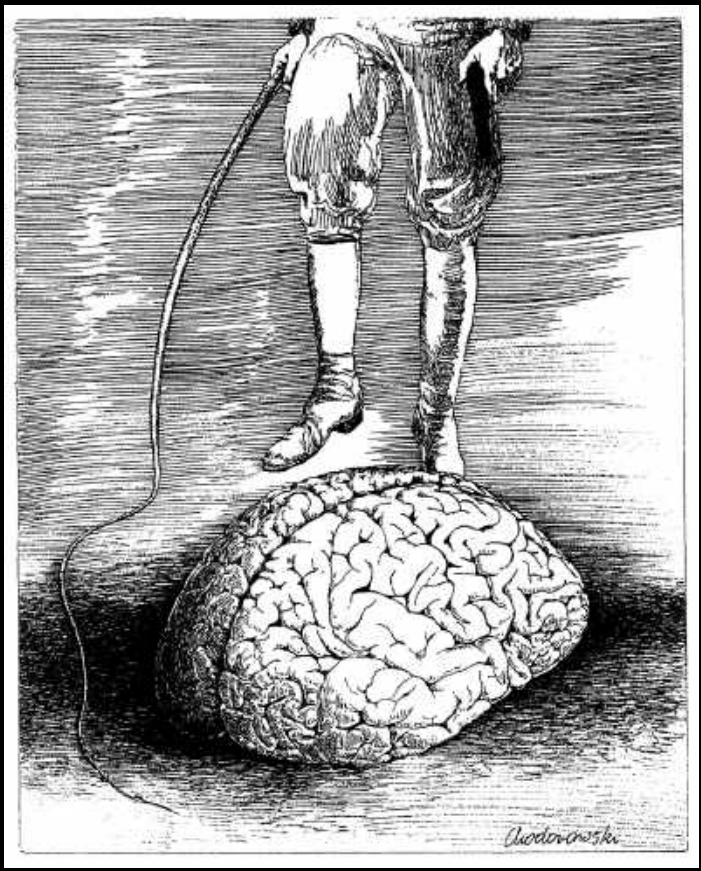

Małgorzata Matuszak

O godności człowieka

„Życie trzeba godnie przeżyć, bo jest ono tylko jedno. Trzeba dziś bardzo dużo mówić o wysokiej godności człowieka, aby zrozumieć, że człowiek przerasta wszystko, co może istnieć na świecie, prócz Boga – przerasta mądrość całego świata" – mówił kard. Stefan Wyszyński. Dziś te słowa nabierają nowej mocy.

ILUSTRACJA ANTONI CHODOROWSKI

Z jednej strony żyjemy w czasach, w których wiele mówi się o godnym życiu człowieka, z drugiej jednak, jesteśmy świadkami tego, jak bardzo ludzka godność zostaje szargana, degradowana przemocą, gwałtem, zbrodnią czy kłamstwem. Wszystkim tym, co ją umniejsza, degradując tym samym i umniejszając samego człowieka. Dlatego tak ważne wciąż są o nią pytania: czym jest godność człowieka w swej istocie? Czy właściwie ją rozumiemy?

Próby rozróżnień i definicji

Zacząć trzeba od tego, że „godność człowieka" jest pojęciem wieloznacznym. Występuje w wielu kontekstach, nie tylko w języku potocznym – choć wydaje się, że dziś już rzadziej, uważana jest bowiem za słowo nieco anachroniczne, a nawet pompatyczne – lecz także w naukach prawnych i politycznych, a rozważana jest szczególnie w szeroko rozumianej filozofii człowieka. Nawet jednak na gruncie filozofii mamy do czynienia z wieloma definicjami godności, które formułowano na przestrzeni dziejów. Niektórzy z badaczy uważają wręcz, że pojęcie godności jest pojęciem pierwotnym, czyli – niedefiniowalnym.

Filozoficzne rozważania na temat godności sprowadzają się w zasadzie do dwóch głównych pojęć: honoru i wartości. Pierwsze z nich nawiązuje do tradycji utożsamiającej godność z etosem szlachty czy arystokracji. Jest to znaczenie „starsze", według którego „bycie godnym" oznacza „bycie społecznie wysoko usytuowanym, cieszącym się uznaniem, poważaniem, szacunkiem". Dziś rzadziej posługujemy się pojęciem godności w tym rozumieniu, zastępując je określeniami „ranga społeczna", szacunek", „przyzwoitość" i innymi, nie przydając mu tak ważkiego znaczenia filozoficznego. Jest to taka godność, którą człowiek może nabyć, ale może ją również utracić. Drugie znacznie godności, rozpatrywane jako wartość, jest uniwersalne i absolutne. I tutaj istnieją różnice w sposobie rozumienia tego, na czym owa godność się zasadza, jednak – jak zauważył filozof i etyk prof. Adam Rodziński – „jeżeli prawdą jest, że nie można zrozumieć, na czym polega wrodzona człowiekowi godność, bez wzięcia pod uwagę natury człowieka, to równie prawdą jest, że nie można zdobyć właściwego pojęcia o człowieku, i o jego naturze, nie pamiętając równocześnie o tym, że człowiek – i to każdy bez wyjątku – jest osobą i że z tej racji przysługuje mu niezależnie od tego, co czyni i jak postępuje, godność trwała, niezbywalna i zobowiązująca".

Współcześnie w filozofii, naukach społecznych i medycznych wyróżnia się trzy rodzaje ujęć godności: 1. Godność osobista, mającą wartość subiektywną i prawnie irrelewantną; związana jest ona z poczuciem bycia kimś ważnym, nie tylko z racji zajmowania wysokiej pozycji społecznej, lecz także z poczucia własnej wartości, i domaganiem się z tego względu szacunku; 2. Godność osobowościowa, wyrastająca ze stosunku człowieka do samego siebie; w pojęciu tym, związanym z nabytymi przez człowieka cechami, na pierwszy plan wysuwa się dążenie człowieka do doskonałości etycznej: im ktoś bardziej rozwija swą etyczną doskonałość, tym większa jest jego godność osobowościowa; 3. Godność osobowa, czyli godność niezbywalna, którą posiada każdy człowiek jako przedstawiciel gatunku ludzkiego; nie jest czymś, na co trzeba zasłużyć ani co można odziedziczyć – to właśnie ona jest trwała, niezbywalna i zobowiązująca.

Godność osobowa

Godność osobowa jest czymś stałym, nieutracalnym, niezniszczalnym, wrodzonym i obiektywnym. Wpisana jest w strukturę ontyczną człowieka, przysługuje każdemu z racji tego tylko, że jest człowiekiem. Godności tej nie można się pozbyć, tak jak nie można pozbyć się swojej natury. Oznacza wartość człowieka, który posiada godność osobową, jest wartością samą w sobie. Bo też „bycie osobą" nie podlega stopniowaniu – nie można być więcej lub mniej osobą, osobą się po prostu jest.

Godność bycia człowiekiem jest dlań czymś fundamentalnym. Jednak odpowiedzi na pytanie, co stanowi rację tej godności, padało wiele. W chrześcijaństwie źródło to ma charakter transcendentny – godność człowieka wynika z tego, że jest on stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Każdy człowiek jest „imago Dei" (obrazem Boga) i ma udział w absolutnym Dobru – Bogu, dlatego godność człowieka jest odbiciem godności Boga. Według św. Tomasza z Akwinu, doskonałość człowieka, mająca swe źródło w jego godności, określa jego sposób istnienia i sens rozwoju.

U myślicieli oświecenia zaczęto łączyć godność z prawami człowieka, Immanuel Kant zaś rozumiał godność jako wrodzoną (naturalną), przynależną każdemu człowiekowi właściwość opartą na zdolności do stanowienia prawa moralnego i postępowania zgodnego z nakazami tego prawa. Jak czytamy w „Uzasadnieniu metafizyki moralności": „Człowiek i w ogóle każda istota rozumna istnieje jako cel sam w sobie, nie tylko jako środek, którego by ta lub owa wola mogła używać wedle swego upodobania, lecz musi być uważany zarazem za cel zawsze, we wszystkich swych czynach, odnoszących się tak do niego samego jak też do innych istot rozumnych". Zasada

eprasa.pl 9d46fba629

ta wyrażona jest także w praktycznym imperatywie kategorycznym brzmiącym następująco: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka". Godność domaga się zatem nieprzedmiotowego traktowania innego człowieka i wyklucza redukowanie człowieka do czegoś, co stanowi przedmiot wartościowania.

Godność ludzka implikuje równe traktowanie każdego człowieka i jest fundamentem dla uniwersalnego ujęcia praw człowieka, niezależnie od etapu jego życia, rozwoju i poziomu intelektualnego człowieka, czymś przysługującym niezależnie od rasy, płci, narodowości, statusu czy zasług.

Rozumienie godności a prawodawstwo

Godność jest pierwotna i niezależna od regulacji prawa pozytywnego, wedle wielu aktów prawnych stanowić ma źródło praw człowieka. Jednak w zależności od rozumienia, czym jest godność człowieka, i od tego, w czym upatruje się jej rację, prawo może być różnie formułowane i interpretowane.

W konstytucjach krajów europejskich wyróżnić można na przykład trzy sposoby ujmowania godności człowieka. W hiszpańskiej i portugalskiej godność jest podstawową zasadą ustrojową, stanowiącą dyrektywę kierunkową dla władzy publicznej ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. W Polsce i Niemczech godność osoby ludzkiej, jako wartość przyrodzona i nienaruszalna, stanowi źródło wolności i praw człowieka. Można powiedzieć, że pomimo różnych kontekstów, rozumienie godności człowieka w tych konstytucjach jest właściwie takie samo, a na pewno bardzo podobne. Jeśli jednak przyjrzymy się konstytucji belgijskiej, w 23. jej artykule czytamy: „Każdy ma prawo prowadzić życie odpowiadające wymaganiom godności ludzkiej". To zgoła inne ujęcie godności osoby ludzkiej, w myśl którego może istnieć ludzkie życie, które nie odpowiada wymaganiom godności ludzkiej. Mamy tu do czynienia z normatywnym traktowaniem godności człowieka, według którego życie ludzkie musi spełniać określone warunki, by osiągnąć poziom wymagany dla godności człowieka. Innymi słowy – to nie sam człowiek jest nosicielem wartości, jaką jest godność, lecz to życie ludzkie ma osiągać poziom godności człowieka. Takie ujęcie godności może być – i niestety jest – brzemienne w bardzo niebezpieczne skutki. To właśnie w Belgii, w oparciu na takiej interpretacji godności w przepisie konstytucyjnym, mamy najbardziej liberalne prawo odnoszące się do eutanazji, w tym także do eutanazji dzieci.

Eutanazji dokonuje się właśnie w imię godności, mówi się przecież o niej jako o „godnej śmierci", choć tak naprawdę z godnością człowieka chorego i umierającego nie ma nic wspólnego. Uzależnianie osobowej, czyli ontycznej i aksjologicznej godności człowieka od jakości jego życia, jest jego urzeczowieniem. Nie można w imię „braku godnego życia" z powodu choroby podważać godności człowieka i twierdzić, że nie ma on prawa do życia, lecz ma prawo do śmierci. Nie można uznać śmierci za część życia i zlikwidować zła cierpienia, dopuszczając się jeszcze większego zła – śmierci cierpiącego. Jak pisze prof. Tadeusz Biesaga SDB: „Śmierć ludzkości nie jest zwycięstwem nad cierpieniem. Twierdzenie, że zadana sobie śmierć samobójcza nadaje choremu godność, a niezadana odbiera mu to miano, jest perwersją etyczną".

Odzieranie z godności

Takie normatywne spojrzenie na godność człowieka prowadzić może do jeszcze innych nadużyć i odzierania ludzi z ich osobowej godności. Nie tylko w imię braku dobrego zdrowia fizycznego nie można podważać godności człowieka. Nie można tego robić również w obliczu innych braków: zdrowia psychicznego, warunków społecznych i materialnych. Trzeba dołożyć wszelkich sił, by poprawić te warunki, nie zaś odzierać z godności człowieka żyjącego w takich warunkach. Nie można przypisywać godności człowiekowi i jego życiu wtedy tylko, gdy spełniają pewne kryteria jakościowe, takie jak świadomość i odpowiedzialność, uczestnictwo w życiu społecznym i zdolność dbania o swoje interesy. Już Kant pisał, że „każda istota ludzka, choćby najbardziej upośledzona, ma prawo do pewnego szacunku ze względu na swoje człowieczeństwo". Nie można, tak jak czynią to niektórzy współcześni filozofowie, wykluczać pewnych ludzi z grona osób. „Nieosobami" w ich rozumieniu, oprócz ludzi z głębokimi upośledzeniami, psychicznie i terminalnie chorych, są także dzieci w okresie prenatalnym i noworodki. Według Petera Singera dopuszczalna i zalecana jest zarówno eutanazja niepełnosprawnego noworodka, jak i jego aborcja przed urodzeniem.

Musimy pamiętać również o tym, że traktując kogoś niegodnie, godzimy równocześnie w samych siebie. Uprzedmiotawiając drugiego człowieka, uprzedmiotawiamy zwrotnie samych siebie, gdyż „ja" dochodzi do swej pełni jedynie w relacji osobowej „ja–Ty". Kiedy więc relacja ta niszczona jest przez uprzedmiotowienie „Ty", gdy drugi człowiek postrzegany jest tylko jako środek do osiągnięcia własnego celu, przez wzgląd na to, co posiada i jakie może przynieść korzyści, również „ja" nie może być w pełni sobą. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Ukraiński patriota, obrońca Polaków i Żydów. Patron naszej wspólnej przyszłości

Piotr Lisiewicz

W grypsie z Majdanka ks. Emilian Kowcz pisał do rodziny: „Rozumiem, że staracie się o moje zwolnienie. Ale proszę was, abyście już nic więcej nie robili w tej sprawie. Wczoraj zastrzelono tu 50 ludzi. Gdyby nie było mnie tutaj, któż pomógłby im przejść ten próg? Poszliby przezeń ze wszystkimi swym grzechami i w głębokiej rozpaczy, która wisi nad tym piekłem. Teraz zaś idą z głowami uniesionymi wysoko". Bohaterstwo ukraińskiego księdza Kowcza, który w czasie wojny bronił Polaków i Żydów, porównać można do polskiego franciszkanina, ojca Maksymiliana Kolbe. Jan Paweł II uznał go za błogosławionego, mówią o nim przywódcy Ukrainy, ma też pomnik w polskim Lublinie. Dziś jest ten historyczny moment, w którym usłyszeć o nim powinni wszyscy Polacy i Ukraińcy.

eprasa.pl 9d46fba629

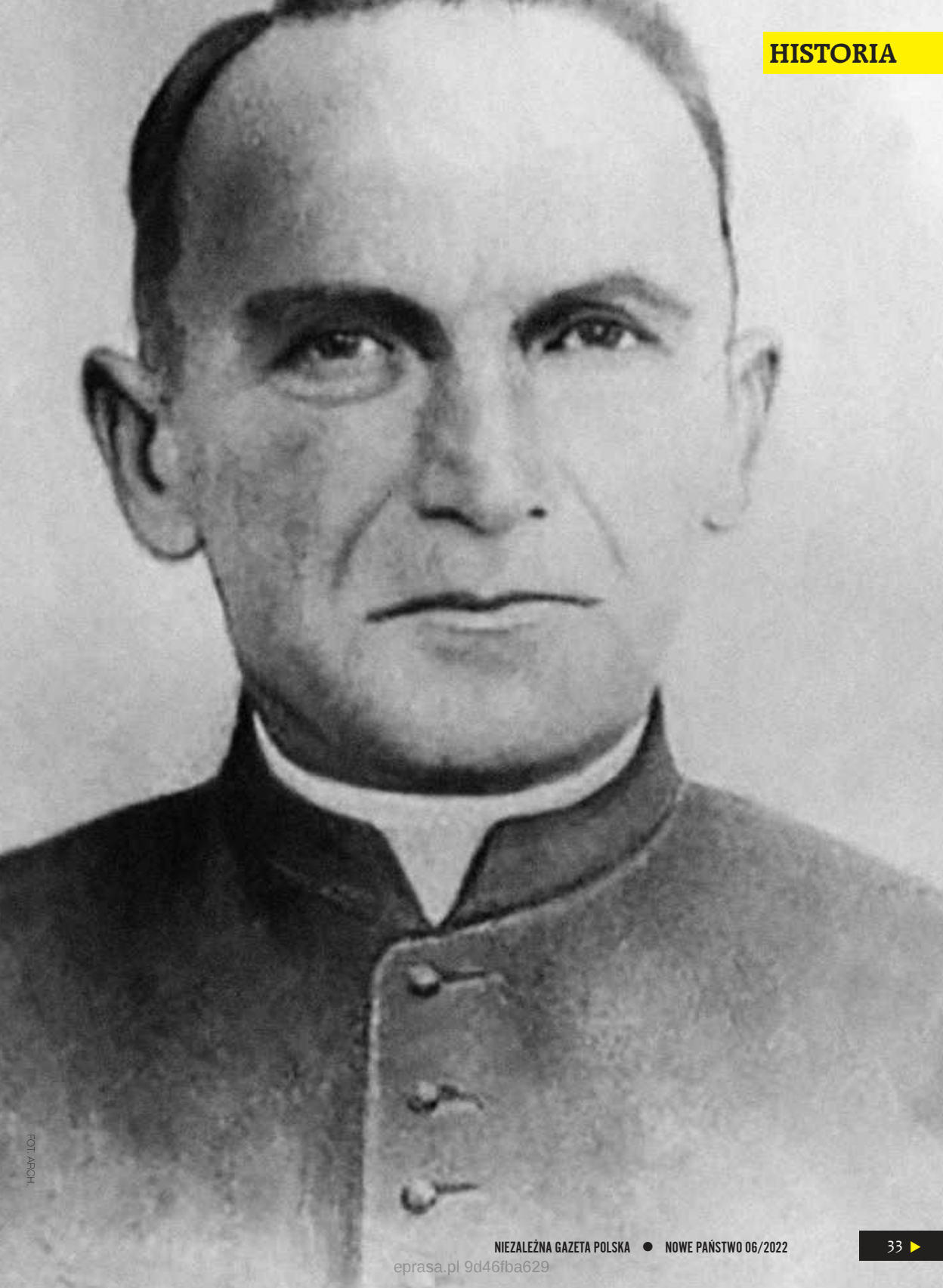

FOT. ARCH.

eprasa.pl 9d46fba629

Polskie grypsy... Gdyby tak zebrać te najpiękniejsze w jednym tomie, stanowiłyby literackie dzieło o niesamowitej sile oddziaływania. Świadectwo niewyobrażalnej siły wiary i polskości, zrośniętych w jedno. Grypsy „Inki", Poznańskiej Piątki, Łukasza Cieplińskiego... „Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą. Jako człowiek za prawdę i sprawiedliwość. Wierzę dziś bardziej niż kiedykolwiek, że Idea chrystusowa zwycięży i Polska niepodległość odzyska, a pohańbiona godność ludzka zostanie przywrócona. To moja wiara i moje wielkie szczęście. Gdybyś odnalazł moją mogiłę, to na niej możesz te słowa napisać. Żegnaj, mój ukochany. Całuję i do serca tulę. Błogosławię i Królowej Polski oddaję. Ojciec" – pisał na cieniutkich bibułkach papierosowych i na pudełku zapałek do syna Łukasz Ciepliński. Słowa pisane przed śmiercią przez pięciu młodych narodowców z Poznańskiej Piątki, niemniej niesamowite świadectwo wiary i patriotyzmu, przyczyniły się do ich beatyfikacji. Ale w grypsach ukraińskiego ks. Emiliana Kowcza, bliźniaczo podobnych do tych pisanych przez polskich bohaterów, jest coś jeszcze: świadoma decyzja, by poświęcić się dla współwięźniów, kosztem własnego życia.

▶ Dziękuję ci, Boże, że mnie posłałeś do Majdanka!

266 tysięcy par butów ludzi, z których część znalazła się w ogromnych metalowych klatkach – nie ma chyba bardziej wstrząsającego widoku niż ten w lubelskim obozie w Majdanku. To buty odebrane tym, którzy szli na śmierć. „Dla nich zrezygnował z wszelkich prób ratowania życia, powrotu do rodziny, do swych sześciorga ukochanych dzieci. Przekroczył wszystkie ludzkie bariery strachu, instynktu samo zachowawczego" – tak pisze o bohaterstwie ks. Emiliana Kowcza ks. diakon Piotr Siwicki.

„Proboszcz z Majdanka" – tak nazwali do współwięźniowie. Był w obozie jedynym księdzem. Z grypsów ks. Kowcza, który gdyby chciał, mógł uniknąć obozu w Majdanku, przebija coś niewyobrażalnego. Szczęście z wykonywanej posługi, z możliwości spowiadania idących na śmierć: „Oni poszliby do wieczności ze wszystkimi swoimi grzechami w głębokiej rozpaczy, która prowadzi do piekła. Teraz idą z podniesionymi do góry głowami, zostawiając swoje grzechy. Przechodzą próg wieczności, poczuciem szczęścia w sercach. Widziałem pokój i jasność, która ich ogarniała".

Gdy przyszły błogosławiony prosił rodzinę, by nie wyciągała go z obozu, gdzie miał zginąć, czuł ogromną odpowiedzialność za współwięźniów, która nie pozwalała mu powrócić do najbliższych: „Nie mogę stąd odejść, bo jestem potrzebny. Ci nieszczęśliwi ludzie, których są tutaj tysiące, potrzebują mnie. Jestem ich jedyną pociechą. Zostać tu jest moim obowiązkiem – i jestem szczęśliwy".

Ludzki umysł nie potrafi tego zrozumieć, ale ukraiński ksiądz porównywał Majdanek do... Nieba: „Oprócz Nieba, jest to jedyne miejsce, w jakim pragnę pozostawać. Wszyscy tutaj jesteśmy równi – Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie, Łotysze i Estończycy. Teraz jestem tutaj jedynym kapłanem. Nie wyobrażam sobie, co oni by zrobili beze mnie. Tu widzę Boga – Boga jedynego dla nas wszystkich, niezależnie od różnic religijnych, które są między nami. Może nasze Kościoły różnią się między sobą, ale we wszystkich nich króluje ten sam wszechmogący Bóg. Gdy odprawiam Liturgię, wszyscy się modlą razem. Modlą się w różnych językach – ale czy Bóg nie rozumie wszystkich języków? Umierają w różny sposób, a ja pomagam im przejść próg śmierci. Czy to nie jest błogosławieństwo? Czyż to nie jest najcudowniejsza korona, jaką mógł mi włożyć na głowę mój Pan? Tak! Każdego dnia tysiąckroć dziękuję Bogu, że posłał mnie tu!".

Jednocześnie apelował o to, co słabo przechodziło przez gardło: „Módlcie się za twórców tego obozu i tej ideologii. Oni potrzebują waszych modlitw. Niech Bóg się nad nimi zlituje". Od rodziny chciał jednego: trochę pieniędzy i to... nie dla siebie. Pisał: „Wszystko, czego od was żądam, to nieco pieniędzy. Kubek wody kosztuje tu 500 złotych". Potrzebował jej jako wody święconej, by móc pokropić nią ofiary egzekucji.

▶ Będę księdzem jak mój ojciec

To hasło, ironicznie kolportowane przez antyklerykałów, trafnie opisuje losy przyszłego błogosławionego. Bo księża grekokatoliccy mogą mieć żony, o ile ślub nastąpił przed ich święceniami. Diakon Piotr Siwicki pisał o tym na swoim blogu w 2004 roku, zamieszczając tam swoje kazanie: „Ojciec jego był kapłanem, matka córką kapłana. Kapłanem żonatym został sam Emilian, także jego trzy siostry zostały małżonkami księży greckokatolickich. Z sześciorga dzieci ks. Emiliana Kowcza (trzech synów, trzy córki) dwóch synów również przyjęło święcenia kapłańskie w Kościele greckokatolickim".

Ksiądz Emilian Kowcz urodził się 20 sierpnia 1884 roku w miejscowości Kosmacz w powiecie Kosowskim na Huculszczyźnie. Jego ojciec, probosz Hryhorij Kowcz, znany był z upowszechniania edukacji wśród wiernych. Po ukończeniu szkoły trafił do Gimnazjum Państwowego we Lwowie.

Studia filozoficzno-teologiczne Emilian odbył w Rzymie, na Uniwersytecie Urbanianum, w latach 1905 –1911. Mieszkał wówczas w Collegium świętych Sergiusza i Wakha przy Piazza Madonna dei Mondi. Jak pisze w szkicu poświęconym Błogosławionemu ks. mitrat Stefan Batruch, prezes Fundacji Kultury Duchowej Pograni-

eprasa.pl 9d46fba629

cza, w Rzymie Emilian Kowcz studiował razem z późniejszym biskupem przemyskim Jozafatem Kocołowskim, również beatyfikowanym jako męczennik za wiarę przez papieża Jana Pawła II we Lwowie.

W 1910 roku Emilian Kowcz poślubił Marię-Annę Dobrzańską, a rok później przyjął święcenia kapłańskie z rąk biskupa Hryhorija Chomyszyna Ordynariusza Eparchii Stanisławowskiej. Swoje pierwsze doświadczenia zdobywał na parafii w Podwołoczyskach w powiecie Sokalskim.

W 1912 roku zgłosił się do pracy misyjnej w Bośni wśród kolonistów ukraińskich, gdzie administrował Parafią w Kozarac w okręgu Prijedor. Po czterech latach, w 1916 roku, ks. Emilian wrócił do Galicji i został wikariuszem parafii w Sernikach Górnych w powiecie Rohatyńskim.

Kapelan pod bolszewickim ostrzałem

W 1919 roku postanowił wstąpić do Ukraińskiej Armii Halickiej jako ochotnik, kapelan wojskowy, osiągając stopień setnika-kapitana. Był kapelanem tzw. Kosza Brzeżańskiego tejże armii. Jak pisze diakon Piotr Siwicki, „wsławił się odwagą, nie tylko nie uchylając się od pełnienia kapłańskiej posługi w warunkach frontowych, ale i z własnej inicjatywy wynosząc rannych spod ostrzału wroga".

Trafił do niewoli bolszewickiej, skąd, jak wspomina ks. Siwicki, „w cudowny właściwie sposób uciekł wraz z towarzyszami sprzed luf karabinów maszynowych, znad wykopanych już zbiorowych grobów". Zaś ks. mitrat Stefan Batruch opisuje: „Z relacji świadków wiadomo, iż każdego dnia jako duchowny odprawiał Liturgię, odwiedzał rannych w szpitalu wojskowym, załatwiał sprawy konfliktowe, podtrzymywał na duchu chorych. Pewnego razu w czasie gdy trwała obustronna strzelanina, ks. Emilian wybiegł na odległość 50 metrów do rannego w nogę, aby zaciągnąć go do szpitala polowego i na słowa przestrogi, iż ryzykuje życiem, odpowiedział żartobliwie: »Wiecie przecież panowie, że jestem poświęcony, a święconego kula tak łatwo nie bierze«".

Pod koniec kapelańskiej służby zachorował na tyfus. „Gdy żona odnalazła ks. Kowcza, w pierwszej chwili gdy go zobaczyła, zemdlała, gdyż bardziej przypominał straszydło niż realnego człowieka, twarz miał całą ciemną miejscami, aż czarną" – pisze ks. Batruch. Z czasem jednak powrócił do zdrowia.

„Nad tym domem krążą aniołowie"

Po powrocie do Galicji, w 1922 roku objął probostwo greckokatolickie w Przemyślanach, mieście powiatowym koło Lwowa. „Został mianowany Proboszczem Parafii św. Mikołaja w Przemyślanach, miasteczku liczącym około 5000 tysięcy mieszkańców z czego 3000 stanowili Żydzi, a po jednym tysiącu. Ukraińcy i Polacy" – opisuje ks. Batruch, stwierdzając, że „od samego początku z wielkim zapałem zabrał się do odnowienia życia religijnego zaniedbanej wcześnie wspólnoty parafialnej. Zorganizował niezbędne środki na remont cerkwi parafialnej, która chyliła się ku ruinie. Angażował się również w wszechstronną działalność społeczną, był inicjatorem szeregu przedsięwzięć o charakterze oświatowo-kulturalnym. Animował rozwój ruchu spółdzielczego".

Jak pisze z kolei ks. Siwicki, „jego kazań z zapartym tchem słuchali parafianie przemyślańscy i nie tylko: często był zapraszany na rekolekcje czy misje do innych parafii". I potwierdza to ks. Batruch: „Ksiądz Emilian posiadał szczególny charyzmat kaznodziejski, potrafił w czasie wygłaszanych przemówień dotrzeć do serca i umysłu słuchaczy. Cieszył się ogromną popularnością wśród wiernych, również poprzez swoje homilie. Potrafił mówić jasno z przejęciem i osobistym zaangażowaniem, piętnując wszelkie przejawy zła. Często gdy wygłaszał kazania okolicznościowe, obecni poruszeni usłyszaną treścią płakali".

Był inicjatorem i organizatorem dekanalnych Kongresów Eucharystycznych w Przemyślanach: „Zawsze miał serce czułe na ludzką niedolę, bez względu na narodowość: przygarniał sieroty, opiekował się samotnymi osobami w starszym wieku". Przy czym zupełnie nie dbał o własny dobrobyt: „Nie wymagał żadnych opłat za posługi religijne, grunty parafialne najczęściej oddawał w dzierżawę najbiedniejszym za symboliczny czynsz, nigdy też nie dokończył rozpoczętej budowy plebanii". Gdy w 1939 roku zmarła jego o żona, to parafianie złożyli się na koszta pogrzebowe i nową sutannę dla swego proboszcza...

Według księdza Batrucha, o plebanii zamieszkiwanej przez rodzinę Kowczów, która wraz z żoną i sześciorgiem dzieci liczyła osiem osób, mówiono w mieście, iż „Nad tym domem krążą aniołowie". Prawie zawsze przebywał tam ktoś będący w potrzebie: „Ksiądz Emilian, gdy spotykał w czasie swojej duszpasterskiej pracy jakieś osierocone, zaniedbane, wychudzone z głodu dzieci, od razu brał je do siebie".

Konflikty z polskimi władzami

Tam stał się też obrońcą praw mniejszości ukraińskiej. Jak pisze diakon Siwicki, ks. Kowcz współorganizował sieć ukraińskich instytucji oświatowo-kulturalnych (oraz czytelnie) i gospodarczych, jak kooperatywy czy kasy pożyczkowe. Jakie były powody jego konfliktów z polskimi władzami? „Bez zgody władz, a właściwie wbrew nim, zorganizował budowę cerkwi w jednym z przysiółków; drewniana świątynia z przygotowanych za w czasu elementów stanęła w ciągu jednej nocy".

eprasa.pl 9d46fba629

Jak opisuje z kolei ks. Batruch: „Dynamiczna działalność religijno-społeczna oraz zdecydowana postawa w obronie praw społeczności ukraińskiej w Galicji do wszechstronnego rozwoju polityczno-ekonomicznego budziła obawy u przedstawicieli władz administracyjnych w Przemyślanach, gdyż była postrzegana jako szkodliwa i niebezpieczna dla interesów wielonarodowego Państwa Polskiego. Donosy, przeszukiwania, rewizje mieszkania, szykanowania, aresztowanie miały miejsce w przypadku ks. Kowcza bardzo często".

Jednak jak podkreśla ks. Siwicki: „jego patriotyzm był patriotyzmem prawdziwie chrześcijańskim, opartym na miłości tego, co ojczyste – wolnym zaś od nienawiści do bliźniego innej narodowości czy wyznania".

Oddajcie wszystko Polakom!

Tak było faktycznie. „Myślałem, że was wychowywałem na dobrych parafian, ale teraz widzę, że zmieniliście się niestety w jakąś ohydną zgraję rozbójników. Wstyd mi przed Bogiem za wasze podłe zachowanie" – te słowa zawstydziły tych spośród Ukraińców, którzy we wrześniu 1939 roku zaczęli rabować polskie mienie. Ksiądz Siwicki pisze: „Gdy po załamaniu się państwa polskiego we wrześniu 1939 roku parafianie filialnej cerkwi we wsi Korosno postanowili wziąć odwet na swych polskich sąsiadach, grabiąc ich mienie, ks. Kowcz z takim oburzeniem potępił ich postępowanie, że niezwłocznie posłuchali jego stanowczego nakazu i oddali zabrane rzeczy właścicielom".

Jak podkreśla, „gdy władza sowiecka zainstalowała się już na dobre i rozpoczęto aresztowania i wywózki polskich funkcjonariuszy państwowych, ks. Kowcz ostrzegał i ratował, kogo mógł, a dla rodzin wywiezionych urzędników i policjantów organizował pomoc żywnościową. Niejednokrotnie pomagał tym samym ludziom, którzy przed wojną go szykanowali".

Ogromnego autorytetu księdza bali się nawet Sowieci. A Polacy zaczęli do niego lgnąć, bo „nie myślał zaprzestać organizowania publicznych uroczystości religijnych i mówienia prawdy w swych kazaniach – wszystko to spowodowało, że do cerkwi, której proboszczem był ks. Kowcz, zaczęli uczęszczać także Polacy – katolicy obrządku łacińskiego. Władze sowieckie zaś aż do czerwca 1941 roku nie ważyły się uwięzić odważnego duszpasterza, bojąc się reakcji mieszkańców Przemyślan".

Ksiądz Batruch pisze o jego postawie wobec Polaków: „Zdziesiątkowane rodziny po przyjęciu władzy przez bolszewików znalazły się w bardzo dramatycznej sytuacji materialnej, bez niezbędnych zasobów do życia. Ks. Kowcz widząc tą sytuację energicznie zabrał się do organizowania pomocy dla polskich wdów i sierot".

„Zmieniły się tylko guziki mundurów"

Jak relacjonuje ks. Siwicki, „aresztowano go dopiero po wybuchu wojny z Niemcami, ale znowu – dzięki niespodziewanemu nalotowi bombowców niemieckich – ks. Kowcz zdołał umknąć eskorcie i w ukryciu doczekał wejścia Niemców". Te same niesamowite wydarzenia tak podobnie opisuje ks. Batruch: „Pewnego czerwcowego dnia 1941 roku enkawudyści wtargnęli na plebanię z zamiarem aresztu, zaskoczony ksiądz Emilian zaczął półgłosem spontanicznie modlić się. Wtedy podszedł jeden z funkcjonariuszy i przystawił mu do szyi pistolet i powiedział: »Oj, ojczulku, ty nic innego nie potrafisz jak tylko modlić się, módl się, módl, może ci to coś pomoże...« I nagle w tym samym momencie dało się słyszeć z zewnątrz przeraźliwy zgiełk alarmu, gdyż zaczął się nalot na miasto niemieckich bombowców i wszyscy przerażeni straszliwym hukiem rozpierzchli się, każdy w swoją stronę i dzięki temu po raz kolejny uciekł przed śmiercią. Jak się okazało po czasie, wszyscy aresztowani przez NKWD zostali pomordowani".

Ksiądz Kowcz od początku nie podzielał nadziei wielu swych ziomków na to, że nowy okupant będzie znacząco lepszy od poprzedniego. Mówił o Sowietach i Niemcach: „Zmieniły się tylko guziki mundurów". Apelował do młodzieży ukraińskiej, by nie wstępowała do niemieckiej policji i nie dawała się wciągać do udziału w hitlerowskich zbrodniach, zwłaszcza w mordowaniu Żydów.

Hitlerowcy uciekli spod podpalonej synagogi

Niebawem po wkroczeniu Niemców oddział SS zamknął część Żydów w synagodze i podpalił: „Zaalarmowany ks. Kowcz przybył natychmiast i dzięki swej stanowczości i biegłej znajomości niemieckiego zdołał skłonić esesmanów do odstąpienia. Wówczas wraz z innymi otworzył drzwi płonącej synagogi; w ten sposób zdołano uratować wielu Żydów od śmierci w płomieniach".

Ksiądz Batruch pisze o tym samym: „Pewnego razu gdy Gmina Żydowska zebrała się w Synagodze na modlitwę, gestapowcy przygotowali na nich śmiertelną pułapkę. Zamknęli drzwi Synagogi od zewnątrz i podpalili budynek z ludźmi w środku okrążając go dookoła kordonem wojska". Jak opisuje, ksiądz Emilian w raz z synem byli w tym czasie w domu i zauważyli dym unoszący się z Synagogi oraz usłyszeli rozpaczliwy krzyk ludzki. „W tym samym momencie do plebanii wbiegło kilku Żydów błagając księdza Kowcza o pomoc. Ojciec bez najmniejszego wahania wybiegł z domu, jak relacjonuje jego syn Myron, ale co może poradzić jeden człowiek w tej beznadziejnej sytuacji biegnąc za nim myślał w duchu. Ksiądz Emilian wbiegł w tłum obok Synagogi i pewnym stanowczym głosem po niemiecku zaczął krzyczeć na ge-

eprasa.pl 9d46fba629

stapowców, aby zostawili w spokoju Synagogę i odeszli precz z tego miejsca. I stała się rzecz niezwykła, zdezorientowani hitlerowcy wsiedli na swoje motocykle i odjechali na posterunek".

Wtedy ks. Kowcz razem z innymi otworzył zablokowane ciężkim słupem drzwi, wdarł się do środka i zaczął wyciągać na pół przytomnych, krzycząc przy tym, aby uciekali z budynku, bo gestapowcy mogą zaraz wrócić z powrotem. „Z narażeniem własnego życia ratował kogo się dało, natrafił przy tym na małą postać, która uczepiła się jego szyi, chwycił ją zdecydowanie i wyniósł na zewnątrz. Jak się potem okazało tą małą zalęknioną i bezbronną istotą był Rabin Bełza, który po wojnie poszukiwał księdza Kowcza, aby mu podziękować za uratowane życie, ale niestety nie spotkał go już więcej" – czytamy.

Żydzi mogą zostać chrześcijanami

To obrona Żydów miała ostatecznie przesądzić o tym, że ks. Kowcz trafił do Majdanka. Jak pisze ks. Siwicki, wśród Żydów zrodził się ruch na rzecz przyjęcia chrześcijaństwa. Wielu z nich prosiło ks. Kowcza o chrzest, mimo że w świetle „praw rasowych" III Rzeszy wyznanie nie miało znaczenia – liczyło się wyłącznie pochodzenie rasowe.

„Ks. Kowcz, mimo zakazów władz hitlerowskich, postanowił przygotowywać chętnych do chrztu i udzielać im tego Sakramentu, co czynił zupełnie jawnie – konwertytów było kilkuset. Wszyscy oni deklarowali pragnienie przyjęcia chrztu, choć byli świadomi, że nie zmieni to ich doczesnego losu. Ks. Kowcz chrzcił ich, a gdy w Przemyślanach stworzono zamknięte getto, zażądał od władz umożliwienia mu sprawowania posługi duszpasterskiej wśród chrześcijan w getcie" – pisze ks. Siwicki. Ksiądz Kowcz nie tylko w kazaniach potępiał niemieckie zbrodnie, napisał list do Hitlera, wzywający go do opamiętania.

Ksiądz Batruch opisuje jego dylematy w sprawie nawracania na chrześcijaństwo Żydów: „Nie łatwo mu było podjąć decyzję, kilkakrotnie udawał się w tej sprawie do Metropolity Andreja Szeptyckiego. W końcu przyjmuje decyzję, iż po uprzedniej katechizacji będzie udzielać dla chętnych zbiorowych chrztów... jawna filożydowska działalność księdza Kowcza łamiącego zarządzenia führera nie mogła być długo tolerowana przez nazistów. Lekceważąc ostrzeżenia władz okupacyjnych odwiedzał z posługą duszpasterską w getcie skazanych na zagładę, a to były już zbyt śmiałe kroki niepokornego kapłana wymierzone wyraźnie przeciwko planom eksterminacyjnym hitlerowców".

Wasyl Szczerbij: ratował każdego człowieka

Wasyl Szczerbij, mieszkaniec Przemyślan, wspominał: „Ks. Kowcz na oczach Niemców prowadził na placu obok cerkwi katechizację Żydów. Jako wierny sługa Boży, próbował ratować każdego człowieka"

Skutków łatwo się domyślić. 30 grudnia 1942 roku przyszły błogosławiony został aresztowany przez gestapo i przewieziony do więzienia we Lwowie. Biciem i torturami próbowano skłonić go do podpisania zobowiązania, że nie będzie już nigdy chrzcił Żydów. Tym samym skazał siebie na śmierć.

Ksiądz Batruch relacjonuje: „Rodzina i znajomi dokładali wszelkich starań, aby wydostać go z więzienia, w starania o uwolnienie zaangażował się również osobiście Metropolita Szeptycki. I gdy wydawało się, że zwolnienie jest już blisko, wystarczyło jedynie, że ksiądz Kowcz zobowiąże się na piśmie, iż nie będzie udzielał jakiejkolwiek pomocy Żydom. Niezłomny kapłan odmówił i nie zgodził się napisać takiego oświadczenia. Po kilku miesiącach został przewieziony do obozu na Majdanku".

Jak opisuje, ksiądz „po przesłuchaniach i torturach stracił na jakiś czas władanie w nogach. Jednak mimo ogromnego bólu i cierpienia, jakie przeżywał z powodu znęcania się nad nim, na jego twarzy jak zaznają świadkowie widniał pogodny jasny uśmiech. Będąc bitym i dręczonym potrafił pocieszać drugich. Wczesnym rankiem budził się ze snu i szeptem modlił się za wszystkich cierpiących". Otrzymał numer 2399 i trafił do w baraku 14, który stoi na tym samym miejscu również obecnie. Ksiądz Emilian Kowcz zmarł w obozowym szpitalu 25 marca 1944 roku.

Abp Lubomyr Huzar: postać, która nas jednoczy

Kiedy Jan Paweł II ogłosił ks. Emiliana Kowcza błogosławionym, Lubomyr Huzar, ukraiński, greckokatolicki arcybiskup Lwowa, powiedział: „Mamy dzisiaj przed sobą syna jednego narodu, który zginął na ziemi innego narodu, a odebrano mu życie za to, że chciał dopomóc trzeciemu narodowi. To jest postać, która nas jednoczy. Tam gdzie są święci, tam już granic właściwie nie ma".

Pomnik Emiliana Kowcza w Lublinie powstał z inicjatywy Fundacji Kultury Duchowej Pogranicza. Wykonali go Alexander Diaczenko i Martha Diaczenko, artyści z Ukrainy. Z trzech stron pomnika, w języku polskim, ukraińskim i hebrajskim, został wyryty fragment listu, który ks. Kowcz napisał do swojej rodziny przebywając na Majdanku.

Żydowska Rada Ukrainy w 1999 roku nadała mu tytuł „Sprawiedliwego Ukrainy". 26 czerwca 2001 roku ks. Emilian Kowcz został beatyfikowany we Lwowie przez Ojca Świętego Jana Pawła II w czasie jego pielgrzymki na Ukrainę. W 2021 roku jego pomnik stanął w Lublinie. A ciąg dalszy, gdy chodzi o przywracanie błogosławionego ludzkiej pamięci, napisze historia. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Ewa Polak-Pałkiewicz

Sprawa honoru. Polska misja Arthura Bliss Lane'a

eprasa.pl 9d46fba629

„Słuchaj, Arthur, te rzeczy po prostu mnie nie interesują. Nie chcę, by zawracano mi nimi głowę" – usłyszał w lipcu 1945 roku od sekretarza stanu niedawno mianowany ambasador USA w Polsce Arthur Bliss Lane. Spotkali się w Paryżu. James F. Byrnes, nowy sekretarz stanu, zamknął mu przed nosem drzwi samochodu, gdy ambasador usiłował omówić z nim stosunki sowiecko-amerykańskie w polskim kontekście.

Warszawa 04.1946. Wizyta w Polsce byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Herberta Hoovera. Nz. prezydent Hoover (P), ambasador USA w Polsce Arthur Bliss Lane (2P) wśród ruin Starówki.

FOT. JERZY BARANOWSKI/PAP

Siedemdziesiąt siedem lat później takie spotkanie wyglądałoby zupełnie inaczej. Stany Zjednoczone odbyły długą drogę od naiwnych złudzeń Roosevelta, poprzez tragiczną śmierć Kennedy`ego, chwiejność Nixona, po przenikliwość i odwagę Reagana, waleczność Trumpa i obecną determinację Białego Domu. Determinację, by spokojnie patrząc w oczy zjawisku zwanemu Rosja, zdecydować się uwolnić świat od jego szaleństwa.

„Widziałem Polskę zdradzoną"

W swoich wspomnieniach Arthur Bliss Lane szkicuje początki tej wyboistej i niekiedy zawiłej drogi, nie szczędząc czytelnikom dramatycznych szczegółów, nie ukrywając nonszalancji i odporności na argumenty zbyt pewnych siebie swoich rodaków. („Może pan dużo wiedzieć o sprawach międzynarodowych, ale nie rozumie pan polityki amerykańskiej", rzucił z irytacją prezydent Roosevelt po usilnych namowach ze strony jednego z wysokich urzędników Departamentu Stanu do podjęcia bardziej stanowczych działań wobec Stalina – zanotował Bilss Lane).

„Widziałem Polskę zdradzoną" – wspomnienia Arthura Blissa Lane'a (1894–1956), ambasadora Stanów Zjednoczonych w naszym kraju w latach 1945–1947, jeszcze niedawno, gdy wydano polskie tłumaczenie, stały się politycznym i literackim przebojem. Jakiekolwiek błędy popełnialiby przywódcy tego państwa, sympatia Polaków do Ameryki nigdy nie wygasła, ożywiana westernami, paczkami z UNRRY, wspomnieniami zrzutów nad powstańczą Warszawą, antykomunizmem Reagana. Zapis tragicznych wydarzeń z pierwszych lat okupacji sowieckiej w Polsce, widzianych oczyma uczciwego Amerykanina, gorącego patrioty, wzbudził ogromną falę wspomnień, gorących debat i dyskusji.

Fakt historyczny był faktem. „Trzy mocarstwa pod dyktatem jednego zdecydowały o podziale świata na strefy wpływów, a raczej własności oraz podległości politycznej i ideologicznej. Nie mogło to zapewnić pokojowego i sprawiedliwego ładu na przyszłość, jak dumnie zaraz po wojnie głoszono" – tak moment, gdy Bliss Lane pojawił się w Polsce, podsumował jeden z recenzentów książki, Marek Klecel. I tę żabę, jako sympatycy, a wręcz entuzjaści Stanów, musieliśmy po prostu przełknąć, co wspomnienia ambasadora raz jeszcze sugestywnie przypomniały.

Ambasador bez ambasady

Prezydent Roosvelt mianował Arthura Bliss Lane`a ambasadorem USA przy Rządzie RP na Uchodźstwie

eprasa.pl 9c46fba629

już we wrześniu 1941 roku, jednak nigdy nie pojawił się on w tej roli w Londynie. Amerykanie po wkroczeniu Sowietów do Polski przyjęli postawę wyczekującą.

Będąc „ambasadorem bez ambasady", starał się pozyskać jak najwięcej informacji nie tylko o Polsce, lecz przede wszystkim o zamiarach swojego kraju wobec niej. Okazało się to zamiarem niewykonalnym. W czerwcu 1944 roku o sytuacji Polski z amerykańskim prezydentem rozmawiał Stanisław Mikołajczyk; Bliss Lane skorzystał z okazji, by przekazać swoją opinię.

„Powiedziałem, że bardzo istotnym byłoby wywieranie nacisku na rząd sowiecki, by podtrzymać niezależność Polski, i dodałem, że jeśli nie zademonstrujemy naszej siły w chwili, gdy mamy największą armię, marynarkę i siły powietrzne na świecie, a prezydent otrzymał właśnie kolejny mandat od swojego społeczeństwa – nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy silniejsi" – zanotował we wspomnieniach. „Na co prezydent odpowiedział ostro i z nutą sarkazmu – »Czy chcesz, bym poszedł na wojnę z Rosją?«. Odpowiedziałem, że nie to miałem na myśli, lecz to, by przyjąć ostrą linię i z niej nie schodzić, wówczas, miałem tego pewność, osiągnęlibyśmy nasze cele. Jednak prezydent miał inną wizję wolnej Polski. Powiedział, że ma pełne zaufanie do słów Stalina i pewność, iż ten się z nich nie wycofa".

Po śmierci Roosevelta, w przeddzień konferencji poczdamskiej, Arthur Bliss Lane wracał do sprawy Polski i usilnie starał się omówić ze swoim przełożonym ten „jeden z najbardziej drażliwych tematów stojących przed USA", ale nadal trafiał na mur oporu.

Ameryka czekała. Stalin nie jawił się tu jeszcze jako zbrodniarz i skrajnie niebezpieczny przeciwnik. Biss Lane wciąż nie mógł wyjechać do Warszawy.

Marek Klecel dodaje: „Nie było zgody nawet na jego akredytację przy rządzie polskim w Londynie, gdyż obawiano się zapewne, że to może urazić Stalina. Postawiono go w sytuacji faktów dokonanych: kapitulacji w Jałcie, konferencji w San Francisco, a zwłaszcza uznania przez USA Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Na początku lipca 1945 r. został ambasadorem nie przy legalnym Rządzie RP na Uchodźstwie, lecz przy uzurpatorskim rządzie w Warszawie".

Jego misję w Polsce pod kuratelą Moskwy określano później jako beznadziejną. „Do tego jego własne władze nie wprowadziły go w pełni w kulisy polskiej sytuacji, w stan rozmów ze Stalinem, w ogólną tendencję polityki zachodnich aliantów wobec dominacji Związku Sowieckiego. To Ciechanowski [Jan Ciechanowski – w latach 1941–1945 ambasador RP w Waszyngtonie – przyp. EPP] wyjaśniał mu utajnione wyniki konferencji w Teheranie, jak i dalszą politykę ustępstw wobec żądań Stalina. Lane pozostał długo ambasadorem nominalnym, w istocie nieczynnym" – zaznacza Marek Klecel.

Mieć oczy szeroko otwarte

Bliss Lane nie zamierzał jednak zamykać oczu na rzeczywistość. Od pierwszego niemal dnia pobytu w Polsce dostrzegał groźny wymiar splotu zmowy, kłamstwa i przemocy – to wszystko, co paraliżowało nasz kraj już od chwili zakończenia wojny – oraz hańbę milczenia świata wobec dokonywanych tu zbrodni. Znakomicie wykorzystał sposobność, by przyjrzeć się uważnie błędom popełnianym przez Zachód, wyciągnąć z tego wnioski, a następnie upublicznić wiedzę, do czego ostatecznie doprowadziła krótkowzroczna polityka mocarstw zachodnich, które dały Stalinowi swobodę sprawowania kontroli nad Europą Środkową i Wschodnią.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę ze znaczenia sprawy polskiej – w tamtych latach było to dość niezwykłe – nie tylko dla państwa amerykańskiego, lecz także dla świata. Dostrzegał to nie tylko w kontekście strategicznego położenia Polski, jej możliwości gospodarczych i tego, że miliony obywateli jego własnego kraju miały polskie pochodzenie. Żywił głębokie intuicyjne przekonanie, że tworzenie na terenie Polski państwa policyjnego, likwidacja opozycji i wszelkich dążeń niepodległościowych przez unicestwienie wolności słowa, oznaczało coś więcej niż zdławienie demokracji w tej części Europy. Przewidywał, że na końcu tej drogi będzie zupełnie już bezczelne ukazanie dążenia Rosji do światowej dominacji poprzez uzależnienie kolejnych państw europejskich, „aż do chwili, gdy przyjdzie kolej na Stany Zjednoczone". Mówił, że zamykanie przez Zachód oczu na to, czym jest imperializm komunistycznej Rosji, jest najkrótszą drogą do postawienia pod znakiem zapytania czegoś tak podstawowego jak „nasze własne istnienie". Jego intuicja znajduje dziś pełne potwierdzenie.

Na placówce wśród ruin

Ten absolwent University of Yale, wytrawny dyplomata – karierę dyplomatyczną zaczynał po 1918 roku właśnie w Polsce, gdzie został sekretarzem placówki amerykańskiej – pomimo braku oparcia w rządzie starał się pełnić służbę w naszym kraju zgodnie z etosem zawodu czy nawet ze swoim powołaniem. W drodze do Warszawy zatrzymał się

eprasa.pl 9d46fba629

z własnej inicjatywy na nocleg w Poczdamie, gdzie obradowała wielka trójka. USA reprezentował nowy prezydent Harry Truman.

W obrazie Warszawy, którą ujrzał 1 sierpnia 1945 roku, przypominającej jedno wielkie gruzowisko, dostrzegł jakby zapowiedź rozwiania się jego nadziei. „Była jedną z najpiękniejszych stolic Europy. Teraz zaś [...] swąd dymu dawnych pożarów wisiał w powietrzu, a przyprawiający o mdłości, słodkawy odór rozkładających się ciał ludzkich ostrzegał, że wkraczamy do miasta umarłych. [...] Moje oczy szukały nadaremnie jakiegokolwiek znanego placu lub budynku, dopóki w centrum, w Alejach Jerozolimskich, nie zobaczyłem dwóch poczerniałych wież z pogiętego metalu; nagle pojąłem, że to było wszystko, co pozostało z luksusowego niegdyś dworca kolejowego".

Gmach ambasady USA w Alejach Ujazdowskich, jak i wcześniejsza siedziba przy Foksal, był także kupą gruzów; Bliss Lane musiał ulokować swoją placówkę w kilku pokojach warszawskiego hotelu Polonia, jednego z nielicznych ocalałych budynków stolicy.

Gdy spadają maski

Choć Stany Zjednoczone oferowały daleko idącą pomoc zniszczonej Polsce, strona komunistyczna stawiała swoje warunki. „[...] Nie zgodzono się na amerykańskiego szefa pomocowej organizacji UNRRA, lecz wprowadzono rosyjskiego, Michaiła Mieńszykowa" – przypomina Marek Klecel. „Lane miał koordynować dostarczenie z Francji tysiąca ciężarówek z wojskowego demobilu, czym polscy komuniści nie byli zbytnio zainteresowani. Ambasador odradzał swym władzom udzielanie Polsce kredytów bez sprawdzenia warunków bezpieczeństwa i stanu przestrzegania prawa. Rząd amerykański zlekceważył ostrzeżenia swego dyplomaty i przyznał Polsce duży kredyt, co Lane, znający już sytuację w sowietyzowanym kraju, uznał za własną porażkę.

Widział też na każdym kroku, że polskie władze nie mogą samodzielnie podejmować decyzji, muszą uzgadniać je z czynnikami sowieckimi. Utrudniano Amerykanom kontakt z władzami w Waszyngtonie, korespondencję, założenie radiostacji. Depesze na Zachód szły przez Moskwę, były zatem kontrolowane i cenzurowane. Zdarzały się wypadki aresztowania obywateli pochodzenia amerykańskiego. Lane z trudem dostał się przed oblicze ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza, by w ich sprawie interweniować. Wszechwładny Radkiewicz, którego oglądał pierwszy i ostatni raz, zbył amerykańskiego ambasadora dyplomatycznymi obietnicami, z których nic nie wynikło. Lane szybko się zorientował, że nie był to przypadek, lecz jeden z wątków represji stosowanych przez nowych władców Polski, którzy nie wahali się przed prowokacyjnymi działaniami także wobec obywateli amerykańskich. Był w tym też ślad sowieckiego NKWD, które we wszystkich cudzoziemcach widziało szpiegów".

Bliss Lane mógł obserwować osobiście akcję represji wobec Polskiego Stronnictwa Ludowego i Mikołajczyka, którego zamierzano wyeliminować z życia politycznego. Ludzie PSL-u byli w całym kraju ścigani i zastraszani. „W 1945 r. zaginął i nie został odnaleziony Władysław Kojder, w Łodzi zamordowano Bolesława Ściborka i oskarżono o to jego własną partię. Właśnie z tym wiązało się aresztowanie w połowie 1946 r. polskiej pracowniczki ambasady USA Ireny Dmochowskiej, która nagle zniknęła i dopiero po interwencjach odnalazła się w więzieniu UB. Ambasador postarał się o widzenie z nią, oczywiście w obecności władz UB".

„W końcu – zanotował we wspomnieniach tę scenę – znaleźliśmy się w pokoju kapitana [Adama] Humera, urzędnika o wyglądzie złoczyńcy, który uprzedził mnie, abym nie zwracał się do pani Dmochowskiej po angielsku i nie zadawał pytań mających związek z jej sprawą".

Irenę Dmochowską usiłowano wmontować w zabójstwo Bolesława Ściborka, przypisując jej także kontakty z PSL. W trakcie brutalnego śledztwa zmuszono ją, by przyznała się do niepopełnionych czynów. Dostała pięć lat więzienia.

„Wolne" i „nieskrępowane"

Najważniejszymi sprawami, którymi wypadło mu się w Polsce zająć, były wybory do Sejmu w 1947 roku – miały być one „wolne i nieskrępowane", w myśl zapisów Jałty i Poczdamu – a także udzielenie Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej kredytów (90 mln dolarów); rekompensata za znacjonalizowane mienie amerykańskie; zwolnienie z więzień osób deklarujących amerykańskie obywatelstwo oraz możliwość swobodnego relacjonowania wydarzeń w Polsce przez amerykańskich dziennikarzy.

Razem z ambasadorem brytyjskim Victorem Cavendish-Bentinckiem zorganizował szesnaście zespołów obserwujących przebieg głosowania do Sejmu. Do Waszyngtonu i Londynu trafiły wkrótce obszerne raporty, w oparciu o które bezapelacyjnie uznano, że wybory w Polsce były pogwałceniem postanowień z Jałty i Poczdamu, gdyż cechowały je „przemoc i oszustwo".

eprasa.pl 9d46fba629

„Regulamin wyborów przewidywał głosowanie tajne, toteż ze zdziwieniem zauważyłem, że wielu wyborców wyraźnie pokazywało kartkę z dużym, czarnym numerem »3« przed włożeniem jej do koperty" – notował we Wspomnieniach. „Wkrótce jednak odkryłem, że członkowie komisji wyborczej zaznaczali na liście nazwiska osób, które głosowały tajnie, nie pokazując numeru listy. Zakonnice i księża niezmiennie głosowali tajnie, zgodnie z prawem" – pisał o wyborach. Komuniści od razu zapisywali nazwiska głosujących tajnie i odhaczali tych, którzy poparli listę komunistów z numerem 3.

Wyzwolenie przez zniewolenie

Tak pointuje Marek Klecel ocenę sytuacji Polski, jakiej musiał dokonać amerykański ambasador. Gdy krótko po referendum doszło do pogromu Żydów w Kielcach i gdy Bilss Lane dowiedział się od przedstawicieli rządu, że było to dzieło „band narodowego podziemia", nie miał wątpliwości, że miała miejsce klasyczna prowokacja sił bezpieczeństwa. Komuniści usiłowali skierować uwagę Polaków na wydarzenia w Kielcach, by przestano roztrząsać wyniki referendum i by móc zarazem oskarżyć opozycję o antysemityzm i terroryzm, niszcząc przy okazji naszą dobrą opinię w oczach Zachodu – opinię kraju ratującego Żydów w czasie wojny.

Bliss Lane nie mógł być tylko biernym obserwatorem. Sytuacja wymagała, by zajmował stanowisko wobec ewidentnych działań komunistów przeciw suwerenności Polski. Rząd Stanów Zjednoczonych był o tym stale informowany, a ambasador upominał się o stanowczą reakcję. „Znalazł się w jeszcze bardziej niewygodnym położeniu, gdy pewną niejasną wypowiedź wysokiego urzędnika amerykańskiego o granicy na Odrze i Nysie wykorzystano do rozpętania histerii, twierdząc, że Amerykanie kwestionują tę granicę, sprzyjają Niemcom i ich planom powrotu na polskie na Ziemie Zachodnie" (Marek Klecel).

Jesienią 1946 roku wyjechał do USA, by odbyć konieczne konsultacje i uzyskać wskazówki rządu. Alarmując, że Polska coraz bardziej ulega Moskwie, zalecał zerwanie z amerykańską polityką ustępstw – tym nieszczęsnym spadkiem po Roosevelcie. Przekonywał, że pomoc finansowa Stanów powinna być warunkowa. Waszyngton trzymał się jednak dawnej linii. Amerykanie nie widzieli alternatywy dla Stalina.

„Po powrocie do Warszawy w grudniu 1946 r. zastał sytuację polityczną w punkcie krytycznym. Wybory wyznaczono na 19 stycznia 1947 r. Mikołajczyk zwrócił się do ambasadora z dramatycznym apelem o poinformowanie Zachodu o prześladowaniach politycznych w Polsce. Przedstawił cały raport, w którym wyszczególniono represje zwłaszcza wobec PSL i jego członków: rewizje i aresztowania, zmuszanie do współpracy z UB, usuwanie z pracy, demolowanie siedzib stronnictwa, podrzucanie broni i ulotek, rozpędzanie wieców. Wreszcie raport wymienia napady i pobicia działaczy PSL, stwierdza, że zamordowano 110 członków tej partii, podkreślając, że w niektórych wypadkach znano sprawców – funkcjonariuszy UB. Lane znalazł się bardzo blisko tych wydarzeń. Niedługo przed wyborami aresztowano znanego mu hrabiego Ksawerego Grocholskiego, który pozostawał w przyjacielskich stosunkach z ambasadorem brytyjskim Victorem Cavendishem-Bentinckiem. Grocholskiego oskarżono o kontakty z podziemiem i obcą ambasadą. Wyrok śmierci zapadł pięć dni przed wyborami".

Victor Cavendish-Bentinck napisał wtedy w raporcie do Londynu, że „montując ten proces władze warszawskie liczyły na odstraszenie obywateli od znajomości z obcymi dyplomatami i z kolei odstraszenie dyplomatów »od prób nawiązywania kontaktów, gdybyśmy takich chcieli, z organizacjami podziemnymi«".

Wymuszona rezygnacja

Wyniki wyborów zmusiły Arthur Bliss Lane'a do zakończenia misji dyplomatycznej w Polsce. Pozostanie oznaczałoby, że akceptuje sfałszowane wybory. Dymisję w Departamencie Stanu złożył kilka dni po ogłoszeniu wyników wyborów. Amerykanie oświadczyli władzom w Warszawie, że ich nie uznają, Polaków nikt jednak o tym nie zamierzał informować.

Rozczarowany postawą swojego rządu, po powrocie do kraju wystąpił ze służby dyplomatycznej i zajął się pisaniem pamiętników (wydano je w Chicago w 1948 roku), by Zachód dowiedział się, co naprawdę dzieje się w Polsce okupowanej przez Sowiety. Choć, jak podkreślano nieraz w omówieniach książki, jego oceny były wyważone, oszczędzał czytelnikom niepotrzebnych emocji, nie rzucał nieudokumentowanych oskarżeń, nie epatował opisami brutalnych zbrodni, było to druzgocące świadectwo zakłamania epoki pojałtańskiej. Po ukazaniu się książki w 1948 roku opinia światowa nie mogła mieć wątpliwości: państwa Europy Środkowo-Wschodniej są atrapami demokracji i suwerenności, działają w ramach agenturalnego systemu stworzonego i nadzorowanego przez Sowiety.

„Rok wcześniej", przypomina Marek Klecel, „ukazały się wspomnienia Jana Ciechanowskiego. Z tych dwóch książek wynika wspólna konkluzja: to Roosevelt i Churchill wykreowali Stalina na takiego zwycięzcę, który nie tylko wygrał wojnę i zdobył połowę Europy, ale i mógł później zagrozić reszcie świata, tworząc nuklearne mocarstwo. Bez Roosevelta i Churchilla Stalin by tego nie osiągnął".

Arthur Bliss Lane mógł liczyć na pełne zrozumienie ze strony Polonii amerykańskiej. Polacy w Stanach za-

eprasa.pl 9d46fba629

wsze dobrze zdawali sobie sprawę z grozy sytuacji, jaką stwarza sowiecka okupacja.

Po powrocie do USA Bliss Lane patronował antykomunistycznym organizacjom (m.in. Komitetowi do Wyjaśnienia Zbrodni Katyńskiej i Komitetowi Wolnej Europy, który czuwał nad pracą Radia Wolna Europa). Aż do śmierci w 1956 roku pisywał w amerykańskiej prasie o sytuacji w Polsce.

Duch Polski żyje!

„Rosjanie i hitlerowcy nie tylko doszli do porozumienia w przygotowywaniu zagłady państwa polskiego, ale stosowali także podobne metody dla zdławienia ducha niepodległości" – zanotował na kartach pamiętników ten jeden z nielicznych trzeźwo i precyzyjnie myślących ludzi swoich czasów. I dodawał: „Na szczęście ten duch żyje nadal i żyć będzie!".

Na czym opierał swoją pewność? Podkreślał narodową jednorodność Polaków, wspólną religię i język, a także „przeżyte cierpienia i ogromne poświęcenie dla własnej ojczyzny".

„Po rozbiorach w XVIII wieku Polacy okazali się narodem, który najtrudniej ujarzmić. W czasie okupacji hitlerowskiej nigdy nie stracili ducha ani poczucia jedności. [...] Tak długo, jak zachowają względną wolność praktyk religijnych, ich siła moralna pozostanie nienaruszona". Ten prostolinijny i uczciwy człowiek brzydził się kłamstwem. Patrząc na wszystkie nieszczęścia Polski, dostrzegał jasną perspektywę dla przyszłej jej historii – dzięki wierze jej mieszkańców, którą podziwiał.

Zadanie prawdziwej elity

Zdaniem francuskiego pisarza ks. Henri Delassusa, elity w każdym kraju, nawet niszczonym przez zabory czy rewolucję, mają szansę się odrodzić za sprawą pięciu rzeczy: pamięci o przeszłości, strzeżenia wiary, stosowania zasad honoru, obrony prawdy, chrześcijańskiego miłosierdzia. Kto ma się składać na te faktyczne elity? Duchowieństwo niedotknięte wpływami modernizmu, rodziny świadome roli społecznej, wystarczająco silne, by obronić swoją tożsamość i własność, oraz patriotyczni przywódcy. Za siłą moralną takich prawdziwych elit idzie zawsze wielkość polityczna. Jak symboliczna w tej mierze okazuje się dziś decyzja Donalda Trumpa, by powołać odpowiednich ludzi do Sądu Najwyższego. Dzięki nim Stany Zjednoczone najprawdopodobniej zniosą proceder dostępnej dla każdego aborcji, odrodzą się moralnie i będą mogły przewodzić światu nie tylko w zakresie cywilizacyjnym – militarnym, naukowym i politycznym.

Rzecz ciekawa, podobnie jak Arthur Bliss Lane widział nasz kraj i jego rolę na kontynencie francuski dramaturg i poeta Paul Claudel (1867–1955). W swoim „Dzienniku" zapisał, że przyzwolenie ze strony państw europejskich na zniesienie Polski z mapy kontynentu w XVIII wieku, ten „ohydny rozbiór narodu chrześcijańskiego", jest „grzechem śmiertelnym Europy". I musi on zostać odpokutowany. W przeciwnym razie Europa – a szerzej, Zachód – nie zazna pokoju ani pomyślności. Claudel był także zawodowym dyplomatą. W latach międzywojennych pełnił m.in. funkcję ambasadora Francji w USA. Nie był miłośnikiem Ameryki, lecz cenił jej ustrój i miał wśród Amerykanów wielu przyjaciół. Uważał, że „demokracja amerykańska weszła w świat prowadzona za rękę przez francuską arystokrację".

Także Gilbert K. Chesterton uważał, że Polska jest w Europie „jedynym realnym wałem obronnym przeciw barbarzyństwu". Wobec ludzi krytykujących i szkalujących Polskę przyjmował postawę aktywnego sprzeciwu. W postawie tych, którzy naśmiewali się z Polski, widział skutki zazdrości, sztuczne nadymanie swojej wielkości. W czasie wojny 1920 roku całym sercem poparł Polskę i mówił, że jeśliby Polska upadła, „wraz z nią runąłby szaniec pokoju całego świata". W prasie brytyjskiej i amerykańskiej pojawiły się wtedy doniesienia o rzekomych pogromach Żydów w Polsce. Chesterton zareagował na to natychmiast, przeprowadzając wraz ze swoim bratem i z Hilairem Bellokiem własne dochodzenie, a następnie ogłaszając w prasie, że to wyssane z palca kłamstwa.

Jeszcze niedawno odgrywali w naszym kraju kluczową rolę ludzie, których uważano za przedstawicieli inteligencji, a którzy głośno wykrzykiwali, że Polska narodziła się w 1945 roku, ewentualnie przy Okrągłym Stole. Upór Polski zdradzonej, lecz nie uległej doprowadził do tego, że pamięć o prawdziwych zasługach i prawdziwej wielkości naszego kraju została w świecie przywrócona.

***

14 listopada 2019 roku ówczesny szef Gabinetu Prezydenta Krzysztof Szczerski wziął udział w uroczystości upamiętniającej misję dyplomatyczną Arthura Bliss Lane'a. Został on przez Andrzeja Dudę odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Odznaczenie przekazano na ręce Georgette Mosbacher. Uroczystość zorganizowano w hotelu Polonia Palace, gdzie w latach 1945–1947 mieściła się rezydencja amerykańskiego ambasadora. ■

Źródła: Arthur Bliss Lane „Widziałem Polskę zdradzoną", Warszawa 2019; Marek Klecel „Misja niemożliwa ambasadora Arthura Bliss Lane'a", Biuletyn IPN, 5/2020; Marek Łatyński „Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych", Wrocław 2002.

eprasa.pl 9d46fba629

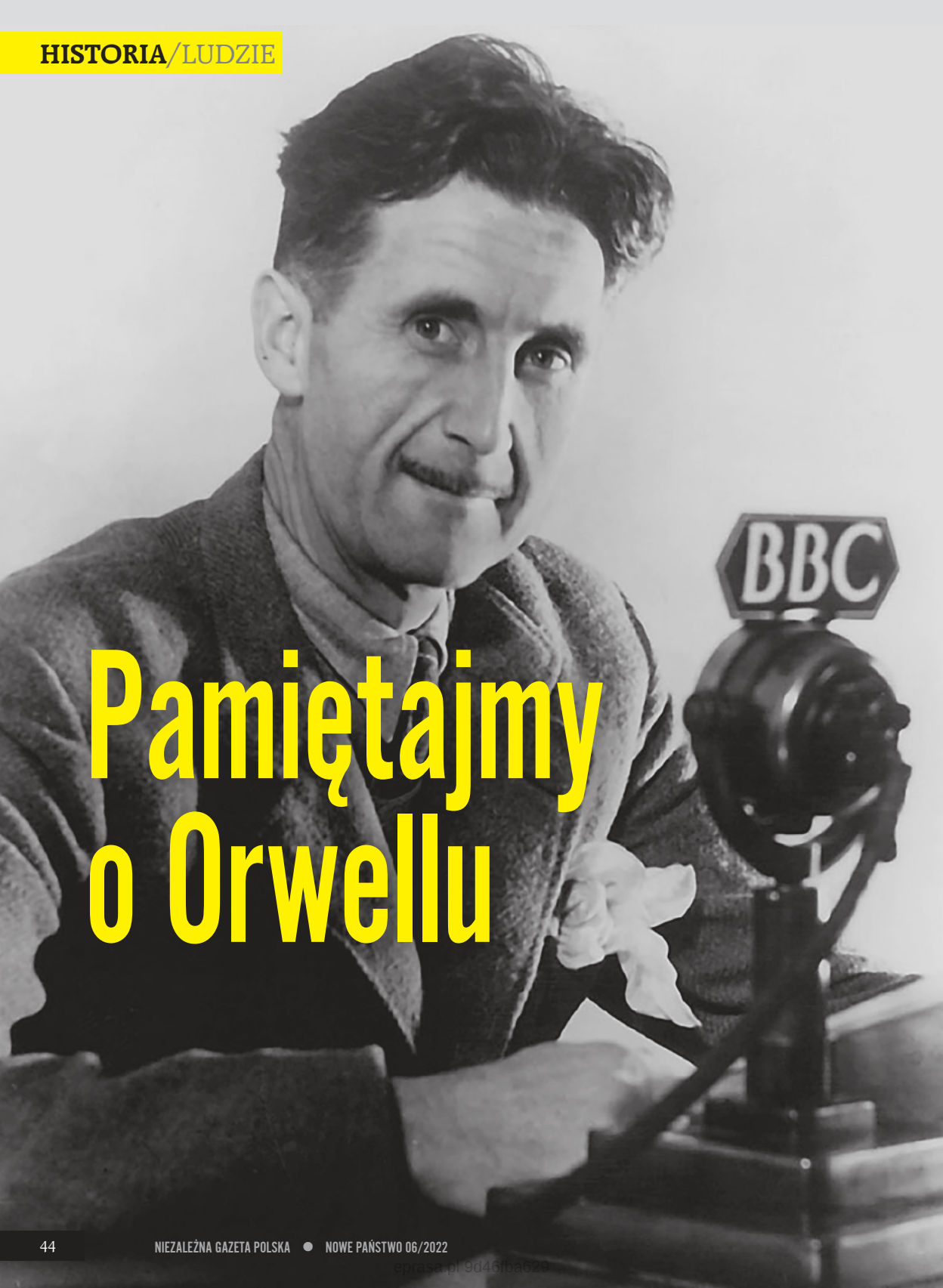

Pamiętajmy o Orwellu

eprasa.pl 9d46fba629

Dariusz Jarosiński

Polacy mają szczególne powody, by uczcić w przyszłym roku 120. rocznicę urodzin George'a Orwella – wszak najbardziej cenił ze wszystkich narodów naród polski, nie mógł się pogodzić z niegodziwym traktowaniem przez aliantów polskich żołnierzy, z wieloma Polakami utrzymywał bliskie kontakty, publikował w paryskiej „Kulturze". A jedynie śmiertelna choroba uniemożliwiła mu napisanie powieści o zbrodni w Katyniu.

W przyszłym roku, w styczniu, minie 120. rocznica urodzin Erica Arthura Blaira, znanego pod pseudonimem literackim George Orwell. Jego dwie książki „Folwark zwierzęcy" i „Rok 1984", które napisał u schyłku swego krótkiego życia, przyniosły mu światową sławę, były podsumowaniem jego życiowych doświadczeń, przemyśleń, ostrzeżeniem przed totalitaryzmem. Okazał się genialnym obserwatorem, który bezbłędnie odczytał znaki czasu, bo choć uważał się za socjalistę, to potrafił dostrzec, że ideologia socjalistyczna niesie ze sobą zagrożenia. Orwell, zdaniem ówczesnej lewicy, „popełnił najgorszy grzech z możliwych – dostarczył amunicji wrogowi", jak się wyraził Raymond Williams, a wtórowali mu inni lewicowi intelektualiści.

Z troską pisał o Polsce

Cywilizacja zachodnia oparta była przez stulecia na religii chrześcijańskiej. Ludzie religijni, wierzący w Boga, potrafiący odróżnić dobro od zła, oczekiwali, że prawdziwe szczęście spotka ich dopiero po śmierci. Socjaliści obiecywali szczęście już za życia na ziemi. Orwell, choć był socjalistą, agnostykiem, to jednak dostrzegał wytworzenie się „próżni moralnej" po zrywającej z tradycyjnymi, chrześcijańskimi wartościami Europie. W 1944 roku pisał w jednym z artykułów: „Prawdziwym problemem naszych czasów jest odnowienie poczucia absolutnego dobra i zła w sytuacji, w której podstawa tego poczucia – przeświadczenie o indywidualnej nieśmiertelności – została zniszczona".

Święty Jan Paweł II poznał z autopsji dwa systemy totalitarne – narodowy socjalizm i komunizm. Miał duży współudział w osłabieniu komunizmu. Papież twierdził, że istota totalitaryzmu tkwi korzeniami w negacji Boga, a system totalitarny jest formą systemu ateistycznego. Dowodził, że w sytuacji, w której nie istnieje niezmienna i uniwersalna prawda, nadająca ton całemu życiu politycznemu, nietrudno o pojawienie się totalitarnych metod sprawowania władzy również w systemach demokratycznych. Zdaniem Jana Pawła II: „demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm".

Orwell nie miał nic wspólnego z dzisiejszym lewactwem, drwił m.in. z „wegetarian, nudystów, kwakrów, maniaków seksualnych, pacyfistów i zwolenników feminizmu". W swojej epoce uchodził niemal za brytyjskiego konserwatystę, wiele jego poglądów nie miało charakteru rewolucyjnego. Amerykańskiemu wydawcy pisał w 1940 roku o sobie, że lubi ogrodnictwo, a zwłaszcza uprawę warzyw; lubi angielską kuchnię i angielskie piwo, francuskie wina czerwone i hiszpańskie białe, indyjską herbatę, mocny tytoń, kominki,

FOT. ARCH.

eprasa.pl 9246fba629

świece i wygodne fotele. Nie lubi dużych miast, hałasu, samochodów, radia, konserw, centralnego ogrzewania i „nowoczesnych" mebli. Orwell nie był dogmatycznym socjalistą, był krytyczny wobec socjalistów.

Polacy mają szczególne powody, by uczcić w przyszłym roku 120. rocznicę urodzin Orwella – wszak najbardziej cenił ze wszystkich narodów naród polski, nie mógł się pogodzić z niegodziwym traktowaniem przez aliantów polskich żołnierzy, z wieloma Polakami utrzymywał bliskie kontakty, publikował w paryskiej „Kulturze". Jedynie śmiertelna choroba uniemożliwiła mu napisanie powieści o zbrodni w Katyniu. Tak jak dla Orwella byli ważni Polacy – z troską pisał o Polsce, jej problemach – tak również Orwell był ważnym pisarzem dla Polaków, najpierw tych żyjących na emigracji, później mogliśmy już go czytać w drugim obiegu (starsi), a młodsi po roku 1989 w wydawnictwach oficjalnych.

▶ 1948 a 1984

Orwell przebył trudną drogę życiową z własnego wyboru. Odrzucił świat łatwego awansu społecznego, poszedł własnymi ścieżkami, poznał z autopsji, czym jest bezdomność, nędza. Ważnym okresem w jego życiu, wręcz przełomowym, był udział w wojnie domowej w Hiszpanii w 1936 roku. Walczył w oddziale po stronie republikańskiej, ale jego oddział uznany został za nieprawomyślny przez bolszewików i pisarz ledwo uszedł z życiem przed NKWD i GRU. Do końca życia zapamiętał, czym jest bolszewia, nie musiał jeździć do Sowietów, by wiedzieć, jakie bezwzględne, bandyckie metody stosują komuniści wobec osób inaczej myślących. Pisał później: „Każda linijka mych utworów serio powstałych po 1936 roku, była pisana bezpośrednio lub pośrednio przeciw totalitaryzmowi i na rzecz demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem". Swoje doświadczenia hiszpańskie opisał w książce „Hołd dla Katalonii".

„Rok 1984" napisał w roku 1948, a wydał rok później, jest to właściwie uzupełnienie powstałego wcześniej „Folwarku zwierzęcego". W pierwszej z książek opisał proces dochodzenia do władzy świń – symbolizujących bolszewików, narodziny tyranii, w drugiej zaś – w jaki sposób tyrania bolszewicka sprawuje władzę nad obywatelami.

Akcja „Roku 1984" rozgrywa się w Oceanii, rządzonej przez Partię, będącej pod kontrolą Wielkiego Brata. Wizja przedstawionego świata jest demoniczna. Jest to świat wszechobecnej propagandy i inwigilacji – z każdej ściany spogląda twarz Wielkiego Brata, codziennie odbywają się „dwuminutowe seanse nienawiści", a ekrany nieustannie kontrolują każdy krok, ruch swoich obywateli. Głównego bohatera powieści, Winstona Smitha, pracownika Ministerstwa Prawdy, inwigilacja dosięga wszędzie, także w domu i podczas snu, bo człowiek czasami coś mówi przez sen. Smith początkowo buntuje się przeciwko systemowi, zakochuje i chce wstąpić do rewolucyjnego Braterstwa, jednak pod wpływem nowomowy i manipulacji poddaje się – zakochuje się w Wielkim Bracie.

George Orwell nie był pierwszym pisarzem, który ostrzegał przed totalitaryzmem, lecz pierwszym, który tak mocno wstrząsnął wyobraźnią czytelników. Niewiele jest w europejskiej literaturze podobnie przerażających, mrocznych książek jak „Rok 1984", po których przeczytaniu zaczynamy inaczej, z trwogą, patrzeć na rzeczywistość. W wydanej w 1930 roku książce „Nienasycenie" Stanisław Ignacy Witkiewicz pokazał społeczeństwo uzależnione od technologii i używek, pokazał Europę opanowaną przez komunizm, zmierzającą ku zagładzie. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1921, powstała słynna dystopia Eugeniusza Zamiatina „My". W 1932 roku ukazała się książka Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat" – ukazująca wizję przyszłego świata w roku 2540. We „wspaniałym świecie" kastowe społeczeństwo dzięki postępom nauk biologicznych, manipulacjom genetycznym, realizuje marzenie o powszechnym szczęściu, wolności od trosk. Ludzie zostają zredukowani do funkcji automatów bez wyższych uczuć. Wyższe uczucia są wyszydzane i potępiane. W osiągnięciu stanu szczęśliwości, zapomnienia pomagają narkotyki o nazwie soma.

Huxley był pod dużym wrażeniem „Roku 1984". Na marginesie: kiedy Orwell był w latach 1917–1921 uczniem w prestiżowym Eton College, w tym samym czasie Huxley uczył w tej szkole języka francuskiego. Autor „Nowego wspaniałego świata" napisał list do swego byłego ucznia, w którym nie szczędził mu pochwał, lecz jednocześnie dowodził, że jego przewidywania są bardziej prawdopodobne, że jeżeli dojdzie do kontroli nad umysłami, to odbędzie się to w sposób bardziej łagodny, mniej opresyjny, ludzie sami oddadzą wolność, wyrzekną się tradycji, historii, wyższych uczuć. Orwell zakładał, że pełną kontrolę może zapewnić jedynie przemoc, inwigilacja i strach.

W 1944 roku ukazała się na angielskim rynku wydawniczym książka Friedricha Augusta von Hayeka „Droga do zniewolenia", w której autor, austriacki ekonomista, filozof, prawicowy liberał, ostrzegał nie tylko przed totalitaryzmem, lecz także przed ryzykiem opiekuńczego etatyzmu, opiekuńczej dyktatury. Hayek opowiadał się za systemem politycznym, którego główną osią byłaby wolność pod rządami prawa. Jego koncepcje miały charakter nie tylko ekonomiczny, lecz dotykały także porządku politycznego i zagadnień filozoficznych. Dowodził, że każda odmiana socjalizmu niszczy gospodarkę i jest zagrożeniem wolności czło-

eprasa.pl 9d46fba629

wieka. Każde zniewolenie człowieka, nawet jeśli przyświecają temu dobre intencje, zawsze kończy się tragicznie. W imię „uszczęśliwiania ludzkości" zostały wymordowane dziesiątki milionów ludzi.

W przedmowie do polskiego wydania „Drogi do zniewolenia", F.A. von Hayek pisał w 1983 roku: „»Rok 1984«, dzięki znacznie sławniejszej książce George'a Orwella, do napisania której w sposób widoczny zainspirowała go lektura pierwszego wydania mojej książki, stał się symbolem niebezpieczeństwa, jakie zagrażało nam ze strony iluzji rządzących światem przed czterdziestu laty. Jestem przekonany, iż Orwell i ja zasługujemy na pewien kredyt zaufania, ponieważ nie wpadliśmy w pułapkę, która zwiodła tak wielu ludzi, mających wprawdzie dobre zamiary, ale nierozsądnych".

Norman Podhoretz, amerykański neokonserwatysta, w eseju „Gdyby Orwell żył dzisiaj" (1986) zauważał: „W zdumiewająco życzliwej recenzji z »Drogi do zniewolenia« F.A. Hayeka, Orwell przyznał, że socjalizm »nieuchronnie wiedzie do despotyzmu«, i że kolektywizacja ustanowiona przez socjalizm niesie z sobą »obozy koncentracyjne, kult jednostki i wojnę«". Neokonserwatyści amerykańscy widzieli w pracach Orwella jedno z największych „proroczych ostrzeżeń przeciwko groźbie sowieckiego totalitaryzmu". Uważali autora „Roku 1984" za jednego ze swoich przewodników duchowych. Na zakończenie swego eseju Podhoretz zaryzykował tezę, że „gdyby Orwell żył dzisiaj, stanąłby w szeregach neokonserwatystów i przeciw lewicy". Wśród amerykańskich neokonserwatystów było dużo wyleczonych z lewicowości polityków, publicystów.

▶ Orwell „polonofilem"

George Orwell, podobnie jak Gilbert Chesterton, również wybitny angielski pisarz, niezwykle cenił Polskę i Polaków. Orwell był socjalistą, Chesterton katolickim konserwatystą, a jednak każdy z nich, mimo odmiennych poglądów politycznych, potrafił dostrzec bliskie mu wartości w polskim narodzie. Obaj byli narażeni na ostrą krytykę, obaj wykazali się w swoim życiu dużą odwagą cywilną, niezłomnością, szli samotnie w życiu pod prąd.

Angielska prasa jedynie zdawkowo i tendencyjnie informowała na temat Powstania Warszawskiego. Tadeusz Nowakowski, dziennikarz Radia Wolna Europa, twierdził, że Orwell „na wiadomość o wybuchu Powstania Warszawskiego [...] wziął koc i położył się wieczorem u wejścia do siedziby premiera Downing Street 10 [...], aby w ten sposób zaalarmować opinię publiczną brakiem dostatecznej pomocy dla powstańczej Warszawy". Nowakowski nie zawahał się nazwać Orwella „polonofilem". Z powodu krytyki sojusznika Wielkiej Brytanii – Sowietów, narażał się na inwektywy, wyzwiska, najczęściej wymyślano mu od faszystów. Orwell nie pozostawał dłużny swoim adwersarzom, nie szczędził ostrych słów, a nawet przekleństw: „Zapamiętajcie, że za nieszczerość i tchórzostwo zawsze trzeba zapłacić. Nie wyobrażajcie sobie, że przez całe lata można uprawiać służalczą propagandę na rzecz sowieckiego lub też jakiegokolwiek innego reżimu, a potem powrócić nagle do intelektualnej przyzwoitości. Raz się skurwisz, kurwą pozostaniesz".

Pierwszym polskim wydawnictwem publikującym teksty Orwella był Instytut Literacki. W rozmowach Instytutu z Orwellem, które zaczęły się w 1946 roku, pośredniczyli mieszkający w Londynie Wiktor Weintraub i Maja Prądzyńska. Już w czwartym numerze „Kultury", który ukazał się w Paryżu na początku 1948 roku, został zamieszczony esej Orwella o Anglii pt. „Lew i nosorożec". Redaktorami pisma byli Jerzy Giedroyc i Gustaw Herling-Grudziński, a współpracownikami Józef Czapski i Zofia Hertz. Wszyscy oni byli wcześniej żołnierzami 2. Korpusu Armii gen. Władysława Andersa i początkowo wydawali „Kulturę" w Rzymie. Józef Czapski poznał George'a Orwella w 1945 roku w Paryżu, gdzie autor „Folwarku zwierzęcego" przebywał jako korespondent wojenny pisma „Observer". Dzięki Czapskiemu Orwell poznał historię zbrodni dokonanej przez Sowietów na polskich oficerach w Katyniu. Notabene, autor „Folwarku zwierzęcego" zamierzał napisać powieść o Katyniu, jednak jego zamiary udaremniła śmiertelna choroba. Orwell był pod dużym wrażeniem książki Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi", zabiegał o jej angielskie wydanie, ale bezskutecznie, sam zresztą miał problemy z wydaniem „Folwarku zwierzęcego". Prawdopodobnie pod wpływem Czapskiego, Orwell dokonał zmian w będącym już w druku „Folwarku zwierzęcym".

Książka „Na nieludzkiej ziemi" ukazała się w 1949 roku nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, wkrótce też wyszło jej francuskie tłumaczenie. Jerzy Giedroyc skarżył się wiele lat później w rozmowie z Joanną Podolską: „Po wojnie panowała we Francji dyktatura myśli lewicowej. Byliśmy tam bojkotowani. Cały nakład »Na nieludzkiej ziemi« Józefa Czapskiego został wykupiony przez Sowietów".

Tacy intelektualiści jak Jean-Paul Sartre czy Simone de Beauvoir, zafascynowani marksizmem, decydowali wówczas o tym, jakie poglądy są słuszne, a jakie naganne. Kiedy Albert Camus skrytykował Sartre'a, że nie wolno głośno mówić o GUŁagu, został natychmiast napiętnowany przez paryski salon. Sartre zwykł był mawiać, że „każdy antykomunista to pies". Niemal w całej Europie Zachodniej dominowali komunizujący intelektualiści, George Orwell, ale też polscy pisarze – Gustaw Herling-Grudziński,

eprasa.pl 9d46fba629

Józef Mackiewicz, Józef Czapski, musieli mieć w sobie dużo siły, by iść pod prąd.

W Wielkiej Brytanii po 1941 roku, po przystąpieniu Związku Sowieckiego do antyhitlerowskiej koalicji, jakakolwiek krytyka Józefa Stalina, jego polityki, Sowietów, była zabroniona. Na przykład wychodzący w Londynie tygodnik „Wiadomości", redagowany przez Mieczysława Grydzewskiego, wówczas jeszcze noszący tytuł „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie", nie otrzymał przydziału papieru i w lutym 1944 roku zniknął z rynku czytelniczego. Była to kara za krytykę układu Sikorski–Majski, ustępstw wobec Stalina etc. „Wiadomości" powróciły do życia pod zmienionym, skróconym tytułem, dwa lata później i ze zdwojoną siłą uderzyły w Sowietów, komunistów.

Teresa Jeleńska, zwana Reną, matka Konstantego Jeleńskiego, pod koniec 1939 roku wyemigrowała z Polski, a dwa lata później zamieszkała w Anglii w Londynie. Pracowała jako dziennikarka, m.in. „Dziennika Polskiego", i tłumaczka. W 1946 roku, jak wspominała w londyńskich „Wiadomościach" (nr 18 z 4 maja 1968 r.), po przeczytaniu recenzji w brytyjskim tygodniku „Observer", kupiła książkę George'a Orwella „Animal Farm". Książka zrobiła na niej, osobie, bądź co bądź oczytanej, świetnie znającej literaturę, wręcz piorunujące wrażenie, że niemal natychmiast wysłała list do jej autora z propozycją przetłumaczenia książki na język polski. Odpowiedź przyszła bardzo szybko. Orwellowi zależało na tym, aby książka dotarła do czytelnika za żelazną kurtyną, zaproponował spotkanie w małej knajpce w śródmieściu Londynu. Kiedy Rena Jeleńska przyszła, Orwell już siedział przy stoliku, wstał, by przywitać się. „Zastałam postać o frapującym wyglądzie – wspominała. Olbrzymi wzrost, kościsty, chudy, cera ziemista, rysy – niczym górale Skoczylasa – jak wystrugane kozikiem. Głębokie bruzdy policzków, moc siwych włosów w nieładzie. Miał wtedy 42 lata, wyglądał o wiele starzej".

Rena Jeleńska posiadała duże doświadczenie jako tłumaczka, a jednak, jak pisała: „Nigdy żaden z przekładanych przeze mnie pisarzy tak chętnie i skutecznie nie pomógł mi w mojej pracy, jak on, mimo że nie znał polskiego języka. Ciepły, życzliwy stosunek Orwella zawdzięczam zapewne w znacznej mierze jego wielkiej w owym czasie sympatii dla Polski [...]".

Pisarz i jego tłumaczka zaprzyjaźnili się. Orwell odwiedzał Renę Jeleńską w jej mieszkaniu na Kensingtonie, ona również bywała u niego, wielokrotnie była świadkiem, jak autor „Folwarku zwierzęcego" zajmował się adoptowanym chłopcem, Ryszardem, którego rodzice zginęli w czasie niemieckiego nalotu bombowego na Londyn. Własnych dzieci pisarz nie miał. Orwell opowiadał Renie Jeleńskiej o tym, jak trudną drogę życiową przeszedł, zanim został pisarzem – poróżnił się z rodziną, postanowił uniezależnić się i stanąć na własnych nogach, a nie było to łatwe. Długi czas żył wśród ludzi bezdomnych, nędzarzy, życiowych wykolejeńców. Ludzie ci darzyli go zaufaniem i życzliwością. Orwell, zdaniem tłumaczki, wysoko cenił sobie ludzką solidarność, brzydził się kłamstwem, pogardzał hipokrytami.

A propos hipokryzji. Stephen Spender, angielski poeta i prozaik, uważał, że jedynym autentycznym pisarzem lewicowym swego pokolenia był Orwell – „był naprawdę tym, czym setki innych udawały tylko że są".

Balonem do Polski

„Folwark zwierzęcy" w tłumaczeniu Teresy Jeleńskiej ukazał się w Londynie w Wydawnictwie Światowego Związku Polaków z Zagranicy „Światpol" w 1947 roku. Drugie polskie wydanie tej książki pochodzi z 1956 roku. Było to wydawnictwo specjalne Radia Wolna Europa za zgodą Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Książka została wydana w dwóch wersjach – z okładką czerwoną lub żółtą. Egzemplarze z czerwoną okładką posiadały dużo gorszą jakość papieru. Papier był cienki, prześwitujący. Pierwsze wydanie krajowe tego tłumaczenia ukazało się w 1985 roku w podziemnej Oficynie Literackiej, z ilustracjami Jana Lebensteina. Teresa Jeleńska przełożyła również kilka esejów Orwella drukowanych w „Kulturze" pod koniec lat 40.

Teksty Orwella tłumaczył też dla „Kultury" Juliusz Mieroszewski i to on był pierwszym, który przełożył na język polski „Rok 1984". Książka ukazała się w 1953 roku jako drugi tom Biblioteki „Kultury", po „Trans-Atlantyku" Witolda Gombrowicza. W tym samym roku „Rok 1984" trafił w sposób dość oryginalny do Polski. Jak wspomina Zofia Hertz: „W 1953 roku wysłaliśmy po raz pierwszy książki w fałszywych okładkach. Była tam książka Orwella »1984«, z której wysłaniem wiąże się zabawne wspomnienie. Sowieckie książki wychodziły wtedy z okładkami z ohydnego szarego papieru pakowego. Kupiliśmy taki sam papier, po czym wydrukowaliśmy okładkę pod tytułem »Za rodinu«. W tych to okładkach posyłaliśmy Orwella do Polski".

Podczas gdy w 1953 roku „Rok 1984" trafił za żelazną kurtynę w fałszywych okładkach, trzy lata później specjalne wydanie „Folwarku zwierzęcego" odbyło podróż balonami w ramach akcji Komitetu Wolnej Europy zwanej „wojną balonową". W latach 50. Amerykanie wysyłali w ramach tzw. wojny balonowej balony z ulotkami i broszurami propagandowymi nad Europę Wschodnią. Za pośrednictwem Radia Wolna Europa nad Polskę z wyspy Bornholm dotarło 800 tys. balonów, m.in. z broszurami „Za kulisami partii i bezpieki" autorstwa ubeka Józefa Światły, tajny referat Chrusz-

eprasa.pl 9d46fba629

czowa wygłoszony na XX zjeździe partii sowieckiej oraz „Folwark zwierzęcy" Orwella w tłumaczeniu Teresy Jeleńskiej.

Konstanty A. Jeleński, syn tłumaczki, w liście do Jarosława Iwaszkiewicza pisał po akcji balonowej: „(Mama) Jest bardzo niezadowolona, bo bez jej pozwolenia Free Europe pod jej nazwiskiem wydało tłumaczenie »Animal Farm« Orwella na zrzuty do Polski. Tłumaczenie, które zrobiła w r. 1945 w Londynie i wydała w Światpolu. Ja też jestem wściekły. Co to za sens teraz zrzucać Orwella do Polski? A przytem Mama chciała może na przyszłą wiosnę pojechać z wizytą do Polski, i zaprosiła właśnie do Rzymu ciocię Magdzię Skarżyńską. Dowiaduję się w dodatku, że radio Kraj mówiło o tym i to w związku ze mną – że nie wiedzą czy to matka, czy ciotka p. Jeleńskiego, niezależnego pisarza z »Kultury« za ciężkie dolary tłumaczy Orwella dla Free Europe na zrzuty. Biedna Mama... widziała z tego 30 funtów dwanaście lat temu...".

Wracając do pierwszego polskiego wydania „Folwarku zwierzęcego", należy odnotować recenzję tej książki, która ukazała się w londyńskich „Wiadomościach" w numerze 2 (41) z 1947 roku autorstwa Wiktora Weintrauba pt. „Świnie w polityce". Zdaniem recenzenta „Folwark zwierzęcy" zrodził się z reakcji Orwella na dramatyczne przeżycia w Hiszpanii w czasie wojny domowej, gdzie przeżył na własnej skórze „moralność polityczną komunistów, ich okrucieństwo i cynizm". Przed niechybną śmiercią z rąk Sowietów uratował go jedynie paszport brytyjski. Weintraub zauważa w swojej recenzji, że Orwell pisał swoją książkę od listopada 1943 do lutego 1944 roku, czyli w okresie największego idealizowania Rosji. Autor recenzji dostrzega też powinowactwo formy „Folwarku zwierzęcego" do apologu zwierzęcego, popularnej formy w literaturze wieku XVIII.

▶ Odwaga nawet w rozpaczy

Kiedy piszę o Orwellu, to nieodzownie przychodzi mi na myśl Gustaw Herling-Grudziński, który cenił jego poglądy i twórczość. W 1967 roku pisał o Orwellu: „Był socjalistą z instynktu. Należał do gatunku wymierającego lub obrastającego w tłuszcz na Zachodzie, a tępionego bezlitośnie na Wschodzie. Zasługuje w pełni na hołd". Wiele interesujących uwag, refleksji na temat twórczości Orwella można znaleźć w „Dzienniku pisanym nocą". Pisarz wspomina na przykład wizytę u Bertranda Russella w 1951 roku. Brytyjski filozof, autor przedmowy do „Innego świata", zakochany w naszym Józefie Korzeniowskim, miał wówczas powiedzieć o Orwellu: „Zarzuca mu się przesadę, mówi się szeptem o majaczeniach człowieka śmiertelnie chorego, miał również szlachetną duszę, wcześniej i lepiej od innych zobaczył grozę naszego soulles world. [...] Conrad, Orwell, to odwaga, przede wszystkim odwaga, nawet w rozpaczy".

W „Dzienniku pisanym nocą" z 1974 roku Herling-Grudziński przypomniał słowa Orwella ze wstępu do wydania ukraińskiego „Folwarku zwierzęcego" z 1947 roku: „[...] było dla mnie rzeczą niezmiernie ważną, by ludzie w Zachodniej Europie widzieli reżym sowiecki w jego prawdziwej postaci".

Zachodnie elity od 300 lat mają słabość do Rosji, są nią zafascynowane i nie widzą jej w „prawdziwej postaci". Janusz Szpotański pisał w „Carycy i zwierciadle" o wielkiej umiejętności duraczenia przez rosyjską carycę zachodnioeuropejskich tytanów intelektu: „Ach, jak te twarde lizał stopy/ kwiat oświeconej Europy,/ jak na wyścigi cała zgraja/ Wolterów, Russów, Diderotów,/ z poważną miną, bez wymiotów,/ na cześć jej układała ody –/ patronki nauk i swobody,/ gdy ta dusiła twardą ręką/ każdą myśl wolną, a narody/ za kark chwytała tak kak koszkę/ i przenosiła na wschód troszkę".

Sztukę duraczenia zachodnich elit, kupowania ich – i to dosłownie – opanował do perfekcji oficer KGB Putin. Dziesiątki „mężów stanu", polityków, jadło mu z ręki, zabiegało o jego względy, zaś Polacy, którzy na wschodniego sąsiada patrzą trzeźwo, przez pryzmat własnych doświadczeń historycznych, uważani są za rusofobów, przeszkadzających w przyjacielskich stosunkach Berlina czy Paryża z Moskwą. Rosyjscy komuniści w sposób pogardliwy odnosili się do swoich zachodnich miłośników. Ongiś Lenin nazwał zachodnie elity służące bolszewikom „pożytecznymi idiotami". Wiktor Suworow, pisarz, w młodości oficer sowieckiego wywiadu wojskowego GRU, twierdzi że w KGB i GRU mówiono o nich „gównozjady".

Gdyby elity Zachodu „widziały reżym sowiecki w jego prawdziwej postaci", jak pisał Orwell, nie doszłoby do fraternizowania się z Putinem, ale też nie doszłoby do napaści Rosji na Ukrainę. Elity Zachodu, zapatrzone w Sowietów, sprowadziły Unię Europejską do Związku Socjalistycznych Republik Europejskich.

Mieszkańcy zachodniej Europy, tzw. wolnego świata, bez potrzeby budowania łagrów oddali swoją wolność w zamian za iluzoryczne bezpieczeństwo, pozwolili narzucić sobie niedookreślone, formułowane w zależności od sytuacji „europejskie wartości", a w istocie – antywartości. Dali sobie odebrać religię chrześcijańską, kulturę, tradycję, zamienili język na nowomowę, zniszczyli rodzinę. Wolność przestała być wartością, a przecież być człowiekiem znaczy tyle, co być wolnym. Wierzę, że Polacy nie dadzą sobie odebrać wolności. Pamiętajmy o słowach świętego Jana Pawła II. Pamiętajmy o Orwellu. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Agnieszka Kowalczyk

PRZEPOWIEDNIE WERNYHORY O POLSCE, UKRAINIE I ROSJI

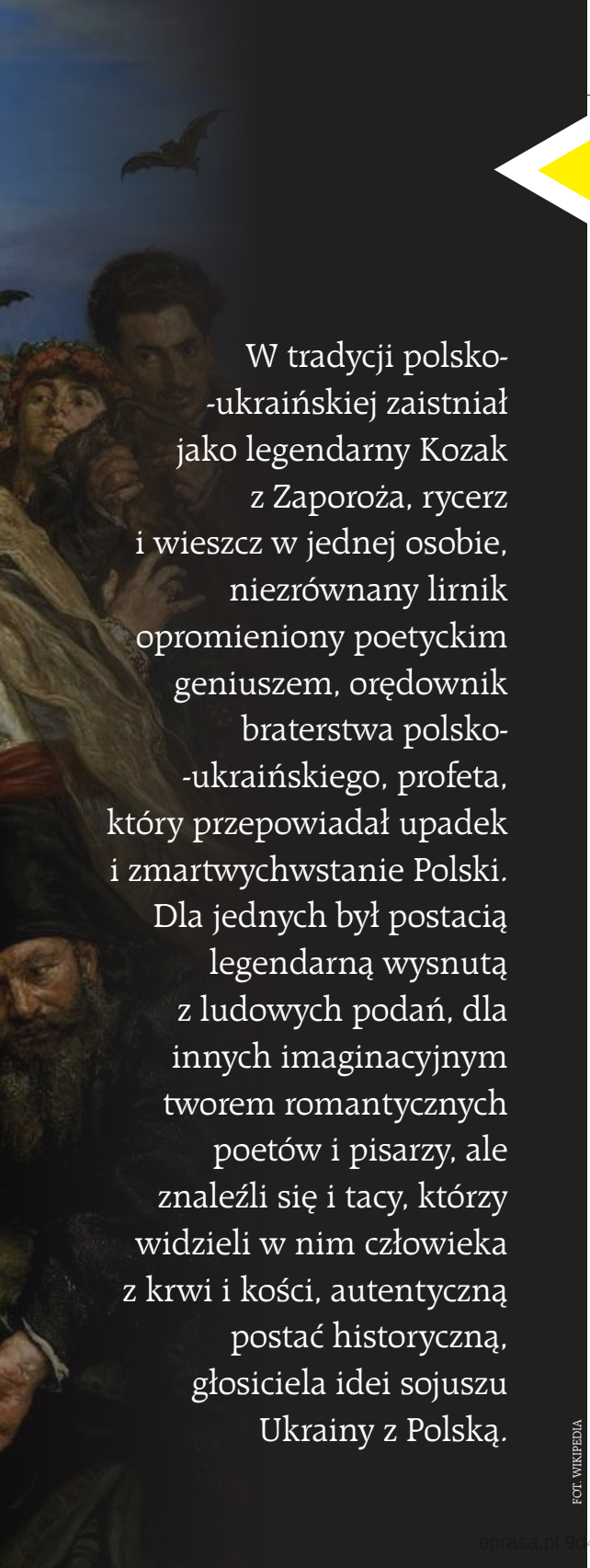

W tradycji polsko-ukraińskiej zaistniał jako legendarny Kozak z Zaporoża, rycerz i wieszcz w jednej osobie, niezrównany lirnik opromieniony poetyckim geniuszem, orędownik braterstwa polsko-ukraińskiego, profeta, który przepowiadał upadek i zmartwychwstanie Polski. Dla jednych był postacią legendarną wysnutą z ludowych podań, dla innych imaginacyjnym tworem romantycznych poetów i pisarzy, ale znaleźli się i tacy, którzy widzieli w nim człowieka z krwi i kości, autentyczną postać historyczną, głosiciela idei sojuszu Ukrainy z Polską.

FOT. WIKIPEDIA

Według najstarszego ukraińskiego przekazu ludowego Wernyhora to wielki bohater zdolny pokonać siły natury i mitycznych olbrzymów, to mocarz odpowiadający polskiemu Waligórze.

Baśniowy mocarz czy hetman-emisariusz?

Był ponoć najmłodszym synem pewnego osiadłego na Ukrainie bogacza, który polecił swym trzem potomkom, by gdy umrze, każdy z nich kolejno czuwał nocą przy jego grobie. Kiedy więc skonał, dwaj starsi bracia uprosili młodszego Wernyhorę, by wypełnił za nich to zadanie. I tak przychodzący do niego duch ojca w podzięce za synowską wierność ofiarowywał mu co noc inny dar – najpierw miecz, który czynił jego właściciela niezwyciężonym, potem pierścień, dzięki któremu był w stanie posiąść wiedzę o świecie i znajomość przyszłości, wreszcie uzdę, dzięki której mógł przywoływać do siebie trzy wspaniałe rumaki z bogatymi rzędami i zbroją. W ten sposób Wernyhora stał się kimś niepokonanym, wszystkowiedzącym mędrcem i jeźdźcem, mogącym stawać w zapasy ze stepowym wichrem. Puścił się więc w świat, „gdzie pokonawszy wszystko, co mu tylko stało na zawadzie, nabył wielkiej sławy, tak że już nie słyszał prawie o bohaterze, który mógłby się z nim mierzyć". Takim to nimbem tryumfatora otoczyły Wernyhorę najstarsze legendy ukraińskiego ludu. Mówiły również o tym, że gdy ostatnie lata swego życia pędził w jakimś leśnym przysiółku, pewnego dnia o zachodzie słońca ujrzał jaśniejącą postać białego konia, którego dogonił i zniknął na nim w głębi boru.

Zapuszczając się w 1818 roku w korsuńskie ostępy i błądząc wśród odludnych wysepek oblanych wodami Rosi, poeta i konspirator Seweryn Goszczyński mógł usłyszeć ciągle żywe w całej Ukrainie opowieści o Kozaku Wernyhorze, który posiadł dar wieszczenia przyszłości. Mówiono, że był przeciwny hajdamackim knowaniom, które doprowadziły do wybuchu koliszczyzny (1768), znaczonej pogromami polskiej szlachty, duchowieństwa i Żydów przez walczących o swoje prawa Kozaków i chłopów. Sam Wernyhora przestrzegał lud przed udziałem w buncie i rzezi, a kiedy doszły one do skutku, uciekł z rodzinnej wsi Dmytrykówki na polską stronę Dniepru, szukając schronienia przed hajdamakami. Ukrywał się najpierw we wsi Makiedony, a potem w Korsuniu, na jednej z wysepek między skałami i zaroślami, gdzie mógł liczyć na pomoc okolicznych mieszkańców. Przez ten czas, jak dowiadujemy się z relacji Aleksandra Malczewskiego, przestrzegał ludzi, by nie łączyli się z hajdamakami, gdyż skończy się to dla nich tragicznie. Ponadto „zaufańszych sobie [...] zachęcał do dobrych postępków i odwodził od złych, kłótnie godził i różne robił [...] przepowiednie". Ostatecznie

eprasa.pl 9646fba629

znalazł przytułek w zamku korsuńskim, u starosty Nikodema Suchodolskiego, któremu to dyktował swoje głośne w całej Polsce i Ukrainie proroctwa.

Z przekazów zebranych przez XIX-wiecznego etnografa Erazma Izopolskiego wynika, że żyjący w czasach Kozaczyzny Wernyhora, będący prawdopodobnie atamanem, zapisał się w pamięci Ukraińców jako okryty sławą zwycięzca wszystkich swoich wrogów, wojak przewyższający innych męstwem i siłą, „śpiewak nad śpiewaki", któremu Bóg dał widzieć przyszłe losy Ukrainy, Polski i całego świata. W jednym z podań, jakie usłyszał Izopolski od wiekowego pasiecznika Demyda spod Kaniowa, mowa była o starym Bondarze, nazywanym Wernyhorą, który wraz z piękną wnuczką Priśką mieszkał w chutorze przy kopaczewskim trakcie. Grał na lirze, bandurce i kobzie, a jego pieśni chłonęli zwłaszcza młodzi. Uczyli się ich na pamięć, by potem wyruszając w świat – za Dniepr, do Polski, za Wołoszczyznę – śpiewać o Mazepie i podburzać naród przeciwko Moskalom. Ukraiński historyk Wołodymyr Antonowycz pisze nawet, że w Makiedonach istniała stworzona przez Wernyhorę szkoła bandurzystów, w której rozbrzmiewały pieśni o Kozaczyźnie.

W swej książce o Wernyhorze Stanisław Makowski wskazuje, że ukraińskie przekazy ludowe o tym Kozaku-jasnowidzu powstawały w atmosferze politycznej działalności spadkobierców idei hetmana Iwana Mazepy, dążącego na przełomie XVII i XVIII wieku do oderwania Ukrainy od Rosji. Takie samo dążenie do zrzucenia „władztwa Rosji nad ukraińskim Kozactwem" patronowało też kontynuatorom jego polityki – hetmanowi-emigrantowi Pyłypowi Orłykowi oraz atamanowi Orłyczence. W związku z tym „Wernyhora miał reprezentować czy nawet uosabiać kozackich hetmanów-emigrantów, którzy po bitwie połtawskiej (1709) gdzieś się ukrywają, a w odpowiednim czasie powrócą na Ukrainę". Stąd już jeden krok do wysunięcia wniosku, że ów słynny Kozak nie był jakimś zwykłym zbiegiem z Zaporoża, tułaczem-pokutnikiem, ale świadomym swych politycznych celów emisariuszem działającym na Zadnieprzu, w Makiedonach i Korsuniu pod pseudonimem Mojsieja Wernyhory, zaś jego pieśni i proroctwa rozbudzały antyrosyjskie nastroje wśród ludu.

Przepowiednie Wernyhory

Sława kozackiego widuna opromienić musiała Wernyhorę już za życia, a siła pieśni gminnej nadała jego postaci legendowy wymiar, eksponując nadprzyrodzony dar wieszczy. Początkowo proroctwa Wernyhory wiązano przede wszystkim z losem Ukrainy i jej mieszkańców, na co wskazuje m.in. przypisywana mu proroczа dumka, której XVIII-wieczny odpis odkrył Erazm Izopolski:

[...] *Co bywało, wiedzą ludzie,*
Lecz co będzie, nie wyśledzą,
Aby wiedzieć, trza na świecie
Orłem myśli w Niebo wzlecieć.

Ponad ługiem wrona kracze
I rży konik w czystym polu,
Ukraina cała płacze
Nad nieszczęsną swoją dolą. [...]

Czekaj, czekaj, Ukraino,
Niech się śmieją wrogi z nas,
Wybije też im godzina,
I nasz kiedyś przyjdzie czas.

W dumce tej natchniony lirnik zagłębia się w boski porządek świata, sięga swą orlą myślą ku wyżynom poznania, ku boskim wyroczniom nieba, przepowiadając Ukrainie wyzwolenie się od działania wrogich sił i doczekanie szczęśliwej przyszłości. Przepowiednie Wernyhory mówiły o tym, że „Pan Bóg ma w szczególnej swojej opiece Ukrainę, chociaż za niedochowanie przykazań jego lud dotknięty został niewolą panów, głodem, morem i wojną", lecz co złe wkrótce przeminie i dla Ukrainy nastanie nowa epoka, którą poprzedzi krwawa bitwa stoczona między obrońcami a nieprzyjaciółmi na polach w pobliżu mogiły Soroki między Ilińcami a Kalnikiem.

Przepowiednia Wernyhory miała zostać poprzedzona jego śmiercią i cudownym przywróceniem do życia, o czym czytamy w „Podaniach i legendach" zebranych przez miłośnika folkloru ukraińskiego i romantycznego poetę Lucjana Siemieńskiego: „Wernyhor był zamarł, a ubiegła z ciała jego dusza trzy dni błądziła w krainach wieczności, gdzie miała widzieć całą przyszłość świata, a w końcu trzeciego dnia miał przybyć do niej anioł i [...] przyprowadził ją nad okropną przepaść, z której wychodził nieznośny smród trupa; anioł pokazawszy jej, iż to jest jej doczesna cząstka, to jest: ciało, potrącił ją w tęż przepaść i wtem Wernyhor odzyskał życie". Miał on później opowiedzieć o swym zmartwychwstaniu i „pocieszyć lud przytoczoną wyżej wróżbą".

Cztery rękopiśmienne odpisy przepowiedni

Najstarsza znana dziś polska wersja przepowiedni Wernyhory, czerpiąca z ukraińskich podań i prognostyk, kształtowała się w drugiej połowie XVIII wieku, a ostatecznie zredagowana została na początku XIX. Miała wielu autorów, ulegała ciągłym modyfikacjom

eprasa.pl 9d46fba629

w zależności od chwili dziejowej, w jakiej odżywała, zyskując aktualność w obliczu wydarzeń historycznych, które wśród narodów polskiego i ukraińskiego rodziły nadzieję na daleko idące zmiany polityczne. Do współczesnych czasów zachowały się cztery rękopiśmienne odpisy przepowiedni – młynowski, krakowski, raperswilski i kijowski oraz jej tekst opublikowany w piśmie „Patriota" z czasów powstania listopadowego. Zapoznając się z brzmieniem najstarszej z nich, przechowywanej w archiwum Aleksandra Chodkiewicza w Młynowie, a potem w Muzeum Czapskich w Krakowie, czytamy o przyszłych wypadkach, które powiązać można z autentycznymi wydarzeniami historycznymi:

„1. Miejsce to, na tej wyspie zamieszkiwane przez młynarzów, będzie ozdobione kosztownymi murami i wspaniałym pałacem murowanym" (w miejscu, w którym ukrywał się Wernyhora, stanął pałac podskarbiego litewskiego Stanisława Poniatowskiego).

„2. W kraju polskim niebawem zrobi się wielka wrzawa, a brat we krwi brata ręce swoje zmaże; będą rabunki, obcy żołnierze wiele złego ziszczą i turmy napełnią się niewolnikami, potem wielka część kraju polskiego ze trzech stron oderwaną będzie, czego niedługo czekać" (konfederacja barska 1768–1772 i pierwszy rozbiór polski w 1772 roku).

„3. Polacy w nienawiści ku swemu królowi będą, a brat brata sprzedawać będzie; na koniec zagorzeje się pożar wojny i wielka część polskiej ziemi na trzy części rozerwaną będzie" (konfederacja targowicka 1792 roku, wojna z Rosją i drugi rozbiór Polski w 1793 roku).

„4. Powstanie w kraju mały człowiek, ale nie takiej siły, aby zwyciężył nieprzyjaciół; ten pojmany będzie, a kraju polskiego reszta rozerwana będzie. Wisła rzeka pod stolicą krwią Polaków zafarbuje się, a król ich nie umrze w swojej stolicy" (powstanie kościuszkowskie w 1794 roku, trzeci rozbiór Polski w 1795 roku, rzeź Pragi dokonana przez wojska rosyjskie dowodzone przez Suworowa w 1794 roku, śmierć ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego w Petersburgu w 1798 roku).

„5. Naród jeden daleki, zamordowawszy swego króla, powstanie tak, iż wielu królom i książętom straszny będzie; zgnębi jedno królestwo, a na odebranym od niego małym kraju powstanie część Polaków i rząd nowy" (rewolucja francuska 1789 roku, zwycięstwo Napoleona nad Prusami w 1806 roku, utworzenie Księstwa Warszawskiego w 1807 roku).

„6. W roku trzecim powstania tych Polaków w wielkiej części świata straszna będzie wojna" (wojna Austrii z Francją i Księstwem Warszawskim w 1809 roku).

„7. [...] Monarcha jeden wielki z bitnym narodem powstanie i zwycięży Niemców, i wtenczas naród Polski powstawać zacznie, i wpadnie potem na obóz moskiewski pod Konstantynowem w jarze Hanczarycha zwanym, Moskali zbije i bić będzie aż do mogiły Perepiata i Perepiatychy zwanej, gdzie drugi obóz stanie, wszędzie ścieląc trupami moskiewskimi wszystkie miejsca" (wojna austriacko-francuska 1809 roku).

„8. Przyłączy się do Polski Turczyn i Anglik, pójdą przez Kijów, zawalając Dniepr trupami moskiewskimi, i zajdą w daleki kraj moskiewski".

„9. Polski kraj zostanie w dawnych granicach za pomocą Turków i króla angielskiego" (mowa o sojuszu angielsko-prusko-tureckim skierowanym przeciwko Rosji, a krystalizującym się już na przełomie lat 1790–1791).

▶ „Wtenczas użyjemy broni tego proroctwa"

Przytoczone z odpisu młynowskiego przepowiednie Wernyhory, jak dowodził już Stanisław Pigoń, spisane zostały najprawdopodobniej w maju 1809 roku na fali pierwszych zwycięstw Napoleona nad Austrią, w momencie gdy i Polacy pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego sposobili się do zbrojnej wyprawy przeciwko austriackiemu zaborcy. W tym też czasie polscy ziemianie na Ukrainie coraz silniej wierzyli, że po pokonaniu Austrii cesarz Francuzów ruszy przeciwko carskiej Rosji, przynosząc na ostrzach bagnetów wolność uciemiężonym w zaborze rosyjskim. Przepowiednie Wernyhory odżyły więc ze zdwojoną siłą w 1812 roku, gdy wyprawa Napoleona na Moskwę stała się faktem, i wykorzystane zostały do rozbudzania bojowego ducha wśród narodów walczących o odrodzenie dawnej Rzeczypospolitej. Wybuch wojny rosyjsko-tureckiej w 1828 roku sprawił natomiast, że nadzieje na pokonanie carskiego imperatora znów odżyły, w związku z czym powstał nowy, rozszerzony odpis proroctwa zwany kijowskim. Ważnym momentem w życiu Polaków był też rok 1830, gdy po raz kolejny chwycili za broń, by wybić się na niepodległość. Wraz z wybuchem powstania listopadowego reaktywowana została w zmodyfikowanej wersji przepowiednia Wernyhory, poprzedzona preambułą autorstwa Joachima Lelewela, wybitnego polskiego historyka, oraz Waleriana Krasińskiego, inicjatora publikacji tekstu proroctwa w piśmie „Patriota" (grudzień 1830 roku). Wyłania się z niego postać ukraińskiego wieszcza jako świątobliwego Kozaka, który zapada w sen magnetyczny, a jego grób staje się miejscem pielgrzymek nabożnego ludu, co budzi ostry sprzeciw władz carskich. Ostatecznie mogiłę ludowego proroka pochłania powódź, porywając jego prochy i rozpraszając je po świecie. Ta powstańcza złota legenda kozackiego lirnika, jak sugeruje Stanisław Makowski, miała szerzyć antycarski bunt wśród ukraińskiego ludu i swą siłą ideową podrywać mieszkańców Ukrainy do walki w powstaniu listopadowym, które, jak wierzono, miało przynieść odrodzenie Polski w jej

eprasa.pl 9d46fba629

przedrozbiorowych granicach. „Może w sprawie ojczyzny i wolności będziemy mieli szczęście walczyć i umierać na polach naddnieprskich, może siły naszego oręża będą za słabe, wtenczas użyjemy broni tego proroctwa" – czytano w preambule Lelewela do przepowiedni, zyskującej ogromny rozgłos na ziemiach polskich i poza ich granicami.

Takie prognostyki polityczne przypisywane Wernyhorze niejednokrotnie miały pojawiać się jeszcze w naszej historii. Jednym z ważniejszych wydaje się tzw. „Przepowiednia tęgoborska", która zrodziła się podczas II wojny światowej poza granicami Polski i opublikowana została 12 marca 1943 roku w „Dzienniku Żołnierza" ukazującym się w Glasgow. Mówiła ona o upadku Polski w wieku XVIII, o klęskach narodu polskiego ponoszonych w XIX stuleciu, o konfliktach między Polakami, Litwinami i Ukraińcami w okresie międzywojnia, o upadku II Rzeczypospolitej w 1939 roku, o martyrologii Polaków, Żydów i Litwinów w czasie okupacji, wreszcie zapowiadała ostateczne starcie hitlerowskich Niemiec ze stalinowską Rosją i odrodzenie Polski.

Wernyhora odkryciem polskiego romantyzmu

W polskiej świadomości narodowej postać ukraińskiego wieszcza Wernyhory zapisała się trwale przede wszystkim dzięki literackim kreacjom twórców epoki romantyzmu. Pierwszym, który w sposób oryginalny zamierzał wyzyskać legendę kozackiego jasnowidza i wprowadzić ją do ojczystej literatury, był wspomniany już Seweryn Goszczyński, autor „Zamku kaniowskiego" i twórca zaginionego poematu „Dąbrowy śmilańskie" (1820), w którym znalazły się fragmenty o Wernyhorze, Żmijowym wale, demonicznych rusałkach i napadach ord tatarskich na Ukrainę. Słynnego barda uczynił on też tytułowym bohaterem innej swojej powieści poetyckiej pt. „Wernyhora" (1829), której jedyny rękopis, powierzony przyjacielowi poety Stanisławowi Bogusławskiemu, został spalony po klęsce powstania listopadowego w obawie przed rewizją. Goszczyński nie rezygnował jednak ze stworzenia dzieła poświęconego ukraińskiemu lirnikowi, który umiłował Polskę i Polaków. Tematem tym żył przez lata. Zachowane notatki i szkice mówią wiele o jego literackich pomysłach. Wernyhora Goszczyńskiego miał być „człowiekiem nieśmiertelnym", wyrastającym z ludowej legendy, który w czas poprzedzający wybuch koliszczyzny (1768) występował przeciwko buntowniczym zamiarom hajdamaków. W wizji Goszczyńskiego ujawniają się moskiewskie knowania i intrygi przeciwko Polsce, których celem jest wzniecenie bratobójczej walki między Polakami a Ukraińcami. Wernyhora, nie chcąc dopuścić do przelewu bratniej krwi, nakłania obie strony do zgody. W ten sposób, jak zauważa badacz literackiej legendy Władysław Stabryła, poeta „wyraził własne pragnienie pojednania Polski z Ukrainą, która mu była obok Polski drugą ojczyzną".

Jako jeden z pierwszych do polskiej literatury wprowadził postać ukraińskiego pieśniarza Michał Czajkowski, ceniony pisarz doby romantyzmu, autor „Powieści kozackich", działacz niepodległościowy, znany też jako Sadyk Pasza, walczący przeciwko Rosji w wojnie krymskiej (1853–1856). Spod jego pióra wyszła dwutomowa powieść historyczna pt. „Wernyhora. Wieszcz ukraiński" (1838). Czerpiąca z bogatych materiałów pamiętnikarskich i przesycona gruntowną wiedzą z zakresu historii i geografii Ukrainy, cieszyła się przez cały wiek XIX niesłabnącą popularnością wśród czytelników. W przypisach do swego dzieła autor zdradzał, że ów sławny w całej Ukrainie starzec, wywodzący się ze wsi Makiedony, w latach młodzieńczych udał się na Zaporoże, by tam podburzać chłopów przeciwko panom, ale jak tylko przybył na Ukrainę, „tak pokochał szlachtę, że do niej przylgnął ciałem i duszą". Zamieszkawszy w chutorze w pobliżu korsuńskich młynów, odwiedzał wszystkich okolicznych ziemian, a szczególną przyjaźnią związał się z wojskim owruckim Michałem Głębockim. Jeździł też na Zaporoże, by pozyskiwać nowe szable dla konfederacji barskiej, a w czasie rzezi humańskiej wzywał chłopstwo do opamiętania. Moskale za wszelką cenę chcieli złapać Wernyhorę, obiecując nawet nagrodę za jego głowę. Na nic się to jednak zdało, bo był dla nich nieuchwytny. Swego żywota dokonał, jak pisze Czajkowski, w roku 1769 lub następnym w ukraińskiej wsi Parchomówka.

Wernyhora z powieści Czajkowskiego to postać otoczona nimbem tajemniczości, „ni to Kozak, ni to Lach", przybysz, który osiadł na jednej z wysp nieopodal Korsunia. Choć podawał się za prostego chłopa, władał obcymi językami, znał doskonale arkana polityki i dyplomacji, zapuszczał się do Carogrodu, na Krym, do Petersburga i Wiednia. Brał udział w konfederacji barskiej i występował przeciwko intrygom carycy Katarzyny II, która z pomocą prawosławnych popów podburzała Kozaków i ukraiński lud przeciwko Polakom. „Walka o niepodległość Polski wielkiej (tj. przedrozbiorowej), wspólnej ojczyzny szlachty i Kozaków, jest dla Wernyhory sprawą najważniejszą" – zauważa Stanisław Makowski, dodając, że „sprawie tej poświęca też całe swoje życie, pełniąc wobec szlachty role politycznego doradcy, a wobec zbuntowanego ludu rolę budzącego lęk i szacunek moderatora".

Przepowiednie Wernyhory wzbogacone zostały przez Czajkowskiego o nowe wątki związane z zesłańczym losem Polaków, sytuacją zniewolonych w Królestwie Polskim, klęską zrywu listopadowego, zapowiedzią czterech zwycięskich dla Polaków bitew na Ukrainie oraz wyparcia z polskiej ziemi Niemców i Rosjan.

eprasa.pl 9d46fba629

W ich świetle niepodległość Polski nadejść miała w momencie, gdy „Anglik sypnie złotem, Francuz wesprze, muzułmanin konie napoi w Horyniu". Te pośmiertne proroctwa Wernyhory zyskały dla kolejnych spadkobierców tematu ukraińskiego wieszcza wymiar autentyku historycznego, czyli jak nazwał to uczenie Makowski – apokryfu drugiego stopnia. Sam zaś Czajkowski odegrał nieocenioną rolę w dziele kształtowania i popularyzowania literackiej legendy Wernyhory jako tego, który przepowiedział odrodzenie Polski w jej historycznych granicach sprzed roku 1772.

„Był jeszcze zwan słowikiem siczowym"

Wielu jeszcze twórców wyrosłych z ducha romantyzmu ujawniło swą fascynację legendą ludowego profety z ziemi stepów i kurhanów. Był wśród nich Lucjan Siemieński – twórca „Dumki Ukraińca" (ostatniej części poetyckiego tryptyku „Trzy wieszczby", 1841), przynoszącej wizję Wernyhory jako stuletniego starca-rycerza, co na łożu śmierci zmienił się w proroka wieszczącego antymoskiewskie powstanie ludu i nadejście „wieku nowego braterstwa narodów". Michał Budziński natomiast, w swoim poemacie „Wacław Rzewuski", powołał do istnienia Wernyhorę-upiora, który powraca zza światów w czas listopadowego zrywu, by objawić swą przepowiednię o zmartwychwstaniu Polski – „matki kozackiej swobody". O Wernyhorze jako samorodnym poecie z ludu mówił też Adam Mickiewicz podczas swego wykładu w Collège de France (1842), a Teofil Lenartowicz poświęcił mu poemat „O Wernyhorze pogawędka ze starym Kozakiem" (1841), w którym zawarł przepowiednię o „Polsce powstającej" oraz poetycki obraz wspólnej modlitwy o „swobodę" skierowanej do Matki Boskiej Poczajowskiej w imieniu całej Polski i Ukrainy. Z kolei XIX-wieczny zbieracz przekazów folklorystycznych Erazm Izopolski – „sercem i duszą Kozak" – zdobył się na stworzenie „Dumy z dum ukraińskich" (1856), w której na tle dawnego życia Kozaczyzny usytuował najsłynniejszego jasnowidza i dumkarza, kreując go na „typowego kozackiego zucha i dowódcę zdolnego walić góry, na samorodnego lirnika i znachora, umiejącego rozprawić się choćby z piekłem: »Wiecznie był wesół, śmiał się, hulał, tańczył, śpiewał; [...] / Był jeszcze zwan słowikiem siczowym, znachorem, / Wróżbitą, czarownikiem, lirnikiem«". Postać „ukraińskiego proroka" odżywa ponadto w szkicach z wędrówek po Ukrainie Tadeusza Padalicy (1856) oraz w etnograficznym zbiorze „Lud Ukrainy" Antoniego Nowosielskiego (1857), który jest również autorem powieści o „ludowym królu moralizatorze", odwodzącym lud od udziału w hajdamackiej rzezi.

W największym stopniu jednak przekazy o Wernyhorze zapładniały wyobraźnię Juliusza Słowackiego, który stworzył niejedną oryginalną kreację literacką ukraińskiego barda. W jego twórczości postać Wernyhory ulega nieustannym ewolucjom, ujawniając za każdym razem inne oblicze. W „Wacławie" jest to wysnuty z ducha ukraińskich podań ludowych wróż-czarownik – „strażnik zamkniętej w mogiłach polskiej przeszłości narodowej i polskiej racji stanu". W „Beniowskim" jego osoba skrzy się od znaczeń – raz jawi się jako doradca regimentarza Potockiego w obozie konfederatów barskich, to znów jest „spadkobiercą cudownej liry, wyrażającej hetmańskiego ducha »starej matki Ukrainy«", innym znów razem jest kozackim widunem wróżącym Beniowskiemu przyszłość, „potężnym władcą dusz" ingerującym w zjawiska świata ludzkiego i przyrodniczego, sprzymierzeńcem polskiej szlachty, „spadkobiercą historycznej liry Bojana i Zaboja", który odczuwa tragiczne rozdarcie między ideą służby Polsce a dążeniami własnego ludu. W „Śnie srebrnym Salomei" stał się natomiast „ideowym spadkobiercą hetmańskiej Ukrainy i reprezentantem społeczno-politycznych ideałów i aspiracji ukraińskiego ludu".

Polityczna i literacka legenda Wernyhory wciąż trwa w pokładach kultury i tradycji, by w stosownym momencie historycznym doczekać się swojej reaktywacji, tak jak działo się to w epoce napoleońskiej, w czasie powstania listopadowego czy po wybuchu II wojny światowej. I dziś, w XXI wieku, w obliczu agresji Rosji na Ukrainę, Wernyhora staje przed nami jako żywy orędownik idei solidaryzmu polsko-ukraińskiego. W obecnej chwili dziejowej jego idea urzeczywistnia się na naszych oczach dzięki budowaniu wspólnej braterskiej więzi w sytuacji dla Ukrainy dramatycznej, ale nie beznadziejnej... Zwycięstwo leży we wzajemnym współdziałaniu, solidarności i chęci tworzenia wspólnej przyszłości za zasadach suwerenności i wzajemnego poszanowania, tak jak chciałby tego ukraiński prorok.

I nie wiesz, czy to z nowej, czy z dawnej ruiny
Głos się wznosi, co woła: „nie masz Ukrainy!"
I czy to gruz Warszawy, czy tamte chutory,
Lecz kiedy wszystko wkoło powleka się w kiry
Nagle słyszysz z daleka granie wiejskiej liry
I widzisz podniesioną rękę Wernyhory.

(Jan Lechoń, „Sen srebrny Salomei") ■

_____

Źródła: Stanisław Makowski „Wernyhora. Przepowiednie i legenda", Warszawa 1995; Władysław Stabryła „Wernyhora w literaturze polskiej", Kraków 1996.

eprasa.pl 9d46fba629

Tomasz Łysiak

KREW NA BIAŁYM PŁASZCZU

Siedemset dziesięć lat temu, wiosną 1312 roku, doszło do kasacji Zakonu Templariuszy. Do dzisiaj na jego temat napisano tysiące książek, wyprodukowano wiele filmów, a mit słynnych Ubogich Rycerzy Świątyni nadal jest podsycany legendami i niezwykłymi opowieściami. Jak naprawdę wyglądał proces przeciwko templariuszom i co stanowiło podstawę zarzutów?

eprasa.pl 9d46fba629

Umberto Eco w swoim „Wahadle Foucaulta" napisał o nich: „I templari c'entrano sempre" – „Templariusze mieszają się do wszystkiego". Pytanie, czy tak było w istocie, czy też chodzi o wyobrażenie o ich działalności, jakie mieli ludzie im współcześni i jakie dotrwało aż do dzisiaj? Zakon bowiem otaczała aura tajemniczości, wyjątkowości, zupełnego zamknięcia na świat zewnętrzny w wielu kwestiach, przy jednoczesnym utrzymywaniu licznych kontaktów zewnętrznych, w tym politycznych, militarnych i handlowych. Ten swoisty miks składający się na specyfikę templariuszy okazał się dla nich zgubny. Tragiczny finał dla rycerzy w habitach miał swój początek 13 października 1307 roku, gdy o tej samej godzinie, do bram ich siedzib w całej Francji, załomotały pięści wysłanników króla Filipa IV Pięknego. Templariuszom nie dano czasu na reakcję. Aresztowania były idealnie zsynchronizowane, a ponieważ reguła zakonu uniemożliwiała walkę zbrojną przeciwko chrześcijanom, wszystko poszło sprawnie i właściwie bez oporu. Co więcej, wielu braci sądziło zapewne, że nic złego stać im się nie może: w końcu byli prawdziwymi Sługami Chrystusa. Miało się jednak okazać inaczej – przed nimi był czas długiego więzienia, tortur, męczarni, wymuszania zeznań, procesu, a w końcu – stosów.

Dziewięciu rycerzy

Zanim jednak do tego dojdziemy, poświęcić trzeba chwilę samemu zakonowi. Jak powstał i na jakich zasadach funkcjonował? Tu trzeba cofnąć się do czasów pierwszej wyprawy krzyżowej. Kilkanaście lat po zdobyciu Ziemi Świętej przez krzyżowców, najprawdopodobniej w roku 1118 lub 1119, kilku rycerzy ze szlacheckich rodów francuskich złożyło w Jerozolimie uroczystą przysięgę w obecności Garimonda (patriarchy Jeruzalem), w której zobowiązywali się do ochrony pielgrzymów pragnących odwiedzać miejsca uświęcone historią zapisaną w Ewangelii. A ponieważ na takich pątników czyhało masę niebezpieczeństw – byli często napadani przez bandy łupieżców i na lądzie, i na morzu, faktycznie – taka ochrona była potrzebna. Tych pierwszych templariuszy, jak to opisuje Jakub z Vitry, biskup Akki z XIII wieku, miało być dziewięciu. Opierał się on na wcześniejszych zapiskach Wilhelma z Tyru. Problem polega jednak na tym, jak twierdzą niektórzy badacze, że nie do końca wiemy, ilu rycerzy faktycznie było: liczba „dziewięć" miała znaczenie symboliczne, stanowiła multiplikację „boskiej" trójki i stąd zapewne taka właśnie legenda założycielska. Co wiemy więcej? Najważniejszą postacią z tej, liczącej zapewne kilkunastu zakonników, grupki był pochodzący z Szampanii Hugon de Payns. Towarzyszyli mu Godfryd de Saint-Omer, Godfryd d'Eygorande, Nicolas de Neuvic, Jean d'Ussel, Jean de Meymac oraz Pierre d'Orlean. Ich misja ochrony pielgrzymów stała się oczywiście podstawowym celem istnienia zgromadzenia, a śluby, jakie złożyli, szły początkowo za duchem cysterskiej reguły stworzonej przez św. Bernarda z Clairvaux – ślubowali bowiem czystość, ubóstwo i posłuszeństwo. Król jerozolimski Baldwin II oddał Templariuszom na siedzibę swój pałac, a że znajdował się on w sąsiedztwie Świątyni, toteż i templariuszy zaczęto nazywać „rycerzami Świątyni".

Reguła zakonna

W świadomości świata Zachodu zaistnieli oni dopiero od czasów synodu w Troyes w 1128 roku (pojawia się tu kolejna mistyczna „dziewiątka" – mijało dziewięć lat od czasu założenia zgromadzenia w Ziemi Świętej). To tutaj miała być ustanowiona i zatwierdzona reguła Zakonu – w dokumentach soborowych znajdują się źródłowe ślady dotyczące templariuszy. Ta reguła, bazująca na regule św. Bernarda, czyli swego rodzaju konstytucja zakonna, była bardzo dokładnym regulaminem życia zbiorowości tych rycerzy. Dotyczyła oczywiście w pierwszym rzędzie spraw związanych z pobożnością, ceremoniałem czy przepisanymi modlitwami: na przykład liczby powtórzeń „Ojcze nasz" („Pater Noster") odmawianego dziesiątkami, tak jak obecnie zmawia się modlitwę różańcową za pomocą „zdrowasiek".

Wiele z 72 punktów reguły dotyczyło bardzo konkretnych aspektów życia zgromadzenia, m.in. ubiorów: inny strój miał kapelan czyli kapłan, inny kawalerowie, którzy przywdziewali znany nam powszechnie biały płaszcz z czerwonym krzyżem (ale za to na przykład giermek nosił czarną szatę z czerwonym krzyżem). Inne artykuły regulowały sprawy odpoczynku, podróży czy posiłków. Gdy któryś z braci zachorował i trafiał do zakonnego szpitaliku (infirmerii), to i tam musiał stosować, ujęty w przepisach, sposób żywienia – czyli we wszystkie dni tygodnia, poza piątkiem, mógł jeść mięso, ale za to zabronione było spożywanie bobu, soczewicy, wołowiny, wieprzowiny, cielęciny, mięsa koziego, baraniny, węgorzy, a nawet sera. Co pozostawało? Drób, ry-

ILUSTRACJA ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl 9d46fba629

by i warzywa... Wydaje się, że to całkiem dobra i zdrowa dieta...

Ubodzy Żołnierze Chrystusa

Jednak istotą zapisów reguły było zamknięcie wspólnoty na świat zewnętrzny. Ot, choćby jeśli chodzi o spowiedź – w zakonie sakrament pojednania można było uzyskać jedynie u kapelana zgromadzenia. Zatem zakonnicy spowiadali się sami. Co więcej, byli wyjęci z jurysdykcji w tym sensie, iż nie mogli być wzywani na świadka przez sądy zewnętrzne. Nie płacili wielu podatków. Podlegali bezpośrednio papieżowi. Tu dotykamy jednej z kluczowych kwestii, jeśli chodzi o słynny piątek 13 października i atak, jaki na templariuszy przeprowadził Filip IV Piękny. Notabene to ponoć właśnie od tego feralnego dnia zwykło się uważać, iż „piątek trzynastego" przynosi pecha. Dlaczego więc król podjął decyzję o tak drastycznym środku, jak aresztowanie wszystkich rycerzy Świątyni, we wszystkich ich francuskich komandoriach? Najczęściej na pierwszym miejscu wymienia się tu kwestię pieniędzy. Król potrzebujący środków finansowych miał się targnąć na system, który w pewnej mierze stanowił średniowieczną, olbrzymią strukturę, przypominającą dzisiejsze banki. Templariusze rzeczywiście posiadali wiele środków – aktywów ruchomych i nieruchomych, mówiąc językiem współczesnego biznesu.

A przecież pełna nazwa zakonu brzmiała – Papuperes comilitones Christi templique Solomonici Hierosaleminitanis, czyli Ubodzy żołnierze Chrystusa oraz jerozolimskiej Świątyni Salomona.

Idea bankowości

Ubóstwo zawarte w tytulaturze było wpisane w ich misję. Jej symbol to wizerunek z pieczęci templariuszy, na której na jednym koniu jadą dwaj bracia (notabene śledczy zamiast pochwały ubóstwa w tym wizerunku dostrzegli ukrytą ekscytację grzechem sodomii). Jednak z drugiej strony zakon rycerski zgromadził olbrzymie środki, które napływały z wielu stron. Z jednej strony, były to majątki braci, którzy przystępując do zgromadzenia, ofiarowali swoje dobra na jego rzecz. Inni płacili przepisowe wewnętrzne podatki od dochodu wypracowywanego na posiadanych przez siebie ziemiach. Z drugiej strony – pieniądze powierzali im także pielgrzymi. Tu zresztą narodziła się w jakiejś mierze idea bankowości. Otóż wyobraźmy sobie, że jesteśmy pielgrzymem, który na przełomie wieków XII i XIII postanowił odbyć duchową podróż życia do Ziemi Świętej. Gdybyśmy się na taki ruch zdecydowali, wiedzielibyśmy, że czyha na nas wiele niebezpieczeństw. Nie tylko gdzieś tam, blisko celu, lecz także w Europie, a także na morzu, gdzie w każdej chwili nasz statek może zostać napadnięty przez piratów. Co zrobić, by mieć zapas pieniędzy, a jednocześnie ich ze sobą nie przewozić, narażając się na ryzyko utraty? Najlepiej zdeponować. Tak właśnie powstała idea „banku", który prowadził zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa. Po przyjęciu jakiejś kwoty w jednej ze swoich placówek, Templariusze wystawiali swego rodzaju czek podróżny – zabezpieczony pieczęciami dokument, na podstawie którego właściciel mógł w innym zupełnie miejscu „wyciągnąć gotówkę". A przecież nie raz zdarzało się, iż taki podróżny pieniądze zostawił, a potem jednak nieszczęśliwie – w drodze do Jerozolimy – stracił życie. Jego majątek zasilał kasę zakonną.

Potężna siła polityczna

Jednak poza pieniędzmi, jako możliwym motywem przyświecającym królowi, mogły być też inne pobudki. I to wcale nie te, które oficjalnie podano wśród sprokurowanych w trakcie ciągnących się kilka lat procesów. Jednym z nich była walka o władzę z papieżem Klemensem V.

Król francuski był w konflikcie ze Stolicą Apostolską jeszcze za pontyfikatów dwóch poprzedników Klemensa. Bonifacy VIII obłożył Filipa Pięknego ekskomuniką. Niejako w odpowiedzi król wysłał do papieża swojego człowieka, Wilhelma de Nogaret, który udał się do papieskiej rezydencji w Anagni wraz z grupą zbrojnych osiłków i tam... po prostu pobił Ojca Świętego. Kilka miesięcy później, w październiku 1303 roku, zapewne w wyniku obrażeń, Bonifacy VIII zmarł. Jego następcą został Benedykt XI. Ale i on nie zasiadał na Tronie Piotrowym zbyt długo – zaledwie kilka miesięcy później także odszedł z ziemskiego padołu do lepszego świata. Wtedy król Filip postanowił Stolicę Apostolską obsadzić „swoim człowiekiem". Papieżem został arcybiskup Bordeaux, Bertrand de Got, który przyjął imię Klemensa V. Jednak, jak się okazało, wcale nie zamierzał być bezwolnym narzędziem w rękach królewskich. Owszem, jego pontyfikat to początek tzw. niewoli awiniońskiej – Klemens V był pierwszym następcą św. Piotra rezydującym w Awinionie – ale też uzależnienie od tronu francuskiego wcale nie było, co oczywiste, papieżowi na rękę. Przy ciągłych przepychankach politycznych oraz kwestii sprawowania faktycznej wła-

eprasa.pl 9d46fba629

dzy we Francji (w tym nad strukturą kościelną), Zakon Templariuszy jawić się mógł zatem Filipowi – w opinii niektórych badaczy (na przykład Magdaleny Satory) – jako odrębna, niebezpieczna struktura.

Potężna siła polityczna

Jak już wspomnieliśmy, Ubodzy Rycerze wcale nie byli tacy „ubodzy", jak chciała nazwa, a w dodatku byli podporządkowani bezpośrednio i jedynie papieżowi. W każdej chwili mogli być więc wykorzystani jako narzędzie. I to narzędzie o olbrzymiej sile rażenia. W końcu był to zakon rycerski, który znakomicie sprawdzał się na polach bitewnych. Nie tylko „ora et labora", lecz jeszcze „pugna" należałoby w ich przypadku dodać do benedyktyńskiej maksymy, zmieniając ją w „Ora, labora et pugna", czyli „Módl się, pracuj i walcz". Każdy kawaler wraz ze swym pocztem, znakomicie wyćwiczony i uzbrojony stanowił w walce nie lada zagrożenie. Rolę templariusza na średniowiecznym polu bitewnym historycy porównują czasem do czołgu na współczesnym polu walki. Jeden zakonnik był wart tyle, co czasem kilkudziesięciu zwykłych rycerzy. Do tego dodać trzeba jeszcze układy polityczne oraz kontakty, które z możnymi świata mieli zakonnicy w białych płaszczach, oraz ich powiązania finansowe czy udzielone pożyczki, by zrozumieć, że Zakon Templariuszy był ogromną potęgą polityczną. Tę potęgę papież miał niejako na swojej „smyczy", a główne siedziby rycerzy Świątyni znajdowały się we Francji...

Magdalena Satora w artykule poświęconym procesowi templariuszy (nr 100 „Przeglądu Historycznego") przeanalizowała nie tylko motywy, jakie mogły stać za atakiem na zakon, lecz także zachowania samego papieża. Okazuje się, iż nagłe aresztowanie braci było szokiem nie tylko dla mieszkańców Francji, lecz także dla Klemensa. I to pomimo tego, iż wcześniej wiedział, że nad templariuszami gromadzą się czarne chmury – o zarzutach wspominał mu król już w trakcie papieskiej koronacji w 1305 roku. Jednak papież oczekiwał, że to struktura kościelna – jeśli uzna za stosowne – będzie prowadzić potencjalne dochodzenia czy nawet proces. Jeszcze w sierpniu 1307 roku napisał list do francuskiego władcy, w którym zaznaczał, iż po konsultacjach z kardynałami i po żądaniach samego Wielkiego Mistrza Jakuba de Molay, Kościół przyjrzy się zarzutom. Tymczasem Filip przygotowywał się do ataku po kryjomu, nie uzgadniając niczego ze Stolicą Piotrową. Wygląda więc na to, że królewski ruch z nagłym aresztowaniem mógł być akcją wymierzoną także w niezależność kościelnych instytucji. Stąd Klemens zareagował oburzeniem. Pierwsza bulla, z 27 października, była napisana w tonie niezgody na podjęte przez Filipa działania. Ale już następna, z 22 listopada („Pastoralis praeminentiae"), była czymś zupełnie przeciwnym! Papież przychylał się do zarzutów i wręcz nakazywał władcom w innych państwach, by zrobili to samo co Filip i dokonali aresztowań templariuszy. Dlaczego? Być może chciał przejąć kontrolę nad wydarzeniami.

Tortury i stos

Co było treścią oskarżeń przeciwko zakonowi? Odnajdziemy je m.in. w dziełku A.I. Jurkowskiego, wydanym w Wilnie, w 1845 roku, a opowiadającym o historii „Zakonu rycerskiego Templariuszów". W sumie zarzutów było 127. Wśród nich najpoważniejsze Jurkowski streszcza tak: „1. że się zapierali Chrystusa, i znak męki jego poniewierali; 2. że się kłaniali jakiemuś bałwanowi, od którego spodziewali się wszelkiego powodzenia dla Zakonu; i 3. na koniec, że się dopuszczali obrzydliwego grzechu sodomii". A do tego dodajmy jeszcze zarzut lichwy – niezwykle ciężki w średniowieczu.

Uwięzieni templariusze poddawani byli najokrutniejszym torturom. Tylko niektórzy byli na tyle twardzi, by mimo męczarni twierdzić, że są niewinni. W praktyce złamano opór niemal wszystkich. I przyznawali się do wszystkiego – od czczenia głowy Bahometa, przez całowanie się po genitaliach w rytuale przyjęcia do zakonu, aż po grzech sodomii. Ci, którzy potwierdzili zarzucane im czyny, mieli szansę na uratowanie życia. Ale niektórzy odwołali swe początkowe zeznania. Tak jak sam Wielki Mistrz Jakub de Molay, który 11 marca 1314 roku, wszem i wobec, przed ludem paryskim oznajmił nagle, że wszystko, co do tego czasu powiedział, było nieprawdą i zostało wymuszone torturami. Podobnie uczyniło kilku innych braci. Wszyscy, jeszcze tego samego dnia, zostali żywcem spaleni na stosie. Zakon przestał istnieć. Zaczęła żyć jego czarna legenda. Czy zarzuty mogły być prawdziwe? Być może w jakiejś małej części i w jednostkowych przypadkach... Jednak przecież nie o to chodziło tym, którzy proces uruchomili. Chciano zlikwidować zakon wszelkimi możliwymi metodami, przejąć jego majątki, wytrącić papieżowi broń z ręki. Użyto do tego machiny prawnej. I to nad wyraz skutecznie. W piątek trzynastego. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Piotr Lisiewicz

Kronika przegranej sprawy – tak można streścić poniższy fragment artykułu Włodzimierza Bączkowskiego „Sprawa ukraińska", który ukazał się w paryskiej „Kulturze" z 1952 roku (nr 7/57–8/58). Autor opisuje w nim przekrojowo starania swojego środowiska, przedwojennych prometeistów, o ocalenie niepodległości Polski, poprzez budowanie szerokiego frontu wraz z Litwinami, Białorusinami oraz – szczególnie! – Ukraińcami. I pokazuje, jak dalekowzroczne, patriotyczne myślenie przegrało z podjudzanymi przez rosyjską agenturę ślepymi nacjonalizmami. Niemal wszystkie czynniki, które doprowadziły do tej klęski, obserwujemy także dziś. Nie ma w 2022 roku, 70 lat po ukazaniu się tamtego artykułu, bardziej aktualnej dla Polaków lektury.

Włodzimierz Bączkowski

Sprawa ukraińska

W naszej przedwojennej pracy publicystycznej łączyliśmy ideały mocarstwowej Polski z romantycznym hasłem wolności ludów. Symbol trójjedynej, unowocześniony na wzór szwajcarski lub brytyjsko-dominialny, obejmujący Polskę, Ukrainę, Białoruś i Litwę, wydawał się najwłaściwszym ratunkiem przed naporem dwóch młyńskich kamieni – niemieckiego i rosyjskiego – nieustannie grożących zgnieceniem małej, etnograficznej Polski.

Wierzyliśmy, iż w warunkach rosnącej potęgi sąsiadów, przy rusofilizmie Francji i oddaleniu Anglosasów, tylko wielki „szaleńczy" w swym rozmachu aktywizm polityczny mógłby uchronić państwo przed pochłonięciem przez sąsiadów. Narastający, jak się nam wówczas zdawało, konflikt światowy, nadawał naszym tezom proukraińskim piętno aktualności i praktyczności. Jeszcze w atmosferze urzędowego optymizmu i wiary we własną potęgę, w połowie 1936 r. pisaliśmy: „Fakt gorączkowego zbrojenia się całego świata, wespół z faktem istnienia szeregu spornych kwestii... zwiastują zbliżanie się konfliktu zbrojnego, w którym Polska... nie będzie mogła nie wziąć udziału... Nie mamy czasu na zdobycze polonizacyjne. Minimalne sukcesy w tym kierunku, jakie mogą nam rokować krótkie lata niepewnego pokoju, nie zmieniają na kresach układu sił na naszą korzyść, zmobilizują zaś element rusko-ukraiński przeciwko nam... Polityka pojednawcza jest jedyną polityką, jaką dyktują nam dzieje jagiellońskie, aktualne przesłanki naszej idei mocarstwowej, oraz perspektywy najbliższych przemian na horyzoncie politycznym. Albo staniemy się wielkim mocarstwem w środkowo-wschodniej Europie... albo podminowani od wewnątrz i niezdolni do zwycięskiego reprezentowania odwiecznej polskiej »wolności dżumy« – rozpoczniemy ponownie wiek XVIII w Polsce".

Polityka pojednania zakładała uznanie Ukraińców jako narodu odrębnego. Dyskusje prowadzone przez szereg lat na ten temat nie dawały pełnych wyników. Toteż chwytaliśmy się taktycznej formułki, mającej zbliżyć rozbieżne opinie. Pisaliśmy, iż: „Na pytanie, czy naród ukraiński istnieje, odpowiadamy: gdyby nie istniał naród, lecz ukraińska masa etnograficzna, to należałoby jej pomóc w osiągnięciu świadomości narodowej. Dlaczego i po co? Po to, by na Wschodzie nie mieć do czynienia z 90 mln Wielkorusów i 40 mln »Małorusów«...".

eprasa.pl 9d46fba629

***

Na wiążący się z tym problem niepowodzenia wyprawy kijowskiej odpowiadaliśmy, iż z jednej strony wpłynęła tu geografia Ukrainy i jej gospodarcze znaczenie, zmuszające Moskwę do najwyższego wysiłku reokupacji tych terenów, z drugiej strony fatalna polityka i wpływy Polaków, głównie właścicieli ziemskich na Ukrainie. Tłumaczyliśmy, iż: „Wielka własność polska na Ukrainie prawobrzeżnej stanowiła około 30–40% całej prywatnej własności ziemi. Ta własność widziała rację Polski na Wschodzie w restytucji za wszelką cenę polskiego stanu posiadania. Armii polskiej i jej reprezentantom w owym czasie, gdy warunkiem zwycięstwa polskiego była »polityka wolności«, narzucano nieustannie i w opinii masy ukraińskiej przyklejano żółtą łatę kondotierów właścicieli majątków ziemskich".

Cytowaliśmy z pamiętnika T. Hołówki „Przez dwa fronty" opisy rozmów w pałacu Potockich w Antoninach na temat wyroków na chłopów i palonych chałup, powoływaliśmy się na innych świadków, jak np. księdza Mariana Tokarzewskiego („Straż Przednia"), podających fakty zaniku patriotyzmu polskiego u magnaterii na Ukrainie w owym czasie. Sumując nasze wywody stwierdzaliśmy: „Świetna propaganda rosyjsko-bolszewicka wykorzystywała refleksje chłopa ukraińskiego i rzucała je na wspaniały plakat o »awanturniczej wyprawie potomka magnatów J. Piłsudskiego na Ukrainę dla przywrócenia władzy panów«. Propaganda ta trafiła na złotą żyłę odczucia masy ukraińskiej i w dobie wyprawy kijowskiej zneutralizowała wolnościowe, petlurowskie, propolskie nastroje... Sparaliżowała insurekcję ukraińską na tyłach armii czerwonej i organizacji armii ukraińskiej narzuciła żółwie tempo... Błędna, od wieków egoistyczna polityka identyfikowania racji Rzeczypospolitej Polskiej z materialną i materialistyczną racją polskiego stanu posiadania na Wschodzie, legła przede wszystkim u źródeł niepowodzenia wyprawy".

Bliższe jednak były opinii polskiej sprawy stosunków polsko-ukraińskich w granicach państwa. Codzienne nieporozumienia, gwałtowne wystąpienia podziemia ukraińskiego i idące w ślad za nimi represje władz przesłaniały nie tylko ideę wyprawy kijowskiej, lecz i zasadniczą sprawę organizacji Europy wschodniej w interesie obu narodów. Broniliśmy się przed uleganiem atmosferze wewnętrznego napięcia i na pierwsze miejsce wysuwaliśmy międzynarodowy aspekt stosunków polsko-ukraińskich. Propagowaliśmy tezę Leona Wasilewskiego, iż nie Lwów i Warszawa, lecz Warszawa i niepodległy Kijów są w stanie uregulować istniejące spory [...]

***

Poglądy nasze propagowaliśmy na łamach tygodnika „Biuletyn Polsko-Ukraiński", miesięcznika „Problemy Europy Wschodniej", kwartalnika „Wschód", dwutygodnika „Myśl Polska". Na szerokiej płaszczyźnie zagadnień ogólnopolskich i międzynarodowych te same idee głosiły „Bunt Młodych" oraz „Polityka", wydawane i redagowane przez Jerzego W. Giedroycia. Wymienione wydawnictwa od czasu do czasu poświęcały sprawom międzynarodowym wschodnio-polskim specjalne książki. Na przykład „Polityka" wydała duży tom „Problem polsko-ukraiński w Ziemi Czerwieńskiej" A. Bocheńskiego, S. Łosia i W. Bączkowskiego; „Wschód" – studium M. Kowalewskiego „Polityka narodowościowa na Ukrainie Sowieckiej" w języku ukraińskim; „Biuletyn Polsko-Ukraiński" – studium P. Zajcewa „Szewczenko i Polacy"; „Myśl Polska" – W. Bączkowskiego „Grunwald czy Pilawce?" oraz „W obliczu wydarzeń"; itd.

***

Na samym początku obóz piłsudczyków był dla nas tym piecem, od którego uczyliśmy się stawiać pierwsze kroki. Wśród piłsudczyków było kilku doskonałych znawców zagadnień narodowościowych i wschodnich i z ich inicjatywy powstały po 1926 roku trzy instytuty, zajmujące się badaniami narodowościowymi Polski i Europy wschodniej. W ścisłym tego słowa znaczeniu sprawami narodowościowymi opiekował się Instytut Spraw Narodowościowych w Warszawie, wydający dwumiesięcznik „Sprawy Narodowościowe" pod redakcją sekretarza generalnego instytutu Stanisława J. Paprockiego; Instytut Wschodni w Warszawie pod przewodnictwem senatora S. Siedleckiego i pod koniec swego istnienia - Jana Kucharzewskiego, specjalizował się w zagadnieniach ludów Rosji i w sprawach Azji w ogóle; wileński Instytut Badań Europy Wschodniej główną uwagę poświęcał wszechstronnym studiom Sowietów, ludom tureckim, kresom północno-wschodnim oraz państwom bałtyckim. W roku 1930 powstał Państwowy Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie, stając się wkrótce poważną placówką badawczą i wydawniczą. Instytut ten wydał między innymi najnowocześniejszą bodaj historię Ukrainy prof. Doroszenki oraz podjął wydawnictwo najpełniejszego zbioru dzieł T. Szewczenki. Do chwili wybuchu wojny ukazało się 15 czy też 16 tomów tego zbioru. Zebrane publikacje tych instytutów złożyłyby się na pokaźną specjalną bibliotekę.

Nie tylko w kołach obozu piłsudczyków i wśród specjalistów zgrupowanych wokół tych instytutów znajdowaliśmy przyjaciół lub bardzo rozumnych

eprasa.pl 9d46fba629

krytyków. Mieliśmy ich i po drugiej stronie barykady ideologicznej, wśród młodych przedstawicieli narodowej demokracji. K.S. Frycz z „Myśli Narodowej" oraz W. Wasiutyński zdradzali duże zrozumienie dla naszego podejścia do sprawy ukraińskiej i wschodniej. Pierwszy napisał głębokie studium o analogiach w odrodzeniu narodów węgierskiego i ukraińskiego. Mur, jaki – zdawało się – przedzielał nas od „Prosto z mostu" zniżał się nieustannie. „Kuźnica" czy wileński „Pax", „Zet" czy młodziutka „Polska Chrobra" i wiele innych grup w mniejszym czy większym stopniu solidaryzowały się z nami. Od czasu do czasu nawet w puszczy wielkich żubrów odzywały się głosy walnie nas wspierające. Gdy generał Denikin na łamach rosyjskiego dziennika w Paryżu „Posleednije Nowosti" napisał, iż na Kresach wschodnich zamieszkuje ni mniej ni więcej jak tylko 6 380 000 „Ruskich", oburzony Bolesław Koskowski pouczał rosyjskiego generała na łamach „Kuriera Warszawskiego" (nr 69/1937), iż „naród ukraiński nie jest produktem sztucznym". Wypowiadał się interesująco A. Nowaczyński, sędziwy „Tygodnik Ilustrowany" zamieścił doskonały artykuł na nasze tematy. Właściwie bardzo nieliczne grono spośród wybitniejszych publicystów i działaczy polskich odnosiło się do nas całkowicie negatywnie. Do zupełnie głuchych na nasze idee zawsze należał Jędrzej Giertych" [...].

***

Opinie nasze powoli zdobywały młodszą inteligencję, a zwłaszcza jej elitę intelektualną, lecz coraz niechętnej traktował nas aparat państwowy, inspirowany głównie przez żywioły kresowe – przede wszystkim z Ziemi Czerwieńskiej. Fatalne zmiany na stanowiskach państwowych przyśpieszały ten proces. Wydział Narodowościowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych po odejściu Henryka Suchenka-Sucheckiego, zamienił się w dużym stopniu w przybudówkę Bezpieczeństwa. Fotel po T. Hołówce, E. Raczyńskim i T. Schaetzlu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zajął zawodowy urzędnik. Ministerstwo Oświaty opuścił A. Kawałkowski, z Wołynia wyszczuto H. Józefskiego, tolerowano jedynie dyspozycyjnych wojewodów, nadsłuchujących pilnie nastrojów miejscowych polskich nacjonalistów i pilnujących telefonu z Warszawy. Bardzo wielu żołnierzy wielkiej idei osiadało na chlebie dobrze zasłużonych, niejeden z dawnych szermierzy koncepcji 1920 roku „robił" w szlachcie zagrodowej, klecił narodek huculski, produkował „tutejszych" na Polesiu, tworzył policyjny paszałyk brzeski, nasadzał małe powiatowe laski potiomkinowskie. Iluż popełniło samobójstwo moralne, przechodząc do szeregów jawnego lub tajnego frontu ludowego, jak Wincenty Rzymowski, autor wspaniałej książki „W walce i burzy – Tadeusz Hołówko na tle epoki" (Warszawa 1933). Na najognistrzego patriotę i obrońcę „Małopolski sprzedawanej Rusinom przez Warszawę" urósł generał Paszkiewicz w Tarnopolu, organizator bojówki dla walki ze zwolennikami zgody narodowościowej w Polsce, typ rodzimego hajdamaki, uzbrojonego w autorytet państwa.

Z coraz większym trudem znajdowaliśmy przychylne ucho u władz wyższych. Trzymaliśmy się w dużym stopniu rozpędem pierwszych lat, legendą tajemniczego poparcia. Z końcem 1938 r. musieliśmy zawiesić wydawnictwo tygodnika „Biuletyn Polsko-Ukraiński" i na jego miejsce założyć miesięcznik „Problemy Europy Wschodniej" nadając mu mniej polityczny i bardziej naukowy charakter. Przerażająco kurczyły się wpływy obrońców naszej pracy. („Bunt Młodych" potem „Polityka" stają się jednym z najczęściej konfiskowanych periodyków). Trawił ich paraliż woli, pacyfizm polityczny, anemiczna uczciwość. Gwałtowna śmierć od samego początku zabierała najlepszych. W 1931 roku sowiecka agentura w organizacji nacjonalistów ukraińskich wykonała wyrok na Tadeuszu Hołówce. W niejasnych okolicznościach, w pełni zdrowia, w grudniu 1935 roku, zmarł Leon Wasilewski. Na dwa miesiące przed zgonem zdążył wydać testamentarną broszurę: „O drogę do socjalizmu i pokoju". „Imperializm Rosji Sowieckiej – pisał w niej – odziedziczony po caracie, stanowi jedno z najgroźniejszych źródeł możliwości zatargów wojennych", podkreślał okrucieństwo sowieckich obozów pracy przymusowej, dzieła Lenina i Stalina porównywał z „Mein Kampf". Wkrótce po próbach zbliżenia z Ukraińcami zamordowany został minister spraw wewnętrznych Pieracki. W codziennej praktyce politycznej zwyciężała zasada „im gorzej, tym lepiej". Podtrzymywało ją nie tylko podziemie ukraińskie, lecz i skrajny nacjonalizm polski, wspierał podsycany przez hitleryzm coraz aktywniejszy antysemityzm, oraz żywiony strachem przed Niemcami prosowietyzm żydowski, wzmagała się powszechna ksenofobia: nie tylko przeciwko Niemcom i Rosji, lecz i Litwie i Czechom i wszystkim w czambuł mniejszościom. Osamotniona Polska niepostrzeżenie podejmowała wojnę przeciwko wszystkim. Prym w tej wojnie prowadziły Kresy, jej głównym ogniskiem była sprawa ukraińska. Fatalnemu biegowi spraw wewnątrz państwa towarzyszył narastający kryzys w całym świecie. Zbliżał się wybuch wojny światowej. ■

_____

Przedruk za: „Kultura", Paryż, 1952, nr 7/57–8/58.

eprasa.pl 9d46fba629

Ryszard Czarnecki

Pocztówka z Bejrutu

Siedzę w Bejrucie nad brzegiem Morza Śródziemnego nad talerzem „muhammary" – pasty z tłuczonych orzechów włoskich z dodatkiem chili i sezamu (pasta ma kolor czerwony) – oraz wyjątkową wątróbką, bo okraszoną sosem z... granatów. Chodzi oczywiście o owoce, chociaż prawdziwe granaty – i bomby – wybuchały w stolicy tego pięknego kraju co chwilę. Można by nawet stworzyć mapę Bejrutu z oznaczeniem miejsc walk, ale też zamachów, które tu były na porządku dziennym. Zastanawiam się nawet, jak się zachować, gdy rozmawiam z szefem jednej z chrześcijańskich partii, którego stryja – prezydenta państwa – zamordowali w zamachu skrajni islamiści i którego rodzonego brata – ministra – również zabito. Albo inny rozmówca, lider kolejnej formacji, szermierz walki z korupcją, który na znak protestu wobec tego, co się dzieje w rządzie, zrezygnował z mandatu do parlamentu: jego ojciec – prezydent – też zginął w zamachu...

Tragiczne rodzinne losy. Tragiczne losy pięknego kraju. Gdy byłem tu pierwszy raz, zachwycałem się urokami Libanu, naiwnie się dziwiąc, dlaczego ludzie tutaj tak walczą między sobą, miast sycić się pięknem własnej ojczyzny. Dopiero potem zrozumiałem, że walczą tak zaciekle, bo stawką jest władza nad tak pięknym krajem.

Libańczycy emigrują na potęgę. Wiadomo: najpierw wojna domowa, terror, a teraz wielki kryzys gospodarczy. Mało kto jednak zwraca uwagę na fakt, że libańscy emigranci, inaczej niż ci z Syrii i Iraku, dużo łatwiej znajdują pracę. Pomijając oczywisty fakt, że jest ich mniej niż obywateli innych krajów Bliskiego Wschodu i że trzymają się razem, przyczyną jest zapewne fakt lepszego niż u innych mieszkańców regionu wykształcenia. Aż 70 proc. szkół średnich w tym kraju to szkoły prywatne (zwykle wyznaniowe). Mniej niż jedna trzecia finansowanych jest przed państwo. To zupełne odwrócenie proporcji znanych nam z Polski czy innych krajów Zachodu. Są tu naprawdę dobre uczelnie: za studia w American University of Bejrut płaci się czesne dochodzące do 40–50 tys. dolarów rocznie!

To państwo opiera się na chybotliwym, ale jakoś tam zdającym egzamin konsensusie między chrześcijanami a muzułmanami – zresztą też podzielonymi na sunnitów i szyitów. Jak to wygląda w praktyce? Mandaty w parlamencie dzieli się na pół między wyznawców Chrystusa i Allaha, prezydentem jest chrześcijanin, premierem muzułmanin, ale nie tylko o politykę na najwyższych szczeblach tu chodzi. Także o edukację. Otóż w Libanie nauczanie historii w szkołach kończy się na... latach 60.! Potem jest biała plama. Chodzi o to, żeby nie dzielić społeczeństwa od najmłodszych lat. Tylko czy brak wiedzy może być receptą na jedność czy przynajmniej konsensus? Każda zatem rodzina i każde wyznanie pielęgnuje swoją wizję historii i swój rachunek krzywd.

Liban to boisko, na którym grają w politykę międzynarodową drużyny USA, Iranu, Arabii Saudyjskiej, Francji. Próbuje też Turcja, uruchamiając sporo projektów, zwłaszcza na Północy. Ankara inwestuje w nauczanie języka tureckiego, wymianę studentów, wystawy, remontuje szkoły, montuje panele słoneczne. Ta ekspansja Turcji nie podoba się Bejrutowi, który w 2019 roku wprowadził bardzo wysokie cła na tureckie meble i słodycze, zalewające miejscowy rynek. Pomogło: import z kraju Erdoğana osłabł.

Elity polityczne Libanu po cichu czekają na porozumienie „nuklearne" USA (Zachodu) z Iranem. Jeśli ono nastąpi, a ponoć jest blisko, to zapewne szyicki Hezbollah tutaj dostanie od swoich patronów z Teheranu mocniejszy kaganiec niż dotąd. A ci z drugiej strony, nasi bracia w wierze? Gdy pytam o libańskich chrześcijan zachodniego dyplomatę, ten odpowiada krótko: „Chrześcijanie tutaj? Tylko gorliwi". Tak, tu nie ma „letniej" wiary. Na ziemi, na której wyznawcy Chrystusa żyją od kilkunastu wieków, obowiązuje biblijne „niech słowa Twoje znaczą: tak – tak, nie – nie". Szczególny to kraj, wyjątkowi ludzie. ■

eprasa.pl 9d46fba629

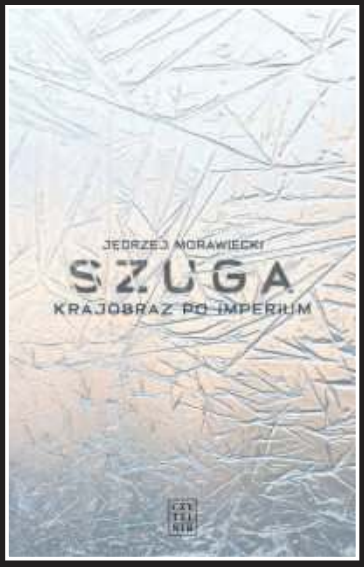

Jędrzej Morawiecki, „Szuga. Krajobraz po imperium”, Czytelnik, Warszawa 2022

Krzysztof Wołodźko

ROSJA I RELIGIA. NOWY KOSZMAR „ZŁEGO DOBRA”

Dziś na ustach niemal wszystkich jest Rosja nieokiełznana, niepokojąca. Nieprzyjazna światu. Religijna w najmniej dobry i piękny sposób. Ale to, co dziś jest pewnikiem, jeszcze niedawno niemal w ogóle nie było przyjmowane do wiadomości. „Szuga. Krajobraz po imperium” Jędrzeja Morawieckiego to niejednoznaczny szkic, który pokazuje metamorfozy, straszliwe i przygnębiające przeobrażenia, jakie zachodziły w Rosji w ciągu ostatnich dekad.

eprasa.pl 9d46fba629

Reportaż Morawieckiego jest jak patchwork, skrupulatnie zszywany przez dziesięć lat, między 2010 a 2020 rokiem. Albo współczesny serial, za którego dynamiczną fabułę płacimy serią skrótów – czasem efektownych i porażających, czasem zdawkowych i płytkich. Ale całość i tak robi duże wrażenie. Nawet jeśli rosyjska rzeczywistość okazuje się zbyt trudna do opowiedzenia, zbyt bolesna, by w prosty sposób przełożyć ją na papier, to za każdym zdaniem, akapitem i rozdziałem stoją głębokie doświadczenia. Morawiecki nie jest postturystą. Jest człowiekiem w podróży na Wschód. I z tej podróży zdaje relację, o której prawdziwości świadczy i to, że mało tam nadziei, żadnych łatwych pociech i złudzeń na przyszłość.

Krew, herezje, komsomolcy

Zacznę od garści własnych wspomnień. Byłem w Sowietach dwa razy – na początku lat 90. Byłem w Artieku na Krymie, w słynnym obozie radzieckich pionierów i komsomolców. Jako nastolatek podróżowałem koleją z Lwowa do Symferopola i samolotem (zdaje się, że na tej samej trasie). Byłem na Ajudahu skale, w Jałcie i Bakczysaraju. Z polskim paszportem, którego drugim językiem był jeszcze rosyjski. I po rosyjsku zapisano tam cudowne słowa: „na wsje strany mira" („do wszystkich krajów świata"). W upadających Sowietach widziałem sklepy spożywcze, w których nie było nic poza paluszkami z sezamem ze słodkiego ciasta i sokiem z winogron w dwulitrowych słoikach – choć wokół lipcem i sierpniem rozkwitała kraina mlekiem i miodem płynąca. Widziałem na każdym placu w Artieku obtłuczone już cokoły z Leninem, na których co rano mieliśmy obowiązkową musztrę. I widziałem straszliwą bójkę do krwi radzieckich pionierów – jeden był wysokim blondynem z Leningradu / Sankt Petersburga, drugi skośnookim mikrusem z jednej z azjatyckich republik. Kopali się po głowach, gryźli po szyjach, ramionach, uszach i palcach, pluli na siebie krwią, nienawidzili się i pogardzali sobą, choć mieli tylko po kilkanaście lat.

Widziałem długie kolejki za coca-colą, rozpanoszone sprzedawczynie w dewizowych sklepach i sprzedawcę, który klnąc, wyrzucił nas ze sklepu RTV i AGD, a później biegł za nami, dzieciakami, ulicą, wyjaśniając naszej tłumaczce, że akurat miał w sklepie kontrolę i nie mógł niczego sprzedać cudzoziemcom. I widziałem, jak ci, którzy wiele mówią o komunizmie, lepiej niż obywateli własnego imperium i „przyjaciół z krajów satelickich" traktowali nieliczną młodzież z Niemiec i Wielkiej Brytanii. Boga tam oczywiście nigdzie nie było. Może poza zapuszczoną grotą dawnej prawosławnej cerkwi gdzieś nieopodal dawnej siedziby krymskich chanów, którą mimochodem pokazano młodym turystom z Polski.

I drugie wspomnienie: z zakonu jezuitów, z przełomu lat 90. XX wieku i pierwszej dekady XXI wieku. Dwaj nowicjusze w Gdyni: Igor z Tuły w Rosji i Paweł z Żytomierza na Ukrainie oraz ich wzajemne relacje. Ten pierwszy był protekcjonalny, czasem niemal agresywny, gdy schodziło na historię Rosji i Ukrainy. Ten drugi – zdystansowany, broniący w takich rozmowach własnych racji żartem, ironią, sarkazmem; chroniący swoją kruchą wówczas odrębność. Ale czasem – wobec nas, Polaków – zjednoczeni rozmowami po rosyjsku, wspólnotą kontekstów, skojarzeń, wciąż świeżych wspomnień o wspólnym państwie i jego rozpadzie. W jakiś sposób samotni w swoim rosyjskojęzycznym katolicyzmie, często odwołujący się do prawosławia, który i nie był ich, i był. Także dzięki nim zacząłem nieco później chodzić na zajęcia z prawosławia na religioznawstwie na Uniwersytecie Jagiellońskim u profesor Izabeli Trzcińskiej. Dzięki temu poznałem „Filokalia", „Opowieść pielgrzyma" i książkę, którą powinien poznać każdy, kto chce lepiej zrozumieć szaleństwo rosyjskiej duszy i rosyjskiej religijności: „Najkrótszy słownik sekt i herezji Kościoła wschodniego" Jana Gondowicza.

„Duchowość tu potwornieje"

Również dzięki temu łatwiej czytało mi się „Szugę" – i takie rozdziały jak „Śryż", spowiedź niespowiedź kobiety zagubionej między prawosławiem a katolicyzmem. Bo to nieoczywista książka o rosyjskiej religijności, która miała okazać się powrotem do duchowych źródeł, ukojeniem dla narodu niszczonego przez komunizm. To opowieść o tożsamości, dla której zrozumienia trzeba wyrzec się mnóstwa racjonalistycznych, postoświeceniowych stereotypów i sposobów oceny kultury, religii, państwowości, człowieczeństwa i społeczeństwa. To inne spojrzenie niż Ryszarda Kapuścińskiego, który chyba tego duchowego, religijnego fenomenu nie był w stanie przeniknąć i pełnoprawnie włączyć do własnej złej/dobrej baśni o Rosji. O tym, że zagmatwana, trudna, poraniona religijność jest spoiwem rosyjskiej duszy, społeczeństwa i państwa. Najróżniejsza religijność: przede wszystkim prawosławna, ale obywateli i obywatelki Federacji Rosyjskiej pociąga też neopogaństwo i islam. Na dobre i złe: „Duchowość tu potwornieje. Religia pokazuje kły".

eprasa.pl 9d46fba629

Jest 2014 rok, reportażysta w podróży do Tomska przegląda prasę: „Mroczne pomruki z Moskwy. Lider ruchu Święta Ruś Iwan Ostrakowski chce stworzyć w stolicy »prawosławne drużyny ludowe«, które mają strzec moralności na ulicach miast". W rosyjskiej telewizji do czerwoności emocje rozgrzewają spory o religię: „ultrakonserwatywny celebryta Wsiewołod Czaplin, przewodniczący Synodalnego Wydziału do spraw Stosunków Kościoła ze Społeczeństwem Patriarchatu Moskiewskiego daje się szarpać w studiu neopogańskiemu aktorowi. Potem krzyczy, że dzisiejsza Rosja jest »jedyną już cywilizacją chrześcijańską«". Zacytujmy klasyka, pewnie wbrew jego intencjom: biesy kręcą się, szalone.

Kilka dekad temu wydawało się, że wyzwolona z sowieckich pęt rosyjska religijność to droga do jednostkowego wyzwolenia dla ludzi, których dusze przeżarła komunistyczna pustka. Nie bez powodu Morawiecki otwiera swój reportaż opowieścią o Wołodii Tychiejewie. Ojciec w KGB, matka – ordynator szpitala. Schyłek imperium w Buriacji, dzieciństwo wśród pionierów. Później pieriestrojka, śmierć bliskich, jakieś lęki przed wojną atomową, początek lat 90., demokratyzacja, drożyzna i bezrobocie, wreszcie studia w Tomsku, Rosjanie nie wierzą już w komunizm, zaczytują się w ezoterycznym szarlatanie Carlosie Castanedzie. Wołodia w akademiku poznaje się z hippisami. Słucha Wiktora Coja, Akwarium i Garażdanskiej Oborony. Wszystko idzie zgodnie z planem: jego przyjaciele palą trawę i medytują nad buddyzmem zen. Bliski przyjaciel Wołodii popełnia samobójstwo, on sam ląduje w szpitalu psychiatrycznym. Później nawraca się na prawosławie. Jeszcze później – na katolicyzm, choć raziła go jego współczesna liturgiczna brzydota. Ale tego już mu nie wybaczono. Wołodia został sam – katolik i Rosjanin, który co dnia zaglądał do cerkwi, by słuchać pięknie wyśpiewanych psalmów.

▶ Trucizna w kremlowskich retortach

Rosja, którą opisuje Morawiecki, nieustannie się zmienia. Radykalizuje się z roku na rok. Minęły bezpowrotnie lata 90. z ich grozą przeobrażeń jelcynowskich czasów, zachwytem i chęcią poznania Zachodu. Minęły czasy zachwytu baptystami, którzy dla wielu Rosjan byli żywym symbolem ewangelicznego radykalizmu. Fascynacji zachodnimi ideami szybko ubyło, bardziej potrzebne okazały się towary stamtąd. Frustracje zmieniły się we wrogość. Katolikom też jest coraz ciężej. Łacinnicy, papiści nieodmiennie byli w Rosji źle widziani, coraz silniej zadzierzgnięty sojusz moskiewskiej Cerkwi z Kremlem jeszcze to nasila. Ksiądz Andrzej Duklewski opowiada reportażyście, że coraz trudniej rozmawia mu się z prawosławnymi duchownymi: „Kiedyś spotykali się przy herbacie, pierożkach, w kuchni, łaźni. Teraz zmieniły się wiatry. Za dużo mogą takie spotkania kosztować. Niekoniecznie nawet długie rozmowy. Czasem wystarczy uścisk dłoni". Choć i ten obrazek nie jest jednoznaczny: Marina Romanczenko, katoliczka, tęskni do organizacji pionierów: „Teraz takiego wychowania jest ciągle zbyt mało. Brakuje poczucia jedności. Powinniśmy do tego wrócić. Obowiązkowo". Jej głos nie jest odosobniony.

Rosja skrupulatnie przygotowywała się do tego, co Zachód z niemal bezbrzeżnym zdumieniem odkrył pod koniec lutego 2022 roku – niemal zupełnej apoteozy własnej odrębności i ostentacyjnego podkreślania cywilizacyjnej obcości wobec Zachodu. W Polsce wtajemniczeni w Rosję akademicy kiwają głowami: na Kremlu zapadnicy/okcydentaliści z kretesem przegrali ze słowianofilami. W retortach miesza się mikstura, która z niby obcych sobie ingrediencji tworzy nową gorzałkę dla mas: gdy Rosja zajmuje Krym, patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl I ogłasza za Władimirem Putinem, że rozpad ZSRS to tragedia: „Przestrzega przed pokusami liberalizmu, jakim Rosja miała ulec na początku lat 90. Patriarcha uważa również, że jedną z przyczyn upadku Związku Radzieckiego była duchowa degradacja, a także utrata dumy narodowej, którą trzeba pieczołowicie pielęgnować". Synteza moskiewskiego prawosławia i neosowietyzmu na usługach Kremla jest chyba najmniej zbadanym, a przecież ważnym zjawiskiem współczesnego świata. Kompletnie przeoczono, że udało się w putinowskiej Rosji połączyć wodę z ogniem – szczególnie jeśli przypomnimy sobie krwawe początki walki bolszewików z religią.

Przypomnę – jest 2014 rok. Autor „Szugi" wskazuje, że liberalna rosyjska inteligencja coraz bardziej uważa na słowa, na wpisy w mediach społecznościowych, deklaracje prywatne i publiczne. Nawet na prowincji ludzie tracą pracę, jeśli nie okazują entuzjazmu wobec nowej państwowej doktryny, która powoli łączy w całość postsowiecką, neoimperialną, nacjonalistyczną i prawosławną doktrynę. Ale czasem ktoś nie wytrzymuje. Jewgienij Lewkowicz, były korespondent „Rolling Stone" w Rosji, pisze: „Czuję bezsilność. Wyję z bezsilności. Od tygodnia najlepsi ludzie Ukrainy wołają o pomoc, o czym u nas nikt się nie zająknie. Wszystko, co można zrobić teraz w Moskwie, to modlitwa. Boże, pomóż im. Ojczyzno moja, nienawidzę cię". Andriej Makarewicz, lider kultowej

eprasa.pl 9d46fba629

kapeli Maszyna Wriemieni, pisze na blogu: „Uczucia do Rosji, którą kochałem i będę kochać, nie trzeba mnie uczyć. A do miłości do potworka, który próbujecie urodzić, kalecząc mój kraj, i tak mnie nie zmusicie". Makarewicz błyskawicznie staje się celem politycznej nagonki, którą rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow nazywa „głosem opinii społecznej". Zastraszany artysta pisze list do Putina, w którym prosi, by położono kres „sabatowi kalającemu jego imię". Prezydent milczy.

Czcić katów, zapomnieć ofiary

W tym samym czasie, daleko od Moskwy, na Syberii, państwo zamyka Perm-36, czyli jedyny łagier – muzeum w Rosji. Oficjalnie ośrodek ulega jedynie pewnemu przeobrażeniu. Każda władza zmierzająca ku totalitaryzmowi ma swoją nowomowę. W tym przypadku władze tłumaczą, że działalność placówki „ma być całkowicie poświęcona środkom ochrony i technicznym sposobom utrzymywania osadzonych". Nie trzeba większej wyobraźni, by spostrzec, że putinowski system w ten sposób dowartościowuje i głosi pochwałę katów – nowym całunem milczenia spowija ofiary.

Marzec 2015 roku. Zachód wciąż robi z Rosją najlepsze interesy, jeden z komentatorów pisze gorzko: „Teraz Perm-36 będzie muzeum, w którym mówi się o ciężkim trudzie dzielnych strażników gułagu, o technikach, jakie stosowali, by uchronić wielki naród przed piątą kolumną i nazistami z Ukrainy. Rozumiecie, że to się dzieje na poważnie? Pierwsza nowa wystawa ma być temu właśnie poświęcona: technologii ochrony i nadzoru nad podłymi nacjonalistami, faszystami, zdrajcami ojczyzny". A przecież autor „Szugi" ostrzegał: kilka stronic wcześniej, jak gdyby nigdy nic, wczytywaliśmy się w łagrowy szanson, pieśń niewoli, z którą Rosja się oswoiła, uczyniła częścią swojej duszy i obyczaju: wsadzają cię, wychodzisz, wsadzają cię, śpiewasz o tym, niewola, nieco mniej niewoli, władza, która woli czcić katów niźli ich ofiary. Ale na co komu patos? Tak po prostu, w akademiku, w którym mieszkał reportażysta z Polski, ktoś słuchał łagrowych piosenek.

Ze strony na stronę jest coraz gorzej, coraz bardziej absurdalnie, okrutnie i smutno. Rosja (nie)świadoma samej siebie, pokazana w „Szudze", to nie jest uporządkowana, pełna wielkich duchowych nadziei „Rosyjska idea" Mikołaja Bierdiajewa, to raczej „Apokalipsa naszych czasów" Wasilija Rozanowa – to raczej państwo fatalne, katastrofa dla siebie i świata, kuglarska sztuczka, która osłania wewnętrzną nicość. Morawiecki nie jest filozofem, lecz większość jego rozmówczyń i rozmówców to jednak rosyjska inteligencja, choćby prowincjonalna – zapadnicy, którzy coraz bardziej chowają się ze swoimi poglądami, czasem gdzieś znikają i nie można ich już odszukać. To ludzie, którzy z przerażeniem odkrywają, że wszystko, w czym zakochali się w czasach młodości (choćby to był ruch krysznowców), nie tylko staje się teraz w Rosji źle widziane – musi paść ofiarą państwowej machiny, która pokazuje słabym, kto tu rządzi. W ten sposób zaprowadza się porządek.

Wojna „na brudno"

Ostatnia część „Szugi" pisana jest „na brudno". Notatki z Ukrainy. Jest Słowiańsk, jest Kramatorsk – miasta, których nazwy poznaliśmy w ciągu ostatnich kilku miesięcy, choć wojna toczy się tam od dawna. Sceny zabójstw, proza trwożliwego życia pod bombardowaniami, pośród wymiany ognia. Piotr Dudnik, ukraiński protestant, opowiada reportażyście: „Dzieci, które urodziły się [w 2014 roku – K. W.], znają tylko wojnę. Z kolei te, które miały dziesięć, mają już szesnaście. Wyobraźcie sobie, co przez ten czas stało się w ich głowach. To się działo na ich oczach".

I wciąż od nowa rozmowy o religii, przejmujące i wymowne. Pastor Siergiej Demidowicz: „Jako duchowni przeszliśmy niezwykłą przemianę. Bo radzieckie protestanckie interpretacje teologiczne kładły nacisk na pacyfizm. W czasach ZSRR nie zgodziłem się wziąć broni do ręki, trafiłem za to do brygady karnej. A potem się zmieniliśmy. Uwierzyliśmy, że zło, które jest na naszej ziemi, trzeba powstrzymać. Instytucja kapelana powstała u nas dopiero teraz, podczas tej wojny. To coś zupełnie nowego. Weszliśmy do wojska, wchodzimy do policji. Wprowadzamy modlitwę w resortach siłowych. Dajemy moralne wsparcie: jeśli walczysz ze złem, nie jesteś zabójcą, niepotrzebne wyrzuty sumienia".

A później Demidowicz dodaje: „Oskarżam Rosjan. (...) Oskarżam rosyjskich chrześcijan, którzy milczeli. Oskarżam tych, którzy agresję poparli. Chrześcijan, którzy chodzą ze wstążkami świętego Jerzego".

„Szuga" to zimowe błoto, lód, woda; śniegowa breja, brudna, roztopiona. Szuga jest zapowiedzią wiosny. Ale może też oznaczać nieustanne balansowanie na granicy lutowych mrozów i lekkiej odwilży, wieczną zimę udającą przedwiośnie, grę pozorów, która głęboko przeniknęła rosyjski świat. Musimy się nauczyć Rosji na nowo, a reportaż Morawieckiego służy tutaj pomocą. ■

eprasa.pl 9d46fba629

ZAMROZIĆ, CO MINIONE

W trójkątnym tympanonie dworku w Nowej Suchej widać zachowany w oryginale łaciński napis: „SUB VETERI TECTU SED PARENTALI". Co po polsku można przetłumaczyć jako „Pod starym dachem, ale za to rodzicielskim". Tak... Może i takie budownictwo jest stare, może i troszkę dziś zaniedbane – ale za to w tej starości i kruchości kryje się coś, czego nie da się zastąpić. Nasza polska tradycja. I tak... Muszę się przyznać: dobrze mi tu.

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wiatrak koźlak w skansenie pod Łęczycą to jeden z najlepiej zachowanych obiektów tego typu w kraju

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Zwykle w ciągu tygodnia nie zagląda tu wiele osób. Dzieci mają prawo się tutaj nudzić. Wszak atrakcji dla nich nie ma za wiele. Ot, tyle co poganiać się po zielonej łące. Lub wspiąć się na stary koźlak. Wielbiciele przygody gustujący w górskich bądź leśnych wycieczkach także wolą w wolnym czasie pojechać gdzieś indziej. W Beskidy, na Kaszuby, na Mazury. O imprezowiczach i ludziach, którzy kochają szybkie życie z dużą ilością koloru, nawet nie ma co wspominać. Oni tutaj także nie przyjadą. Zostają więc ci ostatni. Ludzie, którym czas może płynąć przez palce, a ci wcale nie będą z tego powodu płakać. Ludzie czerpiący autentyczną przyjemność z bezczynnego siedzenia na wiejskiej ławce i smakowania promieni południowego słońca. Ludzie o świetnych nosach. Rozróżniający zapachy mielonych ziaren, kwitnącego storczyka, dojrzewającego późnym latem siana. Ludzie, którym smakuje przeszłość. A zarazem wszyscy ci, którzy mają świetne wyczucie chwili. Tej, która dzieje się właśnie teraz. I nie chcą dać jej sobie wyrwać za żadne skarby świata. Bo przecież druga taka sama chwila może się już nie powtórzyć. Zatem przystają. I czekają. Chłonąc.

Wszyscy oni będą kochać skanseny. Najlepiej te mało znane. Do których nikt nie jeździ. Które ulokowane są daleko poza głównymi trasami. Gdzie, aby trafić, trzeba się wpierw troszkę natrudzić. Tak, żeby tu przyjechać, musi komuś naprawdę zależeć. I tym ludziom zależy. Oni kochają takie miejsca. A ja razem z nimi.

Dziś ośmielam się naszkicować propozycję odwiedzenia kilku takich miejsc. Gdzie czas jakby się zatrzymał. I stoi nadal. Taką marszrutę po polskich skansenach.

Przedsionek nieba na północ od A2

– Jak przybyli tu po raz pierwszy, zastali ruinę. To się nawet w głowie nie mieści – opowiada z charakterystycznym podlaskim zaśpiewem pani Jola. – Wszyscy specjaliści odradzali im kupowanie tej posiadłości. Zapadnięty dach, pozawalane ściany... Nie było czego zbierać.

– A jednak zdecydowali się kupić... – uśmiecham się, zachęcając panią kustosz do opowiedzenia dalszej części historii.

– Tak – podchwytuje pani Jola. – Bo pan profesor to był pasjonat. Jak coś sobie wyobraził, to robił wszystko, aby to zrealizować. No i sam pan widzi, co tutaj się zadziało...

Naszą podróż zaczynamy od skrawka wsi Nowa Sucha. Od wyprawy do innego wymiaru baśni. Odbiwszy od i tak mało ruchliwej trasy A2 prowadzącej na Terespol, już po przejechaniu kilku kilometrów odczujemy, że oto wjeżdżamy do tej części Polski, która żyje jakby w innym tempie. Do części, której puls bije w zdecydowanie zdrowszym rytmie. Wkoło łąki, pola. Czasem kilka pojedynczych chat. I przesiadujący na drewnianych ławach pod domowymi lipami starsi ludzie. Leniwie i niespiesznie obserwujący, kto to tam nadjeżdża pustą zazwyczaj drogą. Parkując auto na trawiastym podwórku opuszczonego drewnianego dworku szybko nabierzemy pewności, że oto za chwilę przekroczymy jeszcze jedną barierę. Wsi, jaką pamiętają nasi praojcowie. Świata, o jakim współcześnie słyszymy już tylko w baśniach. Witajcie w Muzeum Architektury Drewnianej Regionu Siedleckiego. Czyli po prostu w bajce profesora Marka Kwiatkowskiego.

Tak, tak! Dokładnie tego samego, który przez lata kustoszował warszawskiemu Pałacowi na Wodzie, a następnie jako pierwszy dyrektor w historii zarządzał całym parkiem Łazienek Królewskich. Człowiek o takiej wrażliwości na piękno i historię miał prawo być szczególnie wyczulony na architektoniczne rarytasy, jak ten opisywany wyżej skrawek kraju. Gdy więc wraz z żoną Marią po raz pierwszy zobaczyli opuszczony i zrujnowany dworek, który jeszcze w 1743 roku postawił kasztelan liwski, pan Ignacy Cieszkowski, od razu wiedzieli. Że stworzą tu przedsionek nieba na ziemi. I stworzyli.

Wiejska scenografia

– To już szósty rok, jak odszedł od nas pan profesor – poważnieje pani Jolanta, pracująca dziś w skansenie jako przewodnik i kustosz. – Miałam tę przyjemność, że pracowałam z nim tutaj od początku istnienia muzeum – mówi. W każdym zdaniu pani Joli wypowiadanym o swoim zawodowym mentorze da się słyszeć wielki szacunek i podziw. I pewien żal, że go już tu nie ma. Nam, odwiedzającym to miejsce, wystarczy jednak krótki spacer po zebranych tu obiektach, aby także zrozumieć, że musiał być to ktoś z wizją. I rzadko spotykanym zapałem.

– O, a na przykład w tej chacie ukrywał się przed Rosjanami ksiądz Stanisław Brzózka, ostatni dowódca Powstania Warszawskiego – pani Jola wskazuje na drewnianą chatę krytą strzechą, przed którą to chatą stoi stary poczciwy studzienny żuraw. Zaraz dalej znajduje się pasieka. A nieopodal na bajkowo wyglądającej łące między małym jeziorkiem a wiejskimi chatami pasą się trzy konie. – W skansenie mają wolny wybieg. Hasają, gdzie tylko chcą. Dla turystów to atrakcja. Zwłaszcza dla tych najmniejszych – uśmiecha się pani przewodnik.

Choć teren skansenu nie jest jakoś szczególnie wielki, każdy z obiektów przyciąga i sprawia, że człowiek chce się nim prawdziwie nacieszyć. Tak jest choćby z tutejszą drewnianą kapliczką, zamkniętą na przytrzymujący drzwi patyk. Kapliczką, w której wnętrzu czuć intensywną woń sosny. Obrazki Matki Bożej, krzyż na środku niewielkiego ołtarzyka. I jakiś skromny bukiet polnych

eprasa.pl 9d46fba629

Wnętrze starej kapliczki w Nowej Suchej

kwiatów. Tak jest też z pobliską dzwonnicą pamiętającą XVIII wiek. Tak jest z organistówką – zdecydowanie najbardziej malowniczym budynkiem całej okolicy. Po drugiej stronie asfaltowej drogi spomiędzy gałęzi drzew wystają ramiona starego drewnianego wiatraka koźlaka. A nieco dalej w polu widać kościółek. Też cały z drewna. Podobno wybudowano go na potrzeby filmu.

– Tak, filmów troszkę tu kręcili – uśmiecha się tajemniczo pani Jola.

– „Troszkę" to znaczy? – dopytuję z ciekawości.

– Dziewiętnaście. A niedługo będzie dwudziesty. Więcej panu nie mogę powiedzieć. Producent zakazał. To ma być niespodzianka.

Królewska nagroda

W piekarni było ich dwóch. Starszy, właściciel, miał na imię Bartłomiej. Ponoć był mistrzem wypieków. Imienia młodszego nie znamy. Wiemy tylko tyle, że robił jako czeladnik pomagający Bartłomiejowi w pracy. I że na sławie mu nie zależało. Raczej na uczciwej pracy i zadowoleniu klientów. I jeszcze na czymś. A właściwie na „kimś". Na pięknej córce-jedynaczce swego mistrza. Powiadają, że ilekroć ta pojawiała się w piekarni, tylekroć młody czeladnik zapominał o Bożym świecie.

Niestety, jak to w wysokich sferach bywa, Bartłomiej już upatrzył męża dla swej ukochanej córki. Miał nim być wiele od niej starszy bogaty szlachcic. Podczas gdy ten obsypywał umiłowaną biżuterią ze szczerego złota, młody czeladnik mógł jej ofiarować jedynie słodkie ciastko i polne kwiatki. Dni mijały i do ożenku było coraz bliżej.

Pewnego dnia, gdy chłopak zrywał dla panny niezapominajkę znad brzegu strumyka, zobaczył tonącą w nim pszczołę. A że dobre miał serce, bezzwłocznie uratował biedne stworzenie. Gdy tylko owad osuszył skrzydełka, odezwał się do piekarczyka tymi słowami: „Miły mój. W podzięce za ratunek wyjawię ci sekret. Dodaj jutro do wygniatanego ciasta nieco miodu słodkiego, a zobaczysz, co nastąpi". Skołowany nieco czeladnik pobiegł w te pędy do piekarni. Gdy spóźniony wpadał, usłyszał wieść o rychłej wizycie w Toruniu samego króla, którego orszak zamówił dla siebie tysiąc ciastek. Młody chłopak czym prędzej zabrał się do pracy. Pamiętał jednak o radzie uratowanej pszczoły. W tajemnicy przed Bartłomiejem każdy z wypieków traktował dodatkowo słodkim miodem.

Gdy król posmakował ciastka, wprost oniemiał. Przywołał prędko swego namiestnika i nakazał mu przygotowanie stosownego dokumentu. Miało w nim stać jasno, że od tej pory „miasto Toruń zyskuje przywilej, aby po wsze czasy mieszkańcy mieli prawo wypiekania pierników miodowych i wysyłania ich do innych miast". Wieść prędko rozniosła się po całym Toruniu. Także do Bartłomieja. Dowiedziawszy się o tajemnej recepturze, jaką zastosował młody czeladnik, nieco łaskawiej spojrzał na chłopaka. A z czasem i na ożenek z nim jego jedynej córki. Co zresztą wkrótce nastąpiło.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 9d46fba629

Chyba nie ma wątpliwości, że w takich plenerach odpoczywa nie tylko ciało...

Toruńska legenda podaje, że działo się to w 1557 roku. Dodawać, że „po hucznym weselu młodzi żyli długo i szczęśliwie", już raczej nie trzeba. Ale o tym, że młodzi najprawdopodobniej zamieszkali w jednej z takich właśnie chat, jakie w tej chwili oglądam, już chyba mogę. Jasnodrewniane deski ścian. Dach ze strzechy. Zagrody okalające bujne w kwiat ogrody. I ten samotnie stojący żuraw. Być może to właśnie przy nim młoda żona czerpała wodę dla ukochanego czeladnika. A ten? Pewnie przenosił kolejną zaprawę do ciasta w wielkim wiklinowym koszu, jakich tu pełno. A może akurat we dwoje modlili się przed niewielką kapliczką Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus, która na drewnianym słupie stoi pośrodku jednego z tutejszych ogrodów?

Staropolskie legendy, jak powyższa, pięknie brzmią, gdy czyta się je, spacerując po tego typu miejscach. To toruński skansen. Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej ulokowane w samym centrum nowoczesnego miasta. Azyl dawności. I miejsce stojące w pewnym cieniu względem słynnej Krzywej Wieży, staromiejskiego rynku czy Domu Kopernika. To dla nich odwiedza się Toruń w pierwszej kolejności. Tutaj zachodzą już tylko niektórzy. I może to lepiej.

▶ Najlepszy koźlak w kraju

– Pamiętam, jak łaziłem tam jako mały chłopak. To dopiero były czasy... – niezwykle sympatycznemu panu naprawdę trudno przerwać wywód. Mam świadomość, że z racji pracy, jaką tu wykonuje, ciężko będzie wejść mu w słowo. Przewodnicy wszak muszą mieć gadanę. Z drugiej strony gdzie indziej zdobędę tyle informacji o odwiedzanym miejscu? Niech więc mówi dalej. – To była taka nasza szkolna baza na wypady z kolegami. Nazywaliśmy to miejsce „Szwedem".

Przewodnik wskazuje dłonią wysoki maszt, na szczycie którego dumnie powiewa biało-czerwona flaga. Miejsce znajduje się nie dalej, jak kilkaset metrów stąd. Póki co jednak prócz flagi nie widać tam nic, co mogłoby przyciągnąć na dłużej wzrok. Ot, niewielki piaszczysty wał na tle szerokich pól i łąk. I znajdującej się nieopodal dumnej kolegiaty.

– Samego grodziska pan stąd nie zobaczy – mój rozmówca jakby czytał mi w myślach. – Widzi pan tę powiewającą na wietrze biało-czerwoną flagę?

– Tak, flagę zobaczyłem od razu – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Grodzisko jest dokładnie tam – przerywa chwilę milczenia. – A domyśla się pan, dlaczego nazywaliśmy z kolegami to miejsce „Szwedem"?

– Przyznam, że nie bardzo...

– Otóż to właśnie z tamtego miejsca Szwedzi ostrzeliwali Łęczycę w 1655 roku. Dziś mało kto o tym wie. Nawet wśród mieszkańców samej Łęczycy.

Zanim jednak przejdziemy się do „drugiego Biskupina", jak to zamierzają nazywać zmodernizowany i odbudowany gród miejscowi specjaliści od PR, mamy pod Łęczycą do obejrzenia coś jeszcze. Niewielką wioskę. Kilka chat przykrytych strzechą. Z malowniczym wiatrakiem koźlakiem. I uroczym stawem wodnym. To podłę-

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 9d46fba629

czycki skansen. Mówi się, że te łódzkie są zwykle bardzo małe, zarazem jednak niezwykle malownicze. Ten tutaj potwierdzałby tę tezę. Spieszący się obejdzie wszystkie atrakcje w mniej niż pięć minut. Ten, który docenia piękno i pewien urokliwy kunszt ukryty w szczegółach, spędzi tu znacznie więcej czasu.

Pozostawiając samochód na odludnym, niewielki placu parkingowym w maleńkiej, oddalonej 2 km na wschód od Łęczycy wioseczce Kwiatkówek, wchodzimy jakby na własne ryzyko w inny wymiar. Ten sięgający przełomu XIX i XX wieku. Odbywający się na łęczyckiej wsi.

Wchodzimy do pierwszej usytuowanej najbliżej wejścia chaty. To rekonstrukcja budowli pochodzącej z pobliskiej miejscowości Chorki. Jej ściany pamiętały schyłek XIX wieku.

– Niech pan zwróci uwagę na budulec – idący za mną krok w krok kustosz muzeum nie daje zapomnieć o swojej obecności.

– A to nie drewno? – dziwię się.

– Na tym właśnie polega fenomen – odpowiada z triumfem. – Tak się bowiem składa, że akurat w powiecie łęczyckim dość wyraźnie brakowało drewna jako budulca. Zaradni mieszkańcy zaczęli więc do budowy domów używać gliny. Co ciekawe, dotyczyło to nie tylko takich chłopskich chat jak tutaj, lecz nawet dworów.

Przyglądam się uważnie wnętrzu izby. Składa się z dwóch części. Pierwsza to izba kuchenna, druga to pokój sypialny. Z przebiegającą między nimi sienią. Widzę nakrytą żeliwną płytą kuchnię. Jest też stojący nieco dalej piec chlebowy. Szybko dowiaduję się, że w takiej kuchennej izbie toczyło się codzienne życie domowników. Tutaj spano, spożywano posiłki, rozmawiano. Drugi pokój był raczej miejscem na specjalne okazje. Na uroczysty obiad świąteczny, na podjęcie gościa.

Za domem jest drewniany wiatrak. Akurat on stał tutaj jako pierwszy. Jeszcze zanim powstał pomysł budowy skansenu. Wprawdzie został na chwilę przeniesiony do wsi Zawady, jednak finalnie wrócił na miejsce, które było jego początkiem. Znawcy twierdzą, że pamiętający 1820 rok koźlak to jeden z lepiej zachowanych wiatraków w kraju.

▶ Zakończyć klasyką

Zaczyna się od Wyżyny Lubelskiej. Monumentalny wiatrak widać jeszcze z krajowej „siedemnastki" łączącej Warszawę z Lublinem. Idziemy jednak dalej. Do Miasteczka. Drewniane zagrody, stajnie. Wchodzimy do murowanej lepianki. Wszystko pozostało tak, jakby gospodarz niedawno wstał, posprzątał, pościelił łoże i odmówiwszy poranny pacierz przez krucyfiksem postawionym pod oknem, wyszedł na orkę. Przechadzamy się po niewielkiej izbie, a pod nami skrzypią deski podłogi. U drzwi wisi lampion ze zgaszonym lontem świecy w środku. Starannie pielęgnowany ogródek z sadzonkami. Idziemy dalej. Mijamy kapliczkę, z której bacznie przygląda się nam święty Jan Nepomucen. Po prawej szeroki dąb rozpościera troskliwy cień nad ławeczką – romantycznie usytuowaną pod jego pniem. Ławeczka jest w tej chwili zajęta przez mamę kołyszącą anielsko śpiące dziecko. Pani nie mogła znaleźć lepszego miejsca.

Sponad koron drzew widać drewnianą wieżyczkę pobliskiego kościółka. Mijam budynek wiejskiej remizy. Podchodzę bliżej, by odczytać napisy na tabliczce wiszącej na płocie: „Remiza z Wilkowa". Zaraz obok gmach szkoły z Bobrownik. Po lewej klimatyczny kurnik. Z zagrody nieśmiało wygląda spłoszony osioł. Między nogami biegają pisklęta. Po polu dumnie przechadza się piękny kogut. Wreszcie docieram do wspomnianego kościoła. XVII-wieczny zabytek dumnie wznosi się nieco na uboczu Miasteczka. Za nim już tylko skarpa i kolejna kraina.

To Powiśle. Zagrody otaczające malownicze jezioro wspaniale współtworzą pejzaż staropolskiego regionu nizin polskich. W szuwarach dostrzegam pozostawioną łódź. Taką, jakich coraz mniej na dzisiejszej polskiej wsi. Z dwoma ciężkimi wiosłami. Z zaciągniętym na brzeg nieco podziurawionym dziobem. Idziemy dalej. Na zboczu kościoła z wysokiej, nieskoszonej trawy widać pojedyncze krzyże. To kilka mogił tworzących tutejszy cmentarzyk. Kolejna część to Podlasie i Polesie Lubelskie. Najgęściej zalesiony region skansenu. W niedzielne popołudnie spacerowicze zalegają tutaj w trawach, nad potokiem, w cieniu dębów.

Przed nami jeszcze Roztocze i Nadbuże. Obie na deser. Piwiarnia z Siedliszcza – najliczniej okupowana zwłaszcza przez brzuchatych panów. Jest i kuźnia. Z ciekawskimi kózkami. Białe kwiaty wiśni przyozdabiają kolejne werandy okiennic staropolskich lepianek. To skansen w Lublinie. Ten akurat zna większość. Chciałoby się napisać, że to wręcz klasyka gatunku.

▶ Uchwycić i zamrozić

Jak to dobrze, że są takie miejsca. Gdzie możemy odetchnąć powietrzem przeszłości. Gdzie pośpiech nie jest rzeczą wskazaną. Gdzie hałaśliwe przekupki nie zachęcają do kupienia u nich kwiatów, a do lodziarni nie ustawia się długa na kilkadziesiąt metrów kolejka. Pełnia lata w wiejskim wydaniu. Prastarym. Twórcom polskich skansenów udało się uchwycić coś bardzo istotnego. Chwilę minioną. Uchwycić i zamrozić.

Trochę jak z tym krucyfiksem na oknie jednej z chat lubelskiego skansenu. Obserwującym kolejne wschody słońca. Postawionym na drewnianym stoliku obok starannie pościelonego łóżka. W ciemnej izdebce. Pod obrazami, obok dzbanów. W zastygnięciu. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Olga Doleśniak-Harczuk

TAM KRYJÓWKA ŚWIĘTYCH ZWIERZĄT I STRASZYDEŁ

1

Fragment obrazu Stephana Lochnera „Sąd Ostateczny", około 1435 roku

eprasa.pl 9d46fba629

Dwa wierne psy leżące pod stopami hrabiego von Arnsberg, lew św. Marka Ewangelisty cierpliwie patrzący z witraża kolońskiej katedry, półśpiący szczeniak wyglądający zza pazuchy niderlandzkiego kupca, apokaliptyczny baranek namalowany z taką czułością, jakby malarz przelał w tę chmurkę farby całą swoją ufność. A po drugiej stronie diabły, stwory, straszydła ściągające potępione dusze do piekła. Aż słychać jęki i utyskiwanie. Nawet jeżeli „Święte miasto Kolonia" wyzbyło się swojej aureoli, to jej dawny blask wciąż ogarnia kolońskie zbiory muzealne i świątynie. To tutaj znajduje się trzecia największa katedra świata i jedna z największych kolekcji malarstwa średniowiecznego Europy. A jak średniowiecze, to i święte zwierzęta. I nieświęte maszkarony dla równowagi.

1 2 Zwierzęta w sztuce to wdzięczny temat. Diabły i straszydła nieco mniej, lecz dla miłośników mocnych wrażeń i piekielnych wizji Hieronima Boscha, Stephana Lochnera czy Mistrza Legendy św. Katarzyny (do dziś nie wiemy, kim był) temat może być kuszący. Niebezpiecznie kuszący, jak widać na scenach z diabłami męczącymi dusze potępione.

Mistrz Legendy św. Katarzyny, flamandzki malarz czynny w Brukseli w latach 1470–1500 lub 1460–1510 tak wyobrażał sobie diabły; tu fragment obrazu ukazującego sceny z życia Hioba

3 O malarstwie Lochnera pisaliśmy na łamach „Nowego Państwa" dokładnie rok temu w artykule „Gotyckie opóźnienie", przy okazji prezentacji jego dzieł na wystawie niemieckiej sztuki późnego gotyku w berlińskiej Gemäldegalerie. W Kolonii mekką dla fanów estetyki Lochnera, uznawanego za jednego z czołowych reprezentantów malarstwa tablicowego „Spätgotiku", jest Muzeum Wallrafa słynące głównie z bogatych zbiorów malarstwa średniowiecznego. Na pierwszym piętrze placówki, poza unikatową kolekcją gotyckich ołtarzy, dzieła wielu przedstawicieli kolońskiej szkoły malarskiejujrzymy też pojedyncze obrazy Lucasa Cranacha Starszego i Albrechta Dürera. Zgromadzone w kolekcji obrazy średniowieczne pochodziły z klasztorów i kościołów

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK (2)

eprasa.pl 9d46fba629

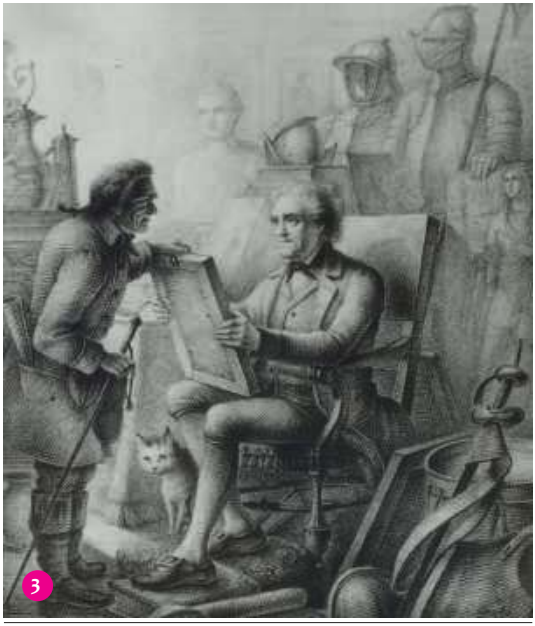

Ferdinand Franz Wallraf pośród swoich zbiorów, rysunek Nikolausa B. Salma, około 1820 roku

„Koronacja Maryi", około1450–1475

Mistrz z Delft działał na terenie Niderlandów około 1500 roku. Tu fragment tryptyku „Ukrzyżowanie Chrystusa" z dziwną istotą psiopodobną

Nadrenii, które w wyniku reformacji zsekularyzowano bądź przystosowano do nowych funkcji. Nabyte przez Ferdinanda Franza Wallrafa (1748–1824), niemieckiego kolekcjonera sztuki i kanonika, znalazły spokojną przystań w muzeum nazwanym później jego imieniem. Po jego śmierci muzeum regularnie powiększało swoje zbiory, część dzieł pochodzi od prywatnych darczyńców. Dla miłośników zwierzęcych motywów w sztuce Muzeum Wallrafa jest przyjemnym wyzwaniem, sam założyciel zbiorów został zresztą uwieczniony pośród swojej kolekcji w towarzystwie wyglądającego na niezłego znawcę malarstwa tablicowego kota.

4 5 6 Najczęstszymi zwierzęcymi gośćmi obrazów w „Wallrafie" są lwy, baranki, woły, orły, ale zdarzają się też trudne do zidentyfikowania istoty. I tak lwy: na obrazie ukazującym Koronację Maryi (autor nieznany), Apokalipsę Mistrza Wizji św. Jana czy towarzyszące świętym: Markowi, Barbarze i Łukaszowi u Lochnera, wyglądają prawie podręcznikowo, choć jak to w przypadku szkoły kolońskiej – bardziej przypominają duże psy lub średniej wielkości tresowane niedźwiedzie niż króla zwierząt. W przypadku istoty ukazanej na tryptyku „Ukrzyżowania Chrystusa" Mistrza z Delftu trudno powiedzieć, na co patrzymy. Być może jest to hybryda psa i lwa, i to mocno zminiaturyzowana. W każdym razie albo Mistrz miał specyficzne poczucie humoru, albo psy w jego czasach miały w sobie coś diabolicznego.

7 Poza Muzeum Wallrafa wyglądający w istocie na lwa zwierz został uchwycony w położonej około

Fragment obrazu Kolońskiego Mistrza Wizji św. Jana, tak przyjęło się nazywać tego anonimowego do dziś autora, który tworzył w Kolonii w połowie XV wieku

eprasa.pl 9d46fba629

400 metrów dalej katedrze kolońskiej na witrażu ukazującym m.in. św. Marka Ewangelistę. Witraż powstał w 1847 roku, został zaś zainstalowany rok później z okazji jubileuszu katedry. Wizerunek św. Marka z lwem stanowi fragment całości ilustrującej opłakiwanie ukrzyżowanego Jezusa.

8 W sztuce Kolonii nie zabrakło psów. Nagrobek pochowanego w katedrze kolońskiej hrabiego Gottfrieda IV von Arnsberga wieńczą dwa psy leżące pod stopami zmarłego dobroczyńcy Kolonii. Psy w średniowieczu były częstym motywem nagrobnym, symbolizowały wierność nieznającą granic śmierci. W Polsce motyw psa u stóp znajdziemy m.in. na sarkofagu św. Jadwigi Andegaweńskiej.

9 Psa w wydaniu malarskim znajdziemy na portrecie mężczyzny niderlandzkiego malarza renesansu, Jana Cornelisza Vermeyna. Sportretowany człowiek wygląda na zasobnego kupca, ale z dystansem do siebie. Zza pazuchy wystaje mu piesek, a w tle, po lewej stronie widać małpkę na zielonym suknie. Obraz również należy do kolekcji Wallrafa.

10 Poszukiwaczom apokaliptycznego baranka w sztuce kolońskiej można spokojnie polecić Skarbiec Katedry Kolońskiej, gdzie znajdują się bogactwa świątynne – od naczyń liturgicznych i krucyfiksów po ornaty, rzeźby i kamienne figury niegdyś stojące w portalach katedry. Jest tam i baranek ze srebra i mosiądzu, częściowo pozłacany, spoczywający na księdze o siedmiu pieczęciach. Kolejna wzruszająca pamiątka po czasach kolońskiej świetności i świętości. ■

Lew jest przypisywany w tradycji chrześcijańskiej św. Markowi Ewangeliście

Hrabia Gottfried IV von Arnsberg żył w IV wieku i jest jednym z dwóch świeckich władców pochowanych w katedrze kolońskiej; jego sarkofag z piaskowca otoczono metalową klatką, podobno niechętni mu potrafili celowo uszkodzić kamień

Jan Cornelisz Vermeyn umieszczał na swoich obrazach również koty, zainteresowanych odsyłam do obrazu „Święta rodzina przy ognisku"

Baranek apokaliptyczny, autor Johann Heinrich Rohr, 1774/80

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK (7), WIKIPEDIA

eprasa.pl 9d46fba629

Krzysztof Karnkowski

„Gomorra” po raz ostatni

Czemu „Gomorra”, będąc do pewnego stopnia typowym serialem gatunkowym, stała się równocześnie tak ważnym zjawiskiem, dziełem nowatorskim i wytyczającym kierunki? Nie doczekamy się już dalszego ciągu tej historii, a i szanse na godne następstwo wydają się dziś nikłe. Zanurzmy się jeszcze raz w świat slumsów Neapolu.

Pod koniec ubiegłego roku HBO wypuściło długo oczekiwany piąty sezon serialu „Gomorra”. Kilka miesięcy to wystarczający czas, by chyba wszyscy fani zdążyli obejrzeć zakończenie tej historii. Gorące i dramatyczne wydarzenia ostatnich kilkunastu tygodni nie dawały szansy na pisanie dłuższych tekstów poświęconych kulturze, dało to jednak okazję, by powtórzyć sobie cały temat.

Z wyrokiem od camorry

Włochy kojarzą się z innymi widokami. Wiekowe zabytki, piękne rezydencje, bogate wille, malownicze i zielone krainy. Gdzieś pośród nich mafia, wszechobecna korupcja i chaotyczna polityka. Zło w atrakcyjnym kostiumie i bogatej scenografii. Saviano opisał zupełnie inny świat – dzielnice strachu i biedy, kojarzące się raczej z Ameryką Południową, całe krainy, w których nie ma żadnej przyszłości. Dla biednych, którzy stają się żołnierzami, dilerami i ćpunami, by nie dożyć starości. Ale i dla bogatych, którzy wiecznie toczyć muszą wojnę, nieraz żyją w ukryciu po kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, by finalnie stracić wolność (choć i stan wcześniejszy trudno nazwać wolnością) lub życie. W najgorszym razie widząc wcześniej śmierć swoich bliskich, często podążające tą samą drogą dzieci. Pełne przemocy i narkotyków piekło na ziemi. Biblijna Gomora, która nie płonie, lecz trwa tu i teraz.

W 2006 roku młody włoski reportażysta Roberto Saviano opisał działalność neapolitańskiej camorry

eprasa.pl 9d46fba629

FOT. MAT. PRAS.

w swojej, tak właśnie zatytułowanej, książce. „Gomorra" Saviano była wielowątkowym, potężnym reportażem, ukazującym przenikanie się mafii ze wszystkimi dziedzinami życia tej części Włoch – nie tylko z tymi oczywistymi, jak narkotyki, wymuszenia, żerowanie na państwowych dotacjach czy lokalnej specjalności – słynnej na cały świat z powodu swej dysfunkcjonalności gospodarki odpadami, lecz choćby i słynnego przecież włoskiego przemysłu tekstylnego, działającego za pieniądze mafii niczym złoty sen neoliberała. Saviano pokazał cały brud i całą praktykę, odzierając równocześnie drogę przestępstwa z całego romantyzmu, który lubiła przydać mu popkultura. I pokazał zdecydowanie za dużo, więcej niż camorra chciałaby, byśmy zobaczyli. W efekcie przez dłuższy czas musiał żyć z jej wyrokiem śmierci, doczekawszy się dopiero po apelu kilku możnych tego świata stałej państwowej ochrony. Nie zrezygnował jednak z tego niebezpiecznego pomysłu na siebie i swoje życie, choć nieraz był targany ludzkimi wątpliwościami. Pisał kolejne książki na ten sam temat, pokazując kolejne grupy, historie i niekończący się festiwal beznadziei. Pozycje te ukazywały się również w Polsce i choć żadna „Gomorry" nie przebiła wagą ani popularnością, każda jest warta uwagi jako pogłębienie i uzupełnienie tematu. Tymczasem pierwsze dzieło zaczęło żyć własnym życiem.

▶ Opowieść brutalna i niedająca nadziei

Dwa lata po premierze książki powstał film pod tym samym tytułem. Fabularny, lecz tak naprawdę dokumentalny, pokazujący kolejne wątki z książki – mafię opanowującą gospodarkę odpadami, szyjącą ubrania, sięgającą po publiczny grosz, czasem mordującą się, a czasem zastępującą w karykaturalny sposób wszelkie instytucje państwa. Film zrobił wielką karierę, napędzając też zainteresowanie książką. W 2014 roku „Gomorra" trochę niespodziewanie wróciła jako serial, który rozciągnął się aż do pięciu, produkowanych przez siedem lat, sezonów. Zwracająca uwagę brutalnością, lecz również intrygującą muzyką. Początkowo mocno oparta na reportażach Saviano, później coraz bardziej „na motywach" niż „według". Pierwsze odcinki kręcił mistrz włoskiego kryminału Stefano Sollima, później reżyserów było wielu, lecz pierwotna konwencja przetrwała. Serial od strony wizualnej prowadzony był bardzo konsekwentnie, lekko zmieniał się jednak przez lata sposób prowadzenia narracji. W pierwszych latach charakterystyczne było opowiadanie niektórych wątków z pozycji postaci drugoplanowych, często branych z prawdziwych historii, opisanych w otwierającym całą tę serię reportażu. Jak historia młodego chłopaka, ginącego na początku życiowej i mafijnej drogi, jego śmierci i pogrzebu, będącego manifestacją wściekłości i bezsilności.

„Gomorra" serialowa była już mocno fabularna i, inaczej niż książka, nie uniknęła pewnej „romantyzacji" bohaterów. Trwały przygnębiające scenerie blokowisk, a w tle kolejni ludzie walczyli ze sobą, handlowali i ćpali, wreszcie ginęli bezsensownie, nie mając szansy na swoje lub cudze odkupienie. Jednak stopniowo opowieść dominowały losy dwójki głównych bohaterów, Gennaro Sevastano i Ciro de Marzio. Oczywiście dalej była to opowieść brutalna, przygnębiająca i niedająca nadziei – ani w bogactwie, ani nawet w wierze, której przecież, jak to we Włoszech, pełno.

eprasa.pl 9d46fba629

Nieprzewidywalna przewidywalność

Trzeba zauważyć, że serial skupia się na jednym wycinku mafijnej aktywności, czyli handlu narkotykami. We wszystkich sezonach Gomorry widzieliśmy walkę poszczególnych klanów mafii o wpływy. W pierwszych dwóch seriach towarzyszyła im wojna pokoleń, nieskończona walka Gennaro o uznanie najpierw ze strony ojca, później jego współpracowników. W sezonie czwartym główny bohater walczył również o własną rodzinę, próbując uwolnić się od mafijnej przeszłości, choć przecież nie do końca była to przeszłość. Po prostu zostawił stare sprawy samym sobie i zajął się własnym interesem, oczywiście – po swojemu. Wreszcie przyszedł sezon ostatni. Jaką tym razem widzimy w nim wojnę? Cofnijmy się najpierw na koniec sezonu trzeciego – na pływającej w księżycową noc łodzi Gennaro zmuszony jest zabić Ciro, swego mentora, wspólnika, przyjaciela i brata krwi. Zapewne większość widzów, oglądając kolejne odcinki, miała wrażenie, że ten drugi z głównych bohaterów zbyt łatwo zniknął, zbyt łatwo zginął, zwłaszcza jak na kogoś od początku nazywanego „Nieśmiertelnym". Cóż, wypadałoby ostrzec przed spoilerem, ale co to za spoiler, skoro komunikat ten wypełnia oficjalny zwiastun serii, przygotowany przez HBO – Ciro wraca. Tak naprawdę był zresztą przez cały czas. W uniwersum serialu znalazł się również spin-off „Nieśmiertelny" z 2019 roku, w którym zobaczyć można, co działo się z Ciro po nieskutecznym mordzie na łodzi, i sporo przebitek z jego wcześniejszego życia, z czasów sprzed startu akcji „Gomorry". Film ten nie był reklamowany tak mocno jak kolejne sezony, mógł więc wielu widzom umknąć. I, powiedzmy sobie szczerze, to właśnie ci mniej uważni fani są w lepszej sytuacji – coś jeszcze może ich w tym finałowym sezonie zaskoczyć. Dodać trzeba, że „Nieśmiertelny" choć zebrał niezłe oceny krytyków, wzbudził kontrowersje wśród fanów serii. Część uznała, że film zabił realizm całości.

Wróćmy do serialu. Ostatnią odsłoną opowieści będzie więc wojna bratobójcza już w sensie właściwie dosłownym, okrutna i wyniszczająca. Gdy wiemy już, że to zakończenie, wszystko jest nieuchronne i przewidywalne, pozostaje raczej pytanie: „jak?", bo na pytanie: „czy?" twórcy nie zostawili zbyt wiele miejsca. Ale przecież „Gomorra" ze swoimi zwrotami akcji, dramatycznymi zmianami sojuszy i gęstym uśmiercaniem kolejnych bohaterów (w tym przypadku można powiedzieć – jak w życiu) niemal od początku, dokładniej od momentu, w którym wciągał nas jej rytm, była opowieścią w swojej nieprzewidywalności przewidywalną. I nikomu z fanów to przecież nie przeszkadzało.

Mafijne trio

Czy „Gomorra", odświeżając konwencje mafijnego kryminału, równocześnie jej nie wyczerpała? Bardzo udaną próbą tej samej konwencji była rozgrywająca się w Rzymie „Suburra". Ten film, a następnie trzysezonowy serial opowiadał historię trójki chłopaków, których połączył przypadek i którzy nagle wstrząsnęli miastem, wchodząc w sam środek wielkiej intrygi z nieruchomościami, polityką i Kościołem w tle. Tak jak i o „Gomorze" pisałem już o tym wybitnym kryminale na łamach „Nowego Państwa'. „Suburra" była opowieścią pełną i tak samo jak „Gomorra" skończoną. W tym tytule Saviano nie miał swego udziału, był w nim jednak jego duch, swój wkład w serię miał natomiast Sollima. Tak samo jak w kolejny tytuł, nawiązujący do tej samej konwencji, „Zero zero zero". Tu zresztą można mówić o powrocie do korzeni, ponieważ Stefano Sollima, będący tym razem twórcą serialu, scenarzystą i współreżyserem, pracował na podstawie książki Saviano. Jednak ten tytuł nie powtórzył sukcesu poprzedników, być może za bardzo mnożąc wątki i zbyt ambitnie wychodząc poza konwencję. Wyprowadzając akcję poza Włochy i pokazując również losy zagranicznych dostawców, ekipa zatraciła oryginalny klimat „Gomorry" i „Suburry", seriali o handlarzach narkotyków z całego świata po drodze powstało przecież bardzo wiele. Ponieważ jednak materiałów do kolejnych książek włoskiemu kamikadze nie zabraknie, doczekamy się na pewno również następnych ekranizacji. Dla nas to dobra wiadomość. Dla mieszkańców Neapolu i kilku innych miast – już niekoniecznie. ■

„Gomorra" ze swoimi zwrotami akcji, dramatycznymi zmianami sojuszy i gęstym uśmiercaniem kolejnych bohaterów niemal od początku była opowieścią w swojej nieprzewidywalności przewidywalną.

eprasa.pl 9d46fba629

Marek Kalinowski

W króliczej norze z Arcade Fire

Zespól Arcade Fire na nowej płycie „WE" czaruje bogactwem brzmień i pomysłów. W chórkach wspiera ich Peter Gabriel, a nad muzyką unosi się duch mistrza – Davida Bowiego. Nawet gdyby wokół walił się świat, jest dla nas nadzieja, musimy tylko być razem! – przekonują z niezmienną charyzmą.

Wpadliśmy do króliczej nory, która wydaje się nie mieć końca, a rzeczywistość coraz bardziej przypomina wizytę w gabinecie krzywych luster – z taką wizją świata powraca, po niemal sześciu latach ciszy, kanadyjski zespół Arcade Fire. „Alicja w Krainie Czarów" to niejedyny trop literacki, którym ruszymy w trakcie odsłuchu ich najnowszego albumu „WE". Podobno bezpośrednią inspiracją do tytułu była autobiografia pilota Charlesa Lindbergha, który jako pierwszy odbył samotny lot transatlantycki, oraz dystopijna powieść „My" Jewgienija Zamiatina, prekursora idei, które w swoich książkach rozwijali następnie Aldous Huxley i George Orwell.

Arcade Fire, WE, Columbia

To nie pierwszy „postpandemiczny" album w katalogu muzyki pop-rockowej, gromadzący kolejne wariacje katastroficznych wizji świata. Obrazów, których z pewnością mamy już przesyt nie tylko w książkach i muzyce, lecz nawet w codziennych informacjach. A jednak albumu „WE" Arcade Fire w żadnym wypadku nie można przegapić, bo jeśli nawet czeka nas mozolna podróż przez nie do końca jasne i posępne znaczenia, to jednak w towarzystwie wybitnych artystów, z genialnym kompozytorskim talentem, a przy tym bardzo świadomych muzycznych korzeni, z których wyrośli. A na „WE" udowadniają to po wielokroć.

W pieśniach Wina Butlera odnajdziemy szeroki rozmach hymnów Bruce'a Springsteena, i to już od otwierającego album „Age of Anxiety I". Butler jest siłą napędową całej grupy, szamanem, którego emocje prowadzą w zupełnie nieprzewidywalne kierunki. Zapiera dech w piersiach, gdy w „End of Empire IV" składa hołd swojemu muzycznemu mistrzowi Davidowi Bowiemu, artyście, który niemal od początku kibicował muzyce Arcade Fire, wspierając ich także na wspólnych występach. To jeden z najpiękniejszych momentów na płycie, proszę więc zamknąć oczy i posłuchać – Bowie wciąż gdzieś tu jeszcze jest!

Regine Chassagne, wokalistka o niezwykłym głosie i nie mniejszej charyzmie, przywraca utworom proporcje, jest doskonała zarówno w chórkach, jak i wówczas, gdy jej głos pojawia się na pierwszym planie. Z lekkością wyciąga drapieżne moce w „Unconditional II", by po chwili zaczarować słuchaczy sentymentalnym nastrojem.

Czego tu nie ma! Cytaty z punkrockowej, brytyjskiej muzyki lat 80. przechodzą w muzykę klubową, by za chwilę wywrócić wszystko do góry nogami i wzruszyć w przepięknej folk-rockowej balladzie „WE". Tytułowy utwór przenosi nas w historii muzyki popularnej o dziesięciolecia i sprytną klamrą zamyka całą płytę. Bo choć album aż kipi od skrajnych brzmień i emocji, to stanowi zamkniętą całość. A kończy się może nie happy endem, lecz przynajmniej nadzieją, że w tym szarym, pełnym zagrożeń świecie jest szansa dla nas. Bo gdy będziemy razem, łatwiej to wszystko znieść.

Na koniec jest też znakomita wiadomość dla polskich słuchaczy. W październiku Arcade Fire zagrają na warszawskim Torwarze. Ci, którzy już widzieli zespół na żywo, wiedzą, że to jedno z tych wydarzeń, które zostają w pamięci na długo. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Wielka Serbia jak ruski mir. Rosja podpala zachodnie Bałkany

Antoni Rybczyński

Wojna Rosji z Ukrainą odbiła się szerokim echem na Bałkanach, uwypuklając podziały regionalne i zagrożenia dla bezpieczeństwa, pokazując słabość polityki UE w tym regionie i coraz większe wpływy Chin i Rosji. Przede wszystkim zaś potwierdzając sojusz rosyjsko-serbski.

FOT. ANDREJ CUKIC/PAP/EPA

Prezydend Serbii Aleksandar Vucic z prezydentem Rosji Władimirem Putinem

Podczas gdy członkowie NATO – Chorwacja, Czarnogóra, Albania i Macedonia Północna – w pełni poparli Ukrainę, reakcja Serbii stała w jawnej sprzeczności z polityką Unii Europejskiej, do której kraj ten ma nadzieję (jak zapewnia) kiedyś dołączyć. Belgrad odmówił nałożenia jakichkolwiek sankcji wobec Rosji. Podczas gdy większość krajów europejskich zamknęła swoją przestrzeń powietrzną dla rosyjskich samolotów, przestrzeń Serbii pozostała otwarta. Co więcej, państwowe linie lotnicze Air Serbia podwoiły liczbę lotów z Belgradu do Moskwy. Nie wolno też zapominać o Serbach z Bośni i Hercegowiny. Ci są jeszcze bardziej prorosyjscy i antyzachodni. Zablokowali przyłączenie się federacyjnego państwa do proukraińskiej międzynarodowej koalicji.

Miękkie podbrzusze Europy

Bałkany Zachodnie to region ze słabymi rządami, polityczną niestabilnością, korupcją, konfliktami etnicznymi, religijnymi i granicznymi oraz głębokimi bliznami po historycznych doświadczeniach. Ziemia, która wielokrotnie spływała krwią. Dziś większość obszaru byłej Jugosławii znów przypomina beczkę prochu. Napięcie na linii Belgrad–Prisztina utrzymuje się ciągle tak duże, że najmniejszy incydent może sprowokować wojnę. Bośniaccy Serbowie myślą o zerwaniu związku państwowego z Chorwatami i muzułmanami. W Czarnogórze bardzo silny jest prorosyjski obóz, wspierany przez Serbów i Cerkiew. Podobnie jak w Macedonii Północnej. Właściwie w każdym lokalnym kryzysie widać rękę Moskwy.

Moskwa otwarcie groziła krajom bałkańskim, które próbowały wzmocnić swoje więzi bezpieczeństwa z Zachodem. Próbowała doprowadzić do referendum w sprawie członkostwa w NATO w Macedonii Północnej w 2018 roku, a jej ambasador uznał ten kraj za „uzasadniony cel" w przypadku wzrostu napięć między NATO a Rosją (kraj ten stał się w końcu państwem członkowskim w 2020 roku). W sąsiedniej Czarnogórze rosyjski wywiad wojskowy zorganizował w 2016 roku – na szczęście nieudany – zamach stanu mający pokrzyżować przystąpienie tego kraju do NATO. W Czarnogórze Kreml promuje prorosyjską politykę za pośrednictwem Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, która potępiła koncepcję odrębnej czarnogórskiej i serbskiej tożsamości narodowej i wywołała w zeszłym roku masowe protesty, co przyczyniło się od obalenia prozachodniego rządu. Chociaż ludność Kosowa to w ponad 90 proc. etniczni Albańczycy, Serbowie nie chcą pogodzić się z utratą kolebki swej państwowości. Moskwa dała również do zrozumienia, że dyplomatyczne uznanie przez ONZ niezależności Kosowa od Serbii nie będzie możliwe bez jej zgody. Putin często powołuje się na Kosowo, aby uzasadnić rosyjską aneksję Krymu, argumentując, że uznanie przez państwa zachodnie odłączenia się tego kraju od Serbii stworzyło precedens, który legitymizuje jednostronne deklaracje niepodległości innych terytoriów.

Poparcie Moskwy w sprawie Kosowa jest niewątpliwie jednym z głównych powodów prorosyjskiej polityki Serbii. 25 lutego prezydent Aleksandar Vučić otwarcie stwierdził, że choć Serbia respektuje międzynarodowe normy prawne, będzie chronić własne interesy narodowe i szanować tradycyjne przyjaźnie. Rosja jest strategicznym partnerem Serbii – Belgrad jest w dużym stopniu uzależniony od rosyjskich dostaw energii, kupuje od Rosjan broń, a Moskwa otwarcie popiera politykę Belgradu wobec Kosowa, zaś mniej otwarcie zachęca Serbów do rewizjonizmu i próby odebrania sąsiadom przynajmniej części tego, co posiadali przed 1999 i 1995 rokiem. Belgrad prowadzi dziś skomplikowaną grę. Z jednej strony, Serbia pozostaje jedynym krajem kandydującym do UE, który nie nałożył sankcji na Rosję w związku z jej inwazją na Ukrainę. Z drugiej strony, Serbia trzykrotnie głosowała w ONZ za przyjęciem rezolucji potępiających agresję Rosji i chroniących integralność terytorialną Ukrainy. Niemniej jednak Belgradowi grozi utrata bardzo cennej pomocy finansowej i gospodarczej UE (1,6 mld dolarów w latach 2014–2021), której nie można spłacić.

Zdecydowana większość partii i wyborców w Serbii jest jednakże prorosyjska i proputinowska. Nie tylko nacjonaliści, lecz także obóz rządzący. Ponad dwie trzecie członków wybranego w kwietniu nowego parlamentu jest otwarcie prorosyjskich, zaś prowadzący politykę zbliżenia do Moskwy Vucić wygrał reelekcję już w I turze z ogromnym blisko 60-procentowym poparciem. Skąd takie nastawienie Serbów do Rosji? To nie tylko bliskość religijna i kulturowa. Kluczowe znaczenie mają historyczne doświadczenia Serbów. Poczynając od XVIII wieku i współpracy moskiewsko-serbskiej wymierzonej w Turcję, po sojusz w czasie I wojny światowej. Ale najważniejszy był jednak okres po rozpadzie Jugosławii. Głównym czynnikiem powodującym, że większość Serbów postrzega Rosję jako sprawdzonego sojusznika, jest niechęć czy wręcz wrogość do Zachodu. Do dziś nie mogą pogodzić się z rozpadem Jugosławii, w której Serbowie odgrywali dominującą rolę, widząc w wojnach lat 90. XX wieku intrygi zachodnich krajów. Później były naloty NATO i utra-

eprasa.pl 9d46fba629

ta Kosowa (1999), którego niepodległości Belgrad do dziś nie uznaje (podobnie jak Moskwa). Serbowie są wdzięczni Rosji za to, że w Radzie Bezpieczeństwa ONZ wspiera politykę Belgradu względem Kosowa oraz Bośni i Hercegowiny. Należy też pamiętać o gospodarce. Rosjanie kontrolują serbski sektor energetyczny, a niemal całość importu ropy i gazu pochodzi właśnie z Rosji.

Podpisując umowę stowarzyszeniową z Unią Europejską w 2012 roku, Serbia zgodziła się na dostosowanie swojej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa do polityki UE. Tymczasem ostatnie lata wskazują, że dzieje się wręcz przeciwnie. Serbia pozostaje politycznie związana z Rosją, ponieważ potrzebuje dyplomatycznego wsparcia Kremla w sprawie Kosowa (m.in. aby zablokować związane z tym ustępstwa na forum ONZ) i jest uzależniona od tanich dostaw rosyjskiego gazu i sprzętu wojskowego. Ponad 90 proc. Serbów postrzega Rosję jako sojusznika lub niezbędnego partnera. Choć UE pozostaje największym dostawcą pomocy finansowej dla Serbii i największym partnerem gospodarczym, tylko 11 proc. obywateli Serbii uważa ją za sojusznika.

▶ Projekt Wielka Serbia

Serbowie to materiał wybuchowy, po który sięgnie w razie potrzeby Moskwa. Rosjanie grają tu na tych samych resentymentach co z Węgrami. Budapeszt wciąż marzy o odzyskaniu choćby części ziem zabranych postanowieniami traktatu w Trianon, choć już doświadczenia sojuszu z Hitlerem powinny uświadomić Węgrom, że pewnych zmian nie da się już odwrócić. Teraz Orbán chyba sądzi, że Putin pomoże przesunąć granice. To łączy Węgry z Serbią. Pod rządami Vucicia odradza się idea Wielkiej Serbii – projekt nawiązujący nie tylko do ambicji węgierskich, lecz także „ruskiego mira". Wielka Serbia to koncepcja odzyskania co najmniej części ziem dawnej Jugosławii. A więc obecna Serbia, a do tego serbska część Bośni i Hercegowiny, części Czarnogóry, Północnej Macedonii oraz oczywiście Kosowo. W 2021 roku szef MSW Aleksandar Vulin oświadczył: „Zadaniem obecnego pokolenia polityków jest zjednoczenie Serbów, bez względu na to, gdzie mieszkają". Z kolei podczas obchodów „Dnia Jedności Serbów" w Belgradzie, lider bośniackich Serbów Milorad Dodik oświadczył: „Naszym krajem nie jest Bośnia i Hercegowina – jest nim Serbia".

Moskwa podsyca serbski rewizjonizm wobec sąsiadów. Ale jednocześnie cynicznie wykorzystuje etniczne spory zachodnich Bałkanów. Podczas spotkania z sekretarzem generalnym ONZ Antonio Guterresem 26 kwietnia Putin stwierdził, że „republiki ludowe" w Donbasie mają takie samo prawo do określania swojej suwerenności bez zgody rządu ukraińskiego, jakie miało kiedyś Kosowo bez zgody rządu serbskiego. Rządzący w Serbii obóz widzi w Rosji jedyną szansę na to, by w przyszłości móc pokusić się o odzyskanie choćby części wpływów i ziem. Skoro Belgrad serio myśli o wejściu do UE, to przeciwko komu prowadzi zbrojenia? W 2019 roku obronny budżet poszedł w górę aż o 43 proc. (do 1,14 mld dolarów), a w 2021 roku osiągnął rekordową wartość 1,5 mld dolarów – a więc ponaddwukrotnie więcej niż w 2018 roku. Pomimo gróźb amerykańskich sankcji wobec Serbii, Moskwa wysłała do niej w 2019 roku system rakietowy S-400 na ćwiczenia wojskowe. W 2020 roku Belgrad zakupił dużą partię czołgów T-72. W 2021 roku Kreml zezwolił na sprzedaż Serbii systemów obrony powietrznej Pancyr-S1M. Od lat serbska armia wspólnie ćwiczy z Rosjanami i Białorusinami (coroczne ćwiczenia Słowiańskie Braterstwo). W Serbii znajduje się również serbsko-rosyjskie „centrum humanitarne", które służy tak naprawdę jako placówka wywiadowcza Rosjan w pobliżu Camp Bondsteel – głównej bazy NATO w Kosowie.

Szczególnie aktywni Rosjanie są w Republice Serbskiej, części Bośni i Hercegowiny, dążąc do zniszczenia kruchego konsensusu uzyskanego po krwawej wojnie domowej w latach 90. XX wieku (porozumienie pokojowe z Dayton, 1995). Bośnia i Hercegowina (BiH) przeżywa największy kryzys w swojej powojennej historii. Urzędnicy z Republiki Serbskiej, jednego z członów federacji – pod przywództwem Milorada Dodika – zajmują się niszczeniem instytucji państwowych, inicjując szereg procesów, które mają skutkować secesją. Może to doprowadzić do ostatecznego rozpadu kraju. Po przyjęciu projektu ustawy ustanawiającej Wysoką Radę Sądownictwa i Prokuratury w Republice Serbskiej kolejnym punktem programu Dodika jest administracja podatkowa i przywrócenie niezależnej armii serbskiej – tej samej, która została zlikwidowana za czystki etniczne i ludobójstwo podczas wojny w Bośni.

Milorad Dodik, serbski członek trójstronnego Prezydium Bośni i Hercegowiny (złożonego z przedstawicieli prawosławnych Serbów, katolickich Chorwatów i muzułmańskich Bośniaków), po inwazji Rosji na Ukrainę opowiadał się za zachowaniem przez BiH neutralności, co było stanowiskiem zbliżonym do stanowiska Serbii. Zasiadający wraz z Dodikiem w trzyosobowym Prezydium BiH Šefik Džaferović (Bośniak) i Željko Komšić (Chorwat) potępili działania Moskwy. Ro-

eprasa.pl 9d46fba629

syjska inwazja na Ukrainę wywołała obawy o to, co może stać się w Bośni – a mianowicie o użycie brutalnej siły do zmiany granic i wyodrębnienia nowych terytoriów. Już w 2014 roku Rosja wstrzymała się od głosu w Radzie Bezpieczeństwa ONZ podczas przedłużania mandatu sił EUFOR w Bośni i Hercegowinie, a w 2015 roku zablokowała brytyjski projekt rezolucji o uznaniu masakry w Srebrenicy za ludobójstwo. Jak bardzo bezczelnie zachowują się Rosjanie w Bośni i Hercegowinie może świadczyć wywiad, jakiego w marcu lokalnej telewizji udzielił ambasador Igor Kałabuchow. Rosjanin stwierdził, że Bośnia i Hercegowina ma prawo decydować, czy wejść do NATO, ale Moskwa zostawia sobie prawo do reakcji na taki krok. – Na przykładzie Ukrainy pokazaliśmy, czego oczekujemy. Jeśli będzie zagrożenie, będziemy reagować – powiedział Kałabuchow. Serbski członek trójstronnego prezydium BiH, Milorad Dodik, zagroził, że Republika Serbska, jeden z dwóch podmiotów tworzących kraj, odłączy się, jeśli drugi człon, czyli Federacja Bośni i Hercegowiny będzie za wejściem do NATO.

Front wojny z Zachodem

Najważniejszym bowiem celem Rosji jest zatrzymanie rozszerzania się UE, a zwłaszcza NATO, na kolejne kraje byłej Jugosławii. Głównym narzędziem zaś jest destabilizowanie regionu poprzez podważanie dotychczasowych pokojowych ustaleń, które zapadły głównie za sprawą Zachodu (obecne granice, model Bośni i Hercegowiny ustalony w Dayton w 1995 roku, niepodległe Kosowo). Dla Putina kraje byłej Jugosławii to kolejny front zimnej wojny prowadzonej z Zachodem. Obszar, gdzie Rosja ma potencjał zaszkodzenia, osłabienia NATO i UE. Podobnie jak w przypadku strategii Kremla na Kaukazie, celem Rosji na Bałkanach jest zwiększanie napięcia, skłócanie sąsiadów i wywołanie konfliktów, tak by to Moskwa mogła stać się jedynym mediatorem i gwarantem bezpieczeństwa w regionie. Jednocześnie Rosja chce pokazać, że ani NATO, ani UE, ani ich członkowie nie są wiarygodnymi partnerami dla żadnego z państw bałkańskich.

Słaba reakcja Brukseli znacznie ułatwia działania Rosji. Pomimo wielu lat i miliardów euro wydanych na przygotowanie regionu do integracji z UE, wysiłki te utknęły w martwym punkcie. UE nie rozszerzyła się od czasu przyjęcia Chorwacji w 2013 roku i mimo obietnic członkostwa dla „szóstki z Bałkanów Zachodnich" – Albanii, Bośni, Kosowa, Czarnogóry, Macedonii Północnej i Serbii – rozmowy praktycznie zamarły. Moskwa postrzega Bałkany jako miękkie podbrzusze Europy: jej rosnące wpływy w tym regionie grożą umieszczeniem rosyjskich strategicznych zasobów wojskowych w pobliżu głównej bazy USA na Starym Kontynencie (Neapol) i uzyskaniem dostępu do Morza Adriatyckiego. W jednym z ujawnionych dokumentów macedońskiego kontrwywiadu znajduje się zapis rozmowy z 7 kwietnia 2017 roku między rosyjskim ambasadorem Olegiem Szczerbakiem a wysokim urzędnikiem macedońskiego MSZ Nenadem Kolevem. Rosjanin przyznaje, że celem Moskwy jest „budowa pasa neutralnych krajów na Bałkanach". Konkretnie chodzi o Serbię, Czarnogórę, Bośnię i Hercegowinę oraz Macedonię Północną. Po pięciu latach widać, że nie wszystko Rosjanom wychodzi. Czarnogóra wstąpiła do NATO (nie pomogła próba puczu na jesieni ubiegłego roku), zaś w Macedonii skompromitowana prorosyjska centroprawica musiała oddać władzę koalicji lewicy i Albańczyków. W tym drugim przypadku nie pomogła szeroko zakrojona operacja prowadzona przez rosyjskie i serbskie służby specjalne. Jednak Moskwa nie składa broni, nawet jeśli Czarnogóra i Macedonia Północna są w NATO, to przecież można próbować uczynić je „koniem trojańskim" w Sojuszu. Prorosyjskie siły są silne i w Podgoricy, i w Skopje. Ale co najważniejsze, Rosja umacnia wciąż swój „serbski bastion" w samym sercu Zachodnich Bałkanów i w sprzyjającej chwili może go wykorzystać. ■

Dla Putina kraje byłej Jugosławii to kolejny front zimnej wojny prowadzonej z Zachodem. Obszar, gdzie Rosja ma potencjał zaszkodzenia, osłabienia NATO i UE.

eprasa.pl 9d46fba629

FOT. CAROLINE BREHMAN/PAP/EPA

Hanna Shen

Jak chińscy komuniści walczą z wrogami

W ostatnich miesiącach w USA doszło do dwóch ataków na przeciwników komunistycznego reżimu w Pekinie. Zbrodnie wywołały dyskusje na temat zagrożenia ze strony zakładanych przez Chińczyków na Zachodzie organizacji działających w imieniu Komunistycznej Partii Chin w celu wywierania nacisków i uciszania jej krytyków.

eprasa.pl 9d46fba629

15 maja bieżącego roku miał miejsce atak na kościół protestancki tajwańskiej społeczności w Laguna Woods w hrabstwie Orange w stanie Kalifornia. Napastnik zablokował od wewnątrz drzwi świątyni i ukrył w niej bomby zapalające, po czym zaczął strzelać do zgromadzonych w świątyni w większości starszych wiernych tajwańskiego pochodzenia. W wyniku ataku zginęła jedna osoba, a pięć zostało rannych.

Akt nienawiści

Śmierć poniósł lekarz John Cheng, który próbował zatrzymać sprawcę. Według Dona Barnesa, szeryfa hrabstwa Orange, Cheng rzucając się na napastnika, umożliwił pozostałym osobom obalenie i rozbrojenie atakującego. „Nie ma wątpliwości, że bez wyczynu dr. Chenga ta zbrodnia pochłonęłaby wiele więcej ofiar" – stwierdził szeryf.

Sprawca ataku to 68-letni David Chou (Zhou Wenwei). Urodził się na Tajwanie, ale w dokumentach, jakie wypełniał, będąc w USA, zawsze określał się jako Chińczyk, a jako miejsce urodzenia podawał Chiny.

Według szeryfa Barnesa, strzelanina była „aktem nienawiści motywowanym politycznie", a cel ataku stanowiła „społeczność tajwańska". Wszystko wskazuje na to, że zbrodnia była dobrze zaplanowana. Chou na stałe mieszkający w Las Vegas, w dniu ataku po czterech godzinach podróży samochodem przybył do świątyni, w której spotykają się Tajwańczycy. Kościół znany jest ze wsparcia dla idei niepodległości Tajwanu i antykomunistycznego nastawienia. W niedzielę w nabożeństwie biorą udział głównie starsze osoby, zatem można było zakładać, iż będą one łatwiejszym obiektem ataku.

Prokurator okręgowy hrabstwa Orange Todd Spitzer wskazał, że Chou chciał zabić jak najwięcej ludzi. „Miał do tego amunicję. Miał do tego broń. I miał do tego odpowiednie przeszkolenie" – stwierdził Spitzer.

Zbrodnia z KPCh w tle

David Chou to tzw. waishengren (tzn. urodzeni na zewnątrz) w drugim pokoleniu. Na Tajwanie określa się tak tych, którzy przybyli z Chin na Tajwan wraz z Czang Kaj-szekiem w 1949 roku lub ich dzieci (drugie pokolenie).

W ostatnich wyborach prezydenckich na Tajwanie Chou bardzo mocno popierał kandydata Kuomintangu Han Kuo-yu, zwolennika zjednoczenia Tajwanu z komunistycznymi Chinami. Han był wręcz określany jako pionek w rękach Komunistycznej Partii Chin (KPCh). W internecie znaleziono zdjęcie z 2019 roku z czasu kampanii wyborczej, gdzie Chou stoi obok plakatu promującego Han Kuo-yu. Jedno z haseł umieszczonych na banerze mówi o „eksterminacji potworów niepodległości" (tj. zwolenników niepodległości Tajwanu). Spotkanie, na którym został sfotografowany David Chou, było zorganizowane przez Stowarzyszenie na rzecz Pokojowego Zjednoczenia Chin, działającego w Stanach Zjednoczonych. Chou jest członkiem tej organizacji. Na jej czele stoi Wang Yang, członek Politbiura KPCh i przewodniczący Ludowo-Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin, która pełni rolę doradczą wobec KPCh.

W USA za prezydentury Donalda Trumpa stowarzyszenie zostało zakwalifikowane przez Departament Stanu jako „zagraniczna misja ChRL". Prawo USA określa misję zagraniczną jako „dowolną misję lub podmiot w Stanach Zjednoczonych, który jest zaangażowany w działalność dyplomatyczną, konsularną lub inną, która jest zasadniczo własnością lub jest skutecznie kontrolowana przez obcy rząd, lub organizację reprezentującą terytorium lub podmiot polityczny, któremu przyznano dyplomatyczne lub inne oficjalne przywileje i immunitety zgodnie z prawem Stanów Zjednoczonych".

Stowarzyszenie stanowi część chińskiego Zjednoczonego Frontu (ZF).

Zjednoczony Front komunistów

Pierwotnie termin Zjednoczony Front odnosił się do sojuszu chińskich komunistów i nacjonalistów stworzonego w celu stawienia czoła wspólnemu japońskiemu wrogowi w czasie II wojny światowej. Dziś polega przede wszystkim na „mobilizowaniu przyjaciół partii do uderzenia w jej wrogów". Jest to koncepcja rozwinięta przez Mao Zedonga, ale pierwotnie opracowana przez Lenina w jego eseju „Dziecięca choroba »lewicowości« w komunizmie" (1920). Krytykuje on w nim komunistów, którzy w imię czystości ideologicznej odmawiają wykorzystywania platform oferowanych w demokracjach parlamentarnych.

Głównym zadaniem chińskiego Zjednoczonego Frontu jest, jak piszą autorzy raportu francuskiego think tanku Instytutu Badań Strategicznych Szkoły Wojskowej (IRSEM)[1], „identyfikowanie i klasyfikowanie celów i wrogów Partii". Są dwa rodzaje wrogów KPCh: ci, z którymi trzeba tylko walczyć, i ci, z którymi można się sprzymierzyć przed walką z nimi. Praca ZF polega na budowaniu poparcia dla reżimu komunistycznego, oddziaływaniu na osobistości, które same są wpływowe w swojej dziedzinie lub w danym kraju, szukaniu kontroli nad grupami niszczącymi autorytet Partii, zbieraniu informacji wywiadowczych oraz eliminacji lub przynajmniej zakłóceniu działalności wrogów KPCh.

Są trzy główne rodzaje operacji stosowanych przez Zjednoczony Front. Pierwszy to mobilizowanie chińskiej diaspory. Chińczycy mieszkający w innych krajach są instrumenta-

[1] Opublikowany we wrześniu w 2021 roku 650-stronicowy raport pt. „Chińskie operacje wpływu – moment Machiavellego" określany jest jako jedna z najbardziej obszernych analiz chińskich machin propagandy i wpływów.

eprasa.pl 9d46fba629

mi do wywierania presji na rząd, którego polityka jest sprzeczna z interesami Partii, na przykład popieranie Tajwanu. Drugi rodzaj operacji to kontrolowanie narracji o Chinach. Celem działań ZF jest, by wszędzie na świecie i we wszystkich językach „sposób, w jaki media, dziennikarze, autorzy, redakcje, badacze, nauczyciele itd. opisują Chiny, był zgodny z interesami Partii, w szczególności w najbardziej drażliwych tematach, takich jak »pięć trucizn« (Ujgurowie, Tybetańczycy, Falun Gong, działacze na rzecz demokracji, tajwańscy separatyści)". Trzeci rodzaj operacji to budowanie baz danych o politykach, osobach publicznych i na przykład studentach. „Gromadzenie danych odbywa się za pomocą szpiegowania oraz poprzez planową kooptację, udział w budowaniu infrastruktury i nowe technologie.

Celem należącego do Zjednoczonego Frontu Stowarzyszenia na rzecz Pokojowego Zjednoczenia Chin jest promowanie idei aneksji Tajwanu.

Atak na dysydenta

Zaraz po ataku na Tajwańczyków w kościele w Kalifornii chiński dysydent i główny organizator protestów studentów na placu Niebiańskiego Spokoju (Tiananmen) w Pekinie w 1989 roku Wang Dan zauważył, że zbrodnia ta miała miejsce kilka tygodni po innym morderstwie, którego ofiarą padł także wróg KPCh. W marcu bieżącego roku w Nowym Jorku zmarł od ran zadanych nożem 66-letni Li Jinjina. Li był w USA prawnikiem imigracyjnym. Wcześniej w Chinach brał udział w proteście na placu Tiananmen w 1989 roku. Aresztowany, spędził w więzieniu 2 lata, a następnie wyjechał do USA, gdzie rozpoczął studia prawnicze. W Stanach Li kontynuował działalność prodemokratyczną, w tym pomagał chińskim uciekinierom, którym groziła deportacja do Chin, bo KPCh wykorzystywała Interpol do ścigania swoich wrogów politycznych[2].

Zabójstwa prawnika dokonała 25-letnia Chinka Zhang Xiaoning. Na miejscu zbrodni kobieta pozostawiła flagę komunistycznych Chin. Zhang przybyła do USA w 2021 roku na podstawie wizy studenckiej, ale nigdy nie rozpoczęła zajęć na uczelni. Pojawiała się za to na różnych spotkaniach organizowanych przez chińskich dysydentów w USA.

Gdy Chinka zjawiła się w biurze Li Jinjina, zażądała od niego pomocy w uzyskaniu azylu w USA. Prawnik nie podjął się tej sprawy, mimo że prawie nigdy nie odmawiał swoim rodakom. Jak twierdzą jego przyjaciele, często pomagał chińskim imigrantom *pro bono*. W tym przypadku miał prawdopodobnie przeczucie lub dowody, że cała sprawa jest szyta grubymi nićmi i może być to prowokacja KPCh.

Po aresztowaniu wyprowadzana z komisariatu policji Zhang krzyczała do tłumu, że są zdrajcami działającymi przeciwko KPCh. Sprawa przeciwko Zhang toczy się w tej chwili w amerykańskim sądzie, ale wielu z chińskich dysydentów uważa, że za atakiem na Li Jinjina stoi KPCh.

Wang Dan zwrócił uwagę, że obie te zbrodnie – atak na Tajwańczyków w kościele w Laguna Woods i zabójstwo chińskiego prawnika – mają wyraźne motywy polityczne. A przyjaciel Li Jinjina, prawnik Ye Ning, mówi jasno, że w zabójstwo Li były zaangażowane siły obce. Ye uważa, że zbrodnia ta była bardzo dokładnie zaplanowana przez KPCh z pomocą podporządkowanych jej organizacji na terenie USA, a jej celem jest zastraszenie innych chińskich dysydentów. Według Ye „życie i bezpieczeństwo chińskich działaczy na rzecz demokracji w Stanach Zjednoczonych jest poważnie zagrożone, a działalność terrorystyczna prowadzona przez KPCh w Stanach Zjednoczonych staje się coraz bardziej agresywna".

Komuniści – terroryści

Kilka godzin po ataku na tajwańską społeczność w kościele w Kalifornii, Formosan Association for Public Affair (FAPA), organizacja z główną siedzibą w Waszyngtonie promująca głębszą współpracę pomiędzy Tajwanem i USA, a także ideę niepodległości Tajwanu, wezwała władze Stanów Zjednoczonych do uznania chińskich grup działających na terenie USA, takich jak Stowarzyszenie na rzecz Pokojowego Zjednoczenia Chin, za organizacje terrorystyczne.

W ostatnich latach w USA zwrócono uwagę na niebezpieczną działalność innej organizacji podporządkowanej KPCh, Instytutów Konfucjusza (IK). Administracja Trumpa uznała je za tzw. zagranicznego agenta[3], twierdząc, że przyczyniają się one do rozprzestrzeniania propagandy chińskiego rządu i wywierają „szkodliwy" wpływu na studentów. „Instytuty Konfucjusza są częścią globalnych działań Komunistycznej Partii Chin i jej aparatu propagandy" – napisano wtedy w oświadczeniu Departamentu Stanu.

Amerykańskie uczelnie zaczęły rezygnować ze współpracy z IK. Do kwietniu tego roku w Stanach Zjednoczonych zamkniętych zostało około 90 Instytutów Konfucjusza. Działa nadal około 18, z czego cztery już zapowiedziały zamknięcie w drugiej połowie bieżącego roku.

Dziś tajwańska społeczność w USA i chińscy dysydenci apelują, by podjąć podobne kroki ograniczenia działalności wobec organizacji takich jak Stowarzyszenie na rzecz Pokojowego Zjednoczenia Chin. Ta agenda KPCh działa nie tylko w USA, gdzie już dopuszcza się aktów terrorystycznych. Prowadzi ona swoją działalność także m.in. w Kanadzie, Japonii, Australii, Niemczech, a także od 2014 roku w Polsce. ■

[2] Interpol jest jedną z międzynarodowych organizacji, w której Chiny mają bardzo duże wpływy. W latach 2016–2018 szefem Interpolu był wiceminister bezpieczeństwa publicznego ChRL Meng Hongwei.

[3] Podobny status w USA mają m.in. rosyjska stacja Russia Today czy chińska gazeta „China Daily".

eprasa.pl 9d46fba629

Olga Doleśniak-Harczuk

Ksiądz Rothe to zaledwie zwiastun

To nie będzie tekst o procesie ks. Dariusza Oko, o ugodzie zawartej w Kolonii i o tym, jak to możliwe, że katolicki ksiądz z Niemiec oskarżył katolickiego duchownego z Polski o podżeganie do nienawiści do osób homoseksualnych. W momencie, gdy sięgną Państwo po czerwcowy numer „Nowego Państwa", od procesu miną już blisko dwa tygodnie, ale od tegorocznych „Dni Niemieckich Katolików" zaledwie dni kilka. Jeżeli ktoś chce zrozumieć, co motywuje księży takich jak Wolfgang Rothe, powinien zerknąć do programu tegorocznych dni katolików.

eprasa.pl 9d46fba629

Archidiecezja Fryburga Bryzgowijskiego licząca 1061 parafii i 1042 kapłanów (swoją drogą intrygujące) to potężny aparat biurokratyczno-administracyjny. Na tyle rozbudowany, że ma nawet specjalny referat ds. kobiet, mężczyzn i gender. I ten referat z myślą o tegorocznych Dniach Niemieckich Katolików (25–29 maja) przygotował jeden z paneli poświęcony równości. Sam referat ma zakładkę na stronie archidiecezji zaczynający się od fragmentu „Listu do Galatów": „Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie" (Ga 3,28).

Podpierając się „Listem do Galatów"

Z takim przesłaniem się nie dyskutuje. I większość niemieckich katolików tego nie robi. Jeżeli sama archidiecezja uzasadniając powody powołania jednostki specjalnej ds. gender odwołuje się do „Listu do Galatów", to zapewne ma podstawy, by interpretować go właśnie tak, jak życzą sobie fa-

Gender i nowa prawica, kobiety do władzy, mężczyźni do drugiego rzędu! Ostatnia nadzieja czy wielkie oszustwo – czego osoby LGBTQ mogą oczekiwać po drodze synodalnej? To tylko część tematów dyskusji panelowych zaplanowanych na katolickie spotkania.

ni drogi synodalnej z przyległościami. I z tym również nie dyskutuje nikt poza garstką konserwatystów kościelnych uznawanych przez liberalną większość za „wiecznie wczorajszych". Kiedy w przerwie procesu ks. prof. Dariusza Oko rozmawiałam z oskarżającym go o homofobię i podżeganie do nienawiści ks. Wolfgangiem Rothe, bez mrugnięcia powieką niemiecki kapłan zrugał wszystkich, którzy sprzeciwiają się udzielaniu błogosławieństwa parom jednopłciowym, i zapowiedział, że jeżeli uda się przeforsować ten pomysł w Watykanie, to następnymi krokami będą małżeństwa homoseksualne postawione na równi z tradycyjną rodziną oraz adopcją dzieci. Rothe narzekał na „homofobiczne głosy z Watykanu" i wyraził nadzieję, że niemiecka droga synodalna przywróci sprawom ich – z jego punktu widzenia – właściwy wymiar. Dwa dni później w wywiadzie udzielonym rozgłośni Deutschlandfunk już nie szeregowy ksiądz niemieckiego Kościoła katolickiego, lecz sam przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, biskup diecezjalny Limburga Georg Bätzing, ubolewał, że papież Franciszek rozczarowuje go pewną opieszałością we wdrożeniu niemieckich pomysłów na reformę Kościoła, ale jednocześnie łagodzi nieco swoją diagnozę dodając: „Przyznaję, że papież mnie też rozczarowuje, ale w sensie pewnego złudzenia. Papież w Kościele katolickim, przy całym wachlarzu przysługujących mu praw, nie jest tym, który mógłby postawić Kościół stojący na głowie na nogi, czego my sobie życzymy. Robi, co może. Inicjuje proces, który pozwoli położyć wszystkie te sprawy na stole. W kwestiach światowego synodu 2023 roku i na pytania typu: »Czy mogą w nim wziąć udział również grupy LGBTQ«, papież zawsze odpowiada – wszyscy".

I znowu o „strefach wolnych od LGBT"

Tyle na ten temat biskup Bätzing. A przecież takich biskupów rozczarowanych „opieszałością papieża" jest w niemieckim Kościele katolickim wielu. A o tym, jak głęboko to rozczarowanie weszło w sojusz z determinacją wdrożenia zmian, świadczy program Dni Niemieckich Katolików.

Różnorodny Kościół. To tylko marzenie? Gender i nowa prawica (w sensie gender i neonaziści), kobiety do władzy, mężczyźni do drugiego rzędu! Ostatnia nadzieja czy wielkie oszustwo – czego osoby LGBTQ mogą oczekiwać po drodze synodalnej? Strefy wolne od LGBT w Europie Centralnej. Czy Wschód i Zachód mogą się jeszcze porozumieć? Jak Bóg nas stworzył – kobiety opowiadają o swoim powołaniu do kapłaństwa. To tylko część tematów dyskusji panelowych zaplanowanych na katolickie spotkania. Przy takiej kumulacji i twórczym fermencie postawa ks. Rothe przestaje być czymś szokującym, a staje się logicznie pasującym elementem większej całości. Szerokiego spektrum oczekiwań, żądań, pragnienia przewrotu struktur kościelnych, które zwolennikom drogi synodalnej jawią się jako absolutnie skostniałe i wymagające naprawy. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Południowa

10 maja miała miejsce inauguracja nowego prezydenta Korei Południowej, konserwatysty Yoona Suk-yeola. Yoon objął urząd w momencie toczącego się rosyjskiego ataku na Ukrainę, eskalacji zagrożenia nuklearnego ze strony Korei Północnej i rosnących tarć między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. W mowie inauguracyjnej Yoon obiecał sprostać tym wyzwaniom, stając w obronie wartości takich jak „wolność" i „liberalna demokracja". Nowy prezydent zapowiedział też „przedstawienie śmiałego planu, który znacznie wzmocni gospodarkę sąsiedniej Korei Płn. i poprawi jakość życia jej mieszkańców". Dodał, że wprowadzenie takiego planu będzie możliwe tylko wtedy, „gdy Korea Płn. rzeczywiście rozpocznie proces całkowitej denuklearyzacji". „Drzwi do dialogu pozostaną otwarte, abyśmy mogli pokojowo rozwiązać to zagrożenie" – powiedział Yoon.

Yoon zapowiedział również ostrzejszą politykę wobec Chin i zwiększenie współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Nowy prezydent planuje m.in. rozbudowę amerykańskiego systemu antyrakietowego THAAD, co z pewnością wywoła protesty w Pekinie. Analitycy uważają, że w odróżnieniu do swojego poprzednika Yoon nie będzie też milczał w temacie łamania przez Komunistyczną Partię Chin swobód obywatelskich w Hongkongu i Xinjiangu. Seul będzie także popierać Waszyngton w polityce wobec Rosji. Nowy prezydent Korei Płd. zapowiedział większe wsparcie dla „narodu ukraińskiego cierpiącego z powodu rosyjskiej inwazji na ich kraj". Mówi się, że wojna w Ukrainie da także rządowi Yoona większe uzasadnienie dla wzmocnienia zdolności obronnych i odstraszania Korei Płd..

Kilka dni po inauguracji Yoona, Korea Płd. dołączyła do jednej z międzynarodowych inicjatyw wymierzonych w Pekin i Moskwę. Seul wspólnie z Japonią, Stanami Zjednoczonymi i czterema innymi członkami Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) uzgodniły stworzenie nowych ram przekazywania danych osobowych, niezależnie od tych istniejących już ram w APEC, tak aby wykluczyć Chiny i Rosję, które są członkami wspólnoty.

Nowo wybrany prezydent Korei Płd. 58-letni Yoon Suk-yeol przez ostatnie 27 lat pracował jako prokurator. W dzieciństwie uczęszczał do szkoły podstawowej prowadzonej przez protestanckich misjonarzy i zanim rozpoczął studia prawnicze, rozważał zostanie pastorem.

Hongkong

11 maja na polecenie Pekinu, Biuro Bezpieczeństwa Państwowego w Hongkongu aresztowało 90-letniego emerytowanego biskupa Hongkongu kard. Josepha Zena pod pretekstem złamania, w zmowie z siłami zagranicznymi, prawa Hongkongu dotyczącego bezpieczeństwa narodowego. Duchowny został zatrzymany wraz z trzema innymi Hongkończykami: popularną piosenkarką Denise Ho, jedną z czołowych adwokatów Hongkongu i byłą deputowaną Margaret Ng oraz prof. Hui Po-keung. Wszyscy oni pełnili funkcję powierników Funduszu Pomocy Humanitarnej 612, utworzonego w 2019 roku w celu niesienia pomocy prawnej, finansowej i medycznej osobom aresztowanym podczas demonstracji prodemokratycznych w Hongkongu. Cała czwórka została zwolniona za kaucją po kilku godzinach przetrzymywania, ale sprawa nie jest zamknięta i 90-letni duchowny może ponownie trafić do więzienia.

Nazywany „sumieniem Hongkongu" kardynał Zen uciekł z Szanghaju do Hongkongu po tym, jak komuniści przejęli Chiny ponad 70 lat temu. Od dawna kry-

eprasa.pl 9d46fba629

tykuje rząd w Pekinie, upomina się o los katolików w Chinach i wspiera większą demokratyzację Hongkongu. Duchowny jest też przeciwnikiem tajnego porozumienia zawartego przez Watykan i Pekin w 2018 roku.

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej" z lipca 2020 roku kardynał tak określił tę umowę: „To smutne. Muszę to powiedzieć: to jest zdrada Kościoła w Chinach. Zabito prawdziwy Kościół w Chinach. Zabito Kościół podziemny. A u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach są oportuniści. Słuchają tylko komunistycznego rządu".

Mark Simon, wieloletni dyrektor hongkońskiej grupy medialnej Next Media, w komentarzu dla „The Washington Post" napisał, że obok dalajlamy, kard. Zen jest najbardziej znienawidzonym przez chińskich komunistów duchownym. „Częścią tego, co sprawia, że Zen jest tak niebezpieczny dla reżimu, są jego moralna klarowność, odwaga i siła świadectwa" – twierdzi Simon.

Aresztowanie hongkońskiego duchownego ostro skrytykował kard. Charles Maung Bo, przewodniczący Federacji Konferencji Episkopatów Azji i arcybiskup Rangunu. „Hongkong był kiedyś jednym z najbardziej wolnych i najbardziej otwartych miast Azji. Dzisiaj został przekształcony w państwo policyjne" – napisał kard. Bo w specjalnie wydanym oświadczeniu.

Mówiąc o represyjnej polityce przyjętej przez władze Hongkongu na polecenie chińskiego rządu, arcybiskup Rangunu wyraził głębokie zaniepokojenie brakiem poszanowania praw człowieka i zagrożeniami dla wolności religijnej w byłej kolonii brytyjskiej.

Słabnąca wolność religijna w Hongkongu powoduje, że tamtejsi katolicy coraz częściej trafiają do więzienia. W kwietniu 2021 roku na 14 miesięcy więzienia za udział w nielegalnym zgromadzeniu skazany został Jimmy Lai, założyciel największej gazety w Hongkongu „Apple Daily". Miesiąc później Lai usłyszał wyrok dodatkowych 14 miesięcy pozbawienia wolności za swoją rolę w innym nieautoryzowanym zgromadzeniu w 2019 roku. Oba wyroki zmieniono na łączną karę 20 miesięcy pozbawienia wolności. 9 grudnia 2021 roku Lai został skazany na kolejne 13 miesięcy za udział w zakazanym modlitewnym czuwaniu przy świecach, upamiętniającym masakrę na placu Tiananmen w Pekinie w 1989 roku. Jimmy Lai przebywa w więzieniu od grudnia 2020 roku.

W czerwcu ubiegłego roku więzienie opuściła 25-letnia Agnes Chow, katolicka działaczka na rzecz demokracji. Chou spędziła sześć miesięcy w areszcie za udział w „bezprawnym" zgromadzeniu w 2019 roku. Kobieta mówi o sobie, że pochodzi z „niepolitycznej" rodziny. Gdy w 2012 roku zobaczyła w mediach społecznościowych informację o uczniach protestujących przeciwko tzw. patriotycznej edukacji, będącej w rzeczywistości próbą komunistycznej indoktrynacji, którą Pekin starał się narzucić szkołom w Hongkongu, zdecydowała się dołączyć do protestujących nastolatków. „Jestem katoliczką i uważam, że moja religia ma wpływ na mój udział w ruchach społecznych" – powiedziała w wywiadzie z 2019 roku. „Wiara i to, czego uczy nas nasza religia i Biblia, daje nam odwagę do walki o wolność i prawa dla ludności Hongkongu".

▶ Sri Lanka

Fala protestów, którą wywołał kryzys gospodarczy, doprowadziła do dymisji premiera Sri Lanki Mahindy Rajapaksy. Mieszkańcy Sri Lanki wyszli na ulice w wyniku niezadowolenia z gwałtownie rosnących cen żywności, braku podstawowych produktów, takich jak cukier i mleko w proszku, niedoboru benzyny, oleju napędowego, gazu do gotowania i kłopotów z dostawami elektryczności oraz leków. Wśród przyczyn kryzysu ekonomiści wymieniają trwające od kilkunastu lat niezrównoważone zadłużanie kraju zwłaszcza u Chin. Sri Lanka wpadła w tzw. chińską pułapkę zadłużania, polegającą na usidlaniu krajów rozwijających się za pomocą ogromnych pożyczek udzielanych w ramach chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku. Doskonałym przykładem jest tu 99-letnia dzierżawa przyznana Chinom w 2017 roku na użytkowanie portu Hambantota na południu Sri Lanki w zamian za umorzenie zadłużenia. Obok portu znajduje się kolejna ekstrawagancka inwestycja wspierana przez Chińczyków: centrum konferencyjne za 15,5 mln dolarów, które jest w dużej mierze nieużywane od momentu otwarcia. W pobliżu znajduje się też lotnisko Rajapaksa, zbudowane dzięki chińskiej pożyczce w wysokości 200 mln dolarów, które jest prawie nieużywane, bo nie ma środków na pokrycie rachunków za energię elektryczną.

Według rządu Sri Lanki dług tego kraju wobec Chin stanowi około 10 proc. całkowitego zadłużenia zagranicznego i jest mniej więcej na tym samym poziomie co dług wobec Japonii. Eksperci twierdzą jednak, że dane te obejmują tylko pożyczki od rządu chińskiego, a nie obejmują zadłużenia wobec chińskich przedsiębiorstw państwowych. Oprocentowanie tych pożyczek jest dużo wyższe, a projekty często opierają się na nadmiernie optymistycznych scenariuszach zysków.

Do złego stanu państwowych finansów Sri Lanki przyczyniły się także pandemia i rosyjska wojna w Ukrainie. W połowie kwietnia szef banku centralnego ogłosił, że Sri Lanka nie jest w stanie spłacać swojego zadłużenia. Trwają negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym w sprawie możliwego planu pomocowego. ■

eprasa.pl 9d46fba629

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Jak wygląda rosyjska partia wojny?

Andriej Percew pisze o głównych cechach i celach rosyjskich „jastrzębi" w polityce Rosji. Artykuł został opublikowany 25 kwietnia na portalu Riddle.io.

Od czasu inwazji Rosji na Ukrainę rosyjska elita podzieliła się na trzy główne grupy przejawiające różne postawy wobec wojny. Największą z nich jest „partia milczenia", która reprezentuje większość najwyższych urzędników federalnych, szefów korporacji państwowych i przedsiębiorstw państwowych. Zdają sobie oni sprawę z katastrofalnych skutków gospodarczych inwazji, ale nie są w stanie przeciwstawić się prezydentowi Władimirowi Putinowi. Niewielka „partia pokoju" jest reprezentowana przez oligarchów, którzy zyskali wpływy za czasów Borysa Jelcyna. Roman Abramowicz, Oleg Deripaska, Michaił Fridman i Władimir Lisin posuwają się nawet do wezwań do zakończenia wojny. Najgłośniejsza i najbardziej zauważalna jest jednak „partia wojny", opowiadająca się za eskalacją konfliktu.

Kogo znajdziemy w partii wojny

Partię wojny reprezentują: szef Republiki Czeczeńskiej Ramzan Kadyrow, wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Dmitrij Miedwiediew, przewodniczący Dumy Państwowej Wiaczesław Wołodin, dyrektor generalny Roskosmosu Dmitrij Rogozin, sekretarz Rady Ogólnej Jednej Rosji Andriej Turczak oraz biznesmen Jewgienij Prigożin. W skład tego stada wchodzi również Aleksiej Gromow, pierwszy zastępca szefa administracji prezydenckiej. Gromow nie jest osobą publiczną, ale jego przekonania można poznać, obserwując osoby z jego bliskiego otoczenia, na przykład redaktor naczelną RT Margaritę Simonjan i jej podwładnych, którzy zajmują jastrzębie stanowisko. Partia wojenna nie ma hierarchii, a jej członkowie są albo niespokrewnieni, albo skłóceni ze sobą, jak Wołodin i Turczak. Mimo to wszyscy jej przedstawiciele zajmują podobne miejsca w piramidzie władzy w Rosji i dążą do tego samego celu, mając na uwadze jednego adresata – Putina. Warto przyjrzeć się bliżej tej partii także dlatego, że jej członkowie wyraźnie aspirują i mogą osiągnąć awans zawodowy, niezależnie od tego, czy reżim Putina przetrwa, czy nie.

Partia wojny udowadnia swoją wojowniczość słowem i czynem. Jej najbardziej radykalni przedstawiciele na arenie publicznej to Kadyrow i Turczak. Obaj politycy odwiedzili Ukrainę: Kadyrow spotkał się z czeczeńskimi bojownikami biorącymi udział w inwazji, a Turczak wywieszał w ukraińskich miastach i wsiach rosyjskie flagi i transparenty zwycięstwa. Żaden z nich nie unikał komentarzy na temat wojny, a obaj krytykowali rzecznika prezydenta Dmitrija Pieskowa za zbytnie niezdecydowanie. Zarówno Kadyrowa, jak i Turczaka można określić jako awangardę partii wojny, ludzi, którzy nie wahają się atakować członków partii pokoju czy partii milczenia, niezależnie od ich statusu czy rangi.

eprasa.pl 9d46fba629

Obecność partii wojny w mediach jest zapewniona przez Miedwiediewa, Wołodina i Rogozina. Regularnie wygłaszają oni publiczne oświadczenia i w pewnym sensie nadają ton nowemu stylowi autoprezentacji rosyjskiej elity, który zakłada przekształcenie jej przedstawicieli w dobrowolnych propagandystów, błaznów dworu prezydenckiego. Przemówienia Rogozina, Wołodina i Miedwiediewa podsycają w społeczeństwie nastroje antyzachodnie. Stanowią one dodatkowe wzmocnienie pozycji Putina. Dlatego czuje on, że może podnieść stawkę. Gromow, strażnik kremlowskich mediów, działa w podobny sposób, ale nie działa sam. Do eskalacji wojny wzywają gospodarze telewizyjni i uczestnicy wydarzeń, a także redaktor naczelny RT, Simonjan.

Kadyrow jest uwięziony w hierarchii administracyjnej. Z jednej strony boi się odejść ze stanowiska przywódcy Republiki Czeczeńskiej, ponieważ ma tam wolną rękę. Z drugiej strony, z pewnością nie miałby nic przeciwko otrzymaniu przyzwoitej funkcji w jednym z federalnych organów. Prawdziwy rozwój kariery na szczeblu federalnym uniemożliwiali mu siłowicy, z których wielu było bezpośrednio zaangażowanych w wojny w Czeczenii. W oczach Putina Kadyrow zyskał nowy status – wojownika, który poszedł na linię frontu i dobrze odegrał swoją rolę. Na tym tle intencje siłowików mogą być nieistotne.

Przed wojną perspektywy kariery Turczaka, sekretarza Rady Naczelnej Jednej Rosji i pierwszego zastępcy przewodniczącego Rady Federacji, były nikłe. Krążyły pogłoski, że może zostać gubernatorem Petersburga i to wydawało się szczytem jego możliwej kariery. Po inwazji uzbroił się w agresywną retorykę i dosłownie poszedł na linię frontu. Sądząc po jego postawie, Turczak wyraźnie oczekuje awansu, być może na stanowisko pierwszego zastępcy szefa lub nawet szefa prezydenckiej administracji.

Przed wojną stanowisko przewodniczącego Dumy Państwowej było postrzegane jako szczyt kariery Wołodina. Dobrze czuł się na tym stanowisku, dostosowywał aparat Dumy do swoich potrzeb i kontrolował Jedną Rosję. Wiosną ubiegłego roku pojawili się jednak inni kandydaci na stanowisko przewodniczącego Dumy Państwowej – Aleksiej Gordiejew, były wicepremier, i sam Miedwiediew. Wołodin utrzymał swoje stanowisko dzięki zamrożeniu awansów, ale jego rola została znacznie osłabiona i nie było dla niego perspektyw na awans przed wojną.

Dyrektor generalny Roskosmosu, Rogozin, również odnotował zastój w swojej karierze. Przed objęciem stanowiska w państwowej korporacji był wicepremierem. Wcześniej był stałym przedstawicielem Rosji przy NATO. Inne osoby, takie jak biznesmen

PARTIA WOJNY UDOWADNIA SWOJĄ WOJOWNICZOŚĆ SŁOWEM I CZYNEM. JEJ NAJBARDZIEJ RADYKALNI PRZEDSTAWICIELE NA ARENIE PUBLICZNEJ TO KADYROW I TURCZAK.

Na ostatnim szczeblu kariery

Członkowie partii wojny mają kilka cech wspólnych, które w dużej mierze determinują ich zachowanie. Przede wszystkim wszyscy oni osiągnęli już górny pułap kariery; w pewnym momencie przestali się wspinać po szczeblach awansów i poruszają się wyłącznie w poziomie. W epoce przedwojennej mogli się jedynie prześlizgnąć na chwalebne, lecz mało znaczące stanowiska pozbawione uprawnień decyzyjnych.

Jeden z członków partii wojennej, Miedwiediew został najpierw zdegradowany z prezydenta na premiera. Potem, w 2020 roku Miedwiediew, wówczas drugi najwyższy urzędnik w państwie, został zdymisjonowany i powołany na nieokreślone dotąd stanowisko wiceprzewodniczącego Rady Bezpieczeństwa. Podczas kampanii wyborczej do Dumy w 2021 roku Miedwiediewowi nie udało się objąć lidera listy rządzącej Jednej Rosji, co zostało zablokowane przez samego Putina. Teraz wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa może ponownie stać się prezydenckim faworytem, takim jastrzębiem, dla którego Putin mógłby zostawić Rosję.

eprasa.pl 9d46fba629

Prigożin, znany jako „kucharz Putina", również zostały wciągnięte na linię frontu. Mimo mitów o jego wszechmocy, wpływy Prigożina są raczej ograniczone; ma on podpisane kontrakty z instytucjami państwowymi i korporacjami państwowymi na usługi porządkowe, dostarcza też żywność do szkół. Prywatne firmy wojskowe, rzekomo nadzorowane przez biznesmena (sam Prigożin temu zaprzecza), brały udział w konfliktach w Afryce i Syrii, a w latach 2014–2015 walczyły w Donbasie. Ponadto Prigożin kontroluje wiele mediów. Jest dość wpływowy, ale nie tak wpływowy jak biznesmeni z najbliższej świty Putina. Gromow, pierwszy zastępca szefa administracji prezydenckiej, kurator mediów i były attaché prasowy prezydenta, również osiągnął swój pułap w hierarchii.

Nie siedzą cicho

Ponadto członkowie partii wojennej wydają się nie mieć nic do stracenia, jeśli chodzi o majątek. Ich majątki nie są zbyt imponujące, choć z pewnością są bardzo zamożni, czego dowodzą śledztwa prowadzone przez Fundację Antykorupcyjną w sprawie Miedwiediewa, Rogozina i Wołodina. Inną ważną cechą przejawianą przez przedstawicieli partii wojennej jest ambicja. Wszyscy wyżej wymienieni politycy i urzędnicy pragną awansować lub odwrócić tendencję spadkową. Ta kluczowa cecha jest ściśle związana z faktem, że nie mają oni nic do stracenia. W przeciwieństwie do członków partii milczenia, przedstawiciele partii wojny aktywnie zabiegają o swoje interesy i zabierają głos, ponieważ nie mają czego się obawiać.

Wreszcie typowe dla nich jest także publiczne ujawnianie się. Wołodin i Rogozin byli swego czasu odnoszącymi sukcesy osobistościami życia publicznego i politykami. Swoją karierę w dużej mierze zawdzięczają rozgłosowi. Miedwiediew cieszył się rozgłosem podczas swojej prezydentury i premierostwa. Prigożin dość umiejętnie budował swój wizerunek publiczny jako „szarego kardynała" i ultra-patrioty. Turczak stara się być politykiem rozpoznawalnym publicznie. To właśnie sprawia, że głos partii wojennej brzmi tak donośnie. Do partii wojennej stopniowo zaczynają dołączać nowe postaci: ci, którzy wcześniej zachowywali tryb milczenia. Na przykład, w zeszłym tygodniu pierwszy zastępca szefa administracji prezydenta, kurator bloku politycznego Siergiej Kirijenko dużo mówił o „nazizmie" i odwiedził Donbas.

Członkowie partii wojny grają w grę, w której wygrywają wszyscy. Niezależnie od przyszłej sytuacji politycznej w Rosji albo zachowają swoje stanowiska (gdyby nie wojna, zachowaliby je lub zostali zdegradowani), albo awansują.

Trzy scenariusze

Pierwszy i najlepszy scenariusz dla strony wojennej to dalsza eskalacja działań wojennych, oderwanie części Ukrainy przez Rosję lub jej stronników (Donieckiej Republiki Ludowej lub Ługańskiej Republiki Ludowej), ogłoszenie „zwycięstwa" i uznanie tych, którzy się do niego przyczynili. Po zakończeniu wojny system zostanie nieuchronnie zrestrukturyzowany, przywrócony zostanie proces awansu kadr, a politykom i urzędnikom, którzy wysunęli się na czoło (wojskowe lub propagandowe), zostaną zaoferowane nowe możliwości. Putin jest wyraźnie w wojowniczym nastroju i najprawdopodobniej wygrają ci, którzy podzielają jego nastroje.

W przypadku drugiego scenariusza, czyli zawieszenia broni i wycofania wojsk rosyjskich na pozycje *de facto* przedwojenne, członkowie stronnictwa wojennego nie stracą szansy na awans. Poglądy Putina i tak się nie zmienią, tzn. że Ukraina jest antyrosyjska, a NATO nam zagraża i nas okrąża. Politycy, którzy publicznie wyznają te poglądy, nadal będą cieszyć się względami prezydenta. Poza tym podżegacze wojenni zawsze sprawiali, że Putin wyglądał na „jedynego Europejczyka" w rosyjskim rządzie i w ca-

Przemówienia Rogozina, Wołodina i Miedwiediewa podsycają w społeczeństwie nastroje antyzachodnie. Stanowią one dodatkowe wzmocnienie pozycji Putina.

eprasa.pl 9d46fba629

łej Rosji. Głowa państwa i jego otoczenie zawsze dystansowali się od radykalnych wypowiedzi poszczególnych rosyjskich urzędników i deputowanych. Stworzenie wojowniczego tła, na którym Putin wyglądałby jak rozjemca, mogłoby być również opłacalne.

Trzeci scenariusz, który jak na razie nie wydaje się zbyt prawdopodobny, zakłada ustąpienie Putina ze stanowiska prezydenta, zawarcie pokoju z Ukrainą i stopniową demokratyzację rosyjskiego reżimu. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, scenariusz ten otwiera również pole do popisu dla członków partii wojny, jeśli członkowie ścisłego kierownictwa nie zostaną postawieni przed sądem i poddani lustracji. Opozycyjnie nastawiona część społeczeństwa ma skłonność do wybaczania cudzych grzechów. Niektórym autorom opinii, analitykom politycznym i dziennikarzom udało się przez lata zmienić obóz, ale ich opinie nadal mają znaczenie dla publiczności nielojalnej wobec władz. Rosjanie głosują na byłych polityków Jednej Rosji, jeśli ci publicznie zrywają z partią rządzącą i startują jako kandydaci opozycji (na przykład były polityk Jednej Rosji Jewgienij Urlaszow wygrał wybory na burmistrza Jarosławia w 2012 roku). Jest prawdopodobne, że członkom partii wojennej, którzy publicznie wyrzekną się swoich słów (o ile społeczeństwo jeszcze pamięta o tych słowach), zostanie wybaczone i umożliwiona im dalsza kariera polityczna. Ponieważ partia wojenna składa się z doświadczonych polityków, większość z nich ma duże szanse na pozostanie w polityce. Łatwo sobie wyobrazić Wołodina na czele partii umiarkowanie-konserwatywnej, Rogozina na czele prawicowo-nacjonalistycznego projektu, a Miedwiediewa przypominającego o swoich dawnych liberalnych aspiracjach. Możliwe jest również rozwiązanie kwestii zachodnich sankcji. Zarówno członkowie Partii Milczenia, jak i Partii Pokoju znajdują się na listach sankcyjnych. Jeśli te restrykcje zostaną zniesione, to najprawdopodobniej zostaną zniesione dla wszystkich tych, którzy nie byli bezpośrednio zaangażowani w wojnę i wydawanie rozkazów. Jeśli sankcje nie zostaną zniesione, to znów wszyscy pozostaną na listach, niezależnie od tego, czy opowiadali się za eskalacją konfliktu, czy nie.

Putin w narożniku

Tak więc dla niektórych rosyjskich urzędników i polityków przynależność do partii wojennej jest bardzo korzystna. Należy jednak pamiętać, że droga do eskalacji jest drogą osobistych korzyści, a nie korzyści dla całego reżimu Putina, a tym bardziej dla kraju. Podczas gdy kariera Wołodina i Miedwiediewa w przedwojennej Rosji chyliła się ku upadkowi, a Turczak osiągnął pułap swojej kariery, dalsza eskalacja konfliktu odwraca reguły i daje im pole do rozwoju. Oczywiście, gdyby każdy z nich awansował w ramach starego, przedwojennego systemu, mieliby do dyspozycji znacznie większe środki, ale członkowie partii wojennej nie mieli takiej możliwości. W tym sensie eskalacja jest jak ptak w ręku polityków podżegających do wojny. Doprowadzili oni Putina do narożnika: dopóki Rosjanie popierają wojnę lub są na nią obojętni, prezydent nie może okazać słabości. Jeśli partia wojenna podnosi stawkę, on też musi podnieść stawkę.

W przeciwieństwie do członków partii milczenia, przedstawiciele partii wojny aktywnie zabiegają o swoje interesy i zabierają głos, ponieważ nie mają czego się obawiać.

W pewnym sensie partia wojenna zwiększa szanse na realizację trzeciego scenariusza. Im gorsza sytuacja gospodarcza wynikająca z kontynuacji działań wojennych, tym wyższy poziom niezadowolenia. Dla Rosji eskalacja konfliktu nie wróży nic dobrego; im bardziej przeciągnie się wojna, tym dłużej potrwa odbudowa dotkniętej sankcjami gospodarki. Partia wojny wydaje się partią osobistych korzyści dla jej członków, ale ich osobiste interesy są sprzeczne z interesami kraju. Ze strategicznego punktu widzenia ultrapatrioci, którzy opowiadają się za eskalacją konfliktu, okazują się być antypatriotami. ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 9d46fba629

Marcin Wolski

ORŁY I LWY

Resentymenty odgrywają ważną rolę w życiu społeczeństw. Świat zachwyca się postawą Polaków wobec braci Ukraińców, którzy chętnie przyjmowani są pod nasze dachy. Pozostaje pytanie, na ile i jak głęboko dochodzi do zmiany naszych trudnych relacji. Otwarcie mówiąc niespecjalnie lubimy sąsiadów – i uczucie bywa obopólne. Myślę tu o Litwinach, Czechach i oczywiście Rosjanach. Stosunek do Niemców zawsze był, delikatnie mówiąc, skomplikowany. Przyjaźń rezerwowaliśmy dla Węgrów (słusznie!), Francuzów (bez wzajemności!) i Amerykanów (z rozsądku!). I trudno stwierdzić, że o wszystkim decyduje historia – potop szwedzki czy najazd Rakoczego należały do najbardziej niszczycielskich wojen w historii, ale zostały zapomniane. Inne konflikty nie! Rzeź wołyńska tkwi jak cierń w pamięci zbiorowej, choć w porównaniu z krzywdami doznanymi od Niemców czy Rosjan pozostaje jedynie krwawym rozdziałem, w dodatku w dużym stopniu spowodowanym przez okupantów i wojenną demoralizację. A przecież w imię przyszłości powinniśmy uporać się z widmami przeszłości, nawet jeśli wymagać to od nas będzie więcej niż od naszych pobratymców.

Z żadnym z krajów nie łączy nas tyle co z Ukrainą (i z Białorusią) – od historii po geny. Małżonkami polskich książąt Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Krzywoustego były księżniczki ruskie – Dobroniega i Zbysława. Ruś Halicka, pierwszy etap w polskiej drodze na wschód, przypadła nam w efekcie umowy dynastycznej. Wcześniej jedyny książę ruski Daniel Halicki, który otrzymał koronę (od papieża!), koronował się w Drohiczynie. Cała Ukraina trafiła do nas jako wiano Jagiellonów, a nie efekt podbojów. Kozacy przez długi czas byli swoistymi rangersami naszego przedmurza Europy i naprawdę niewiele brakowało, aby Rzeczpospolita Dwojga zmieniła się w Unię Trojga Narodów. Szanse były, unia brzeska – zawarta z inicjatywy biskupów ruskich – zasypywała przepaść religijną – wspólni przeciwnicy Moskwa i Turcja stanowili podstawę związku. Paradoksalnie zaszkodziło zbyt szybkie spolszczenie się miejscowej magnaterii, gdy równocześnie przenoszenie chłopów pańszczyźnianych z Polski centralnej na Ruś – bez edukacji i polskich kościołów – prowadziło do ich szybkiej rutenizacji. Jednak z dawnych epok, obok echa bratobójczych walk, mamy sporo wspólnych triumfów i bohaterów, takich jak Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, który nieśmiertelną sławą okrył się pod Chocimiem, hetman Wyhowski próbujący odkręcić błędy Chmielnickiego z Rady Perejasławskiej (zawarł z Rzeczpospolitą unię w Hadziaczu i rozgromił Moskali pod Konotopem). Iwan Mazepa Kołodyński, polski szlachcic, w młodości dworzanin Jana Kazimierza i jeden z pierwszych kawalerów orderu Orła Białego 1705 roku, był ostatnim hetmanem wolnej Ukrainy, stronnikiem Karola XII i Stanisława Leszczyńskiego – porażkę wspólnych planów przyniosła bitwa pod Połtawą (1709), która zdecydowała o naszych losach na trzy stulecia! Wreszcie w XX wieku sojusz z Petlurą dawał Piłsudskiemu nadzieje na realizację idei prometejskich.

A czasy najnowsze? Bodajże w Drohobyczu główna ulica zaczyna się pomnikiem Stefana Bandery, a kończy monumentem Jana Pawła II. Wódz OUN jest postacią zdemonizowaną, ale spróbujmy popatrzeć na niego oczami Ukraińca patrioty. Walczył o Ukrainę, a że zabił ministra Pierackiego? Dla niego ówczesny szef polskiego MSW był jak gen. Berg dla bojowców z PPS-u. A że szedł z hitlerowcami? A z kim miał iść? Z Zachodem, który postawił kreskę na Ukrainie? Walcząc z nacierającą bolszewią miał prawo sprzymierzyć się nawet z diabłem. W każdym razie w trakcie rzezi na Wołyniu siedział w hitlerowskim obozie...

Czas koi rany, a jeszcze bardziej racja stanu. Teraz, gdy pomimo cyrylicy i prawosławia społeczeństwo Ukrainy opowiada się twardo za przynależnością do kultury Zachodu, pora na wzajemny gest na miarę listu polskich biskupów do biskupów niemieckich z 1965 roku i powiedzenie w imię wspólnych chrześcijańskich korzeni: wybaczamy i prosimy o wybaczenie.

Ukraińcy zrobili już ważny krok. Lwy wróciły na lwowski Cmentarz Orląt! ■

eprasa.pl 9d46fba629

Tomasz Sakiewicz

Kryzys Europy

Mamy kolejny wielki kryzys, w którym imperialne ambicje, szczególnie Berlina, powodują staczanie się Europy.

Do I wojny światowej Europa nie miała sobie równych potęg. Zdecydowana większość światowej gospodarki obecna była na naszym kontynencie. Wielkie kraje, takie jak Indie, stanowiły po prostu kolonie państw europejskich. Militarnie nikt nie był w stanie Europie zagrozić. I wojna światowa całkowicie podważyła ten porządek. Pięć największych potęg – z jednej strony Anglia, Francja i Rosja, a z drugiej Niemcy i Austro-Węgry – skoczyło sobie do gardeł. Miliony ludzi zginęły we wzajemnych walkach o prymat na kontynencie, a gospodarki wielu krajów zostały po prostu zrujnowane. Austro-Węgry całkowicie się rozpadły, Niemcy pobite straciły znaczną część okupowanych wcześniej terytoriów na rzecz rodzących się wolnych narodów Europy Środkowej, a Rosja, teoretycznie po stronie wygranych, pogrążyła się w krwawej rewolucji, która doprowadziła do utraty części terytoriów, zajętych w XVIII i XIX wieku, na rzecz wyzwalających się państw. W miarę suchą stopą przeszły przez wojnę Anglia i Francja, choć straty ludzkie i gospodarcze szczególnie tej drugiej były ogromne. Zaczęli pojawiać się nowi gracze poza Starym Kontynentem. Stany Zjednoczone już wtedy weszły do pierwszej ligi, potęgę morską zbudowała Japonia.

II wojna światowa była próbą korekty pierwszej i przywrócenia znaczenia dwóch starych potęg – Niemiec i Rosji, tym razem w wydaniu Rosji sowieckiej. Przez dwa lata to się nawet udawało, póki Hitler ze Stalinem nie skoczyli sobie do gardeł. Nowy porządek po II wojnie światowej doprowadził do całkowitego przewartościowania siły poszczególnych graczy. Niemcy zostały całkowicie pobite i uległy podziałowi. Anglia i Francja straciły niemal wszystkie zamorskie kolonie (ten proces zaczęła wojna, choć trwał ćwierć wieku). Wygranym ewidentnie była Rosja, która zajęła wszystkie podbite wcześniej ziemie i jeszcze powiększyła stan posiadania. Na świecie zrodziły się potęgi większe od dotychczasowych państw europejskich lub porównywalne do nich. Największym mocarstwem świata stały się Stany Zjednoczone, do pierwszej ligi weszły Chiny i Japonia. Tuż za nimi do wyścigu włączyły się Indie. Widać też aspiracje Turcji, Brazylii itd. Rosja sowiecka okazała się imperium nietrwałym i implodowała. Próbą ratowania potęg europejskich okazało się stworzenie Unii Europejskiej. Byłaby to próba udana, gdyby nie imperialne skłonności głównych jej graczy. Niemcy zawarły sojusz z Francją, co doprowadziło do wypchnięcia drugiej gospodarki UE, czyli Wielkiej Brytanii. Jednocześnie rozpoczął się konflikt Niemiec z mniejszymi członkami UE pod hasłem najpierw reperowania ich gospodarek, a obecnie praworządności. Berlinowi przy wsparciu Paryża przez ostatnie lata udawało się przewracać rządy niepokornych krajów, jak na przykład Grecji czy Włoch. W Europie Środkowej Niemcy napotkały twardy opór. Tutaj nasi zachodni sąsiedzi postanowili sobie poradzić inaczej i sięgnęli po sojusz z bardzo osłabioną, lecz ciągle jeszcze marzącą o odbudowie imperium Rosją. Tak kompletny brak europejskiej solidarności i posłużenie się reżimem stosującym bandyckie metody rozzuchwalił Moskwę. Berlin wstrzymał aspiracje pozostałych państw kontynentu do UE, wydając je na łup Kremla. Efekty tego właśnie widzimy na Ukrainie. Mrzonki Moskwy i Berlina o utrzymaniu przynajmniej regionalnego statusu imperium, doprowadziły do izolacji Rosji i podważenia przywódczej roli Niemiec w UE. Trudno powiedzieć, jak to się wszystko skończy, ale obecna Unia rozczarowuje coraz więcej państw i albo ulegnie znaczącej przemianie, albo jej znaczenie bardzo spadnie. Mamy kolejny wielki kryzys, w którym imperialne ambicje, szczególnie Berlina, powodują staczanie się Europy. Czy przywódcy Starego Kontynentu zdążą na czas wyciągnąć wnioski? Wkrótce się przekonamy. ■

eprasa.pl 9d46fba629

Superhit

Ponad 50 kanałów TV

już od **10** zł miesięcznie
z rabatem smartDOM

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Oferta smartDOM dla Abonentów Plusa
oraz internetu od Cyfrowego Polsatu.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S, z zobowiązaniem od 20 zł/mies. (10 zł/mies. po rabacie smartDOM) i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane, w tym promocyjne. Dotyczy wybranych wariantów ofert. Warunkiem skorzystania z programu smartDOM i otrzymania Rabatu smartDOM jest zachowanie warunków programu i wyrażenie zgody na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie programu „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" dostępnym na: polsatbox.pl oraz plus.pl. Oferta ważna na dzień 20.05.2022 r.

eprasa.pl 9d46fba629